



Agata Julia Prosińska

SYLFIDA

NOVAE RES

Agata Julia Prosińska

Sylfida

Duchy Żywiołów

Tom I



NOVAE RES

MAMIE I TACIE -

ZA DANY NASZEJ RODZINIE WSPÓLNY CZAS
I PRZEKAZANĄ MI MIŁOŚĆ DO KSIĄŻEK. BEZ WAS TA
POWIEŚĆ, TAK SAMO JAK JA, NIGDY BY NIE POWSTAŁA.

Hej, cześć, witaj, kochanie, nadal obawiam się zmroku.
Hej, cześć, witaj, kochanie, nadal szukam drogi,
poprzez kolory, w górę,
W górę tęczy, daleko od czerni i bieli...

Jestem daleko, daleko, z dala od
wszystkich tych ciemności,
Więc pomóż mi się unieść, unieść ponad tęczę...

Hej, cześć, witaj, wznoszę się wyżej niż myślisz,
Hej, cześć, witaj, upadam
niżej niż mógłbyś przypuszczać...
Po prostu spadam, spadam tylko w dół i w dół...

Jestem daleko...

Klara *Far Away*^[1]

^[1] *Far Away*, Klara Jędrzejewska, Warner Music Poland, tłum. Agata Julia Prosińska

Spis treści

POCZĄTEK. WYGNANIE

21 LIPCA. VIOLET

22 LIPCA. MORSKIE OPOWIEŚCI

22 LIPCA. DZIEWCZYNA

23 LIPCA. NIEZNAJOMA

23 LIPCA. PYTANIA

29 LIPCA. KĄPIEL

5 SIERPNIA. WSPOMNIENIA

6 SIERPNIA. FESTYN

7 SIERPNIA. PROFESOR ANGUS I CARMEN

7 SIERPNIA. OPOWIEŚCI NIE DO KOŃCA MORSKIE

9 SIERPNIA. NIEUDANA WYPRAWA

9 SIERPNIA. NOCNE PODCHODY

18 SIERPNIA. ZBYT CICHE DNI

18 SIERPNIA. ROZMOWY

18 SIERPNIA. LILIA

18 SIERPNIA. BRAMA

19 SIERPNIA. KONIEC POCZĄTKIEM

Początek Wygnanie

Przez całe swoje życie uważałem się za pechowca i to nie byle jakiego. Mój pech nie polegał jednak na ciągłym zapominaniu do szkoły kanapek, długopisów czy pracy domowej. Na moją głowę nie spadały doniczki kwiatów jak w starych bajkach Disneya i nie znajdowałem włosów w zupie. Nie. Mój pech był... był najgorszą, najbardziej perfidną odmianą, jaką można spotkać. Czał się i gdy moja czujność była uśpiona... bam!

Po raz pierwszy przekonałem się o tym, kiedy w wieku czterech lat jako jedyny dzieciak w przedszkolu znałem takie wyrażenia, jak „aktywność sejsmiczna” i „plutonizm”. Swój zachowaniem wprawiałem panie przedszkolanki w osłupienie, a moi rówieśnicy... Wolę tego nie wspominać. To przypieczętowało mój los na następne dziesięć lat.

Nie mogłem wtedy wiedzieć, że nie każdy rodzic jest naukowcem geologiem specjalizującym się w wulkanologii. Moi rodzice, Robert Oaken i Clarice Meadow-Oaken, pracowali na Uniwersytecie Cambridge, więc często przynosili pracę do domu albo mnie do niej. Spędziłem więcej czasu na

prezentacjach symulujących wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi niż na zabawie w piaskownicy. W wieku czterech lat miałem większą wiedzę na temat wulkanologii niż niejeden dorosły, co oczywiście nie pomogło mi w nawiązywaniu przyjaźni.

Był to pierwszy złośliwy uśmieszek, który posłał mi mój pech.

W ciągu następnych trzech lat, w różnych odstępach czasowych, gdy byłem już przekonany, że na zawsze mnie opuścił, dawał mi bolesnego pstryczka w nos. Na przykład, na bożonarodzeniowym przedstawieniu w pierwszej klasie podstawówki złamałem rękę, potykając się o wystający na scenie panel i wpadłem do środka jakiejś trąby. Przed całym tłumem ludzi. Nigdy nie zapomnę salwy śmiechu, która potoczyła się po sali.

Za to w szkole stałem się stałym celem dręczycieli, dopóki nie podążyłem za słowami mamy, która między gotowaniem, czy raczej – jeśli mam być szczery przypalaniem obiadu – a przygotowywaniem nowego raportu do pracy na temat wstrząsów we Włoszech poradziła mi, bym zachował swoją godność. Posłuchałem się jej i zawańczyłem o siebie.

Moim oprawcom nic się nie stało, za to ja wylądowałem u dyrektora na dywaniku, z zawieszeniem w prawach ucznia na tydzień i nakazem zostawania w kozie do końca roku szkolnego.

Dobrze mieć wykształconych rodziców, ale nauczyłem się, że akurat moich lepiej nie pytać o rady życiowe. Wydawali się bardziej zorientowani w temacie ziemskich płyt litosfery niż

w wychowywaniu dzieci.

Pierwsze piętnaście lat swojego życia przeżyłem więc, mając nadzieję, że może kolejny rok będzie dla mnie łaskawszy. Jak zwykle, nie mogłem się bardziej mylić. Miesiąc po moich szesnastych urodzinach, na koniec roku szkolnego, rodzice oznajmili mi, że otrzymali propozycję poprowadzenia badań w Islandii. Wulkany, owce, wulkany, owce, jakieś tam wafelki, pomyślałem i stwierdziłem, że może nie będzie tak źle. Nie znałem islandzkiego, chociaż mama cały czas próbowała mnie go nauczyć, mimo to spędzenie wakacji na wyspie będącej rajem, ziemią obiecaną dla wulkanologów to nie najgorsze, co może spotkać chłopaka w moim wieku. Islandia nie była przecież dziurą zabita deskami. Rodzice mieli dostać przydział na uniwersytecie w Reykjavíku, a dawno nauczyłem się, że najładniejsze i najinteligentniejsze dziewczyny zwykle kręcą się w pobliżu bibliotek.

Jakbym miał jakieś szanse.

Gdy pogodziłem się już z tym, że całe swoje wakacje spędzę z owcami i spakowałem najważniejsze manatki, w tym laptopa, na którym pisałem swoją powieść, rodzice oznajmili mi, że nie pojedę z nimi do Reykjavíku, lecz zostanę w Wielkiej Brytanii.

Czyżby mój pech mnie opuścił? Całe wakacje bez permanentnej (dobra, przesadziłem) kontroli rodziców?

Nie.

Okazało się, że bez mojej wiedzy mama zmówiła się z babką Violet. Miałem zamieszkać u niej na czas wakacji i dokładnie pierwszego września wrócić pociągiem z Inverness

do Cambridge.

Kłopot w tym, że nigdy wcześniej nie spotkałem babki Violet, mamy mojej mamy. Była czarną owcą, tematem tabu na zjazdach rodzinnych – z nieznanego mi powodu. Wiedziałem, że była wdową i mieszkała gdzieś w Szkocji, lecz więcej nie było mi nic wiadomo. Ponownie zawierzyłem losowi, licząc, że się do mnie uśmiechnie.

Czy ja nigdy nie uczę się na błędach?

Dzięki uprzejmości rodziców dowiedziałem się, że Violet (nie mogłem nazywać osoby, której prawie nie znałem swoją babcią) mieszka w Shildaig, w Wester Ross, na północy Szkocji w Górach Kaledońskich. We wsi liczącej sobie blisko dziewięćdziesięciu mieszkańców, z jedną szkołą podstawową, pubem i kościołem. Bez żadnego kina, centrum handlowego, z najbliższą stacją benzynową znajdującą się pół godziny drogi od wsi, w Kinlochewe, kolejnym końcu świata.

Cholera.

Wtedy dopiero uzmysłowiłem sobie, że zostałem wyrolowany, tak uziemiony, iż nie można było tego opisać. Wiedziałem, że pech śmieje się do rozpuku z mojej sytuacji. Perspektywa spędzenia wakacji we wsi (mogłem ją tak nazwać?) z osobą, której prawie nie znałem, w Szkocji, z dala od Cambridge, z dala od *jakiegokolwiek cywilizacji* wydawała mi się najzmyślniejszym żartem, jaki przygotował dla mnie pech. Istnym przejawem diabelskiego geniuszu. Naprawdę marzyłem, by pojechać z rodzicami do Islandii. Naprawdę lubiłem owce. Wafelkami także nie gardziłem.

Co mogło się wydarzyć w Shildaig? Nic. Kompletnie nic.

Dwa miesiące katorgi, która miała zakończyć się moją śmiercią z powodu nudy. Przeszukałem cały Internet, poszukując drogi ucieczki: jakichś przytułków, obozów. Błagałem rodziców, by pozwolili mi ze sobą jechać, by zostawili mnie w domu. Bezskutecznie. Nieodwołalnie zostałem zesłany na wygnanie do Shieldaig. Czułem, że każdy dzień spędzony w tej wsi będzie gwoździem do mojej trumny. Zapowiadały się najgorsze wakacje w moim życiu.

Jakże się myliłem.

Shieldaig okazało się miejscem, które zmieniło moje życie. Osobliwym, pełnym magii i piękna. Gdzie legendy, z których wcześniej się śmiałem, stały się prawdą. Miejscem nie do opisania. Miejscem cudu.

Gdyż właśnie tam odnalazłem Ją.

DZIENNIK | Bernard Oaken
Shieldaig, Szkocja, 21 Lipca - 20 Sierpnia 2013 r.

21 Lipca Violet

Zejdiesz wreszcie na dół? Owsianka ci stygnie!

Wepchnąłem do ust ostatnią kanapkę z bananem, którą przywiozłem ze sobą z domu i szybko wrzuciłem plastikową torebkę pod łóżko. Nie minęła nawet doba, odkąd przyjechałem do Shieldaig, a w pokoju gościnnym babki Violet panował ustalony przeze mnie porządek, który przez postronną osobę nazwany zostałby zapewne chaosem.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu, próbując nie zwracać uwagi na staromodną, ciemnozieloną tapetę, na komodę, na której stał bezużyteczny laptop (Internet nie działał, cholera), na okno z widokiem na Loch Shieldaig z wyspą i część wsi oraz na niewygodną, za małą wersalkę. Próbowałem dzisiaj na niej spać. Kark bolał mnie przy każdym ruchu głowy i przypuszczałem, że resztę wakacji spędzę, śpiąc na podłodze. Czasami przeklinałem swój wzrost - sześć stóp i dwa cale - ponieważ był absolutnie bezużyteczny, prócz

objiania futryn w drzwiach i niemożności spania na za małych łózkach.

- Zejdiesz na dół? Bernardzie! - babka Violet nie ustawała. Już wczoraj przekonałem się, że nie jest miłą, pełną troski babunią, dziergającą szaliki wnukom i gotującą ich ulubione potrawy.

Violet Meadow była apodyktyczną, pełną powagi kobietą, z którą nie równał się żaden belfer z mojej szkoły, Akademii Jamesa Clerka Maxwella w Newnham, w Cambridge. Biło od niej... dość osobliwe poczucie wyższości, a wzrok jasnoniebieskich oczu, prawie wyblakłych, wywoływał wrażenie, że ta kobieta wie o tobie wszystko, nawet o wiele więcej niż ty sam. Violet odnosiła się z zaskakującym dystansem nawet do mojej mamy, nie mówiąc już o tacie. Spojrzenie, jakim wczoraj mnie obdarzyła, tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że mój pech naprawdę jest najperfidniejszym geniuszem zła, ale to Violet należy się nagroda za bycie najwynioślejszą i najbardziej nieprzyjemną osobą na świecie.

- Bernardzie!

- Już idę! - odkrzyknąłem z pełnymi ustami. Przełknąłem kanapkę i odruchowo dotknąłem blizny przy ustach, by się uspokoić. Spotkanie z babką było ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę.

Otworzyłem drzwi, napotykając jej spojrzenie. Oparłem się o futrynę, składając ręce na piersi i starając się zachowywać w miarę normalnie.

Violet była wysoką kobietą (jak wszyscy w mojej

rodzince), dla której jakby czas był o wiele łaskawszy niż dla innych, jednakże wokół oczu można było już dostrzec delikatną siateczkę zmarszczek mimicznych. Jasnoszare włosy, upięte w ciasny kok, poprzetykane były brązowymi pasmami. Można było powiedzieć, że trzymała się naprawdę nieźle jak na sześćdziesięcioletnią babę, tylko ostry wyraz twarzy z ustami zaciśniętymi w cienką linię niepotrzebnie ją postarzał.

Violet westchnęła zniecierpliwiona i włożyła, a raczej wepchnęła mi w ręce kosz z praniem.

- Talerz masz na stole - powiedziała oschle, a jej jasnoniebieskie oczy, takie same jak mojej mamy i moje, rozbłysły. - I połóż to w kuchni, dobrze?

Popatrzyłem zdezorientowany na pranie. Pachniało lawendą i było jeszcze ciepłe. Wzruszyłem ramionami. Jak mus to mus. Zacząłem schodzić na dół, słysząc burczenie w brzuchu, gdy z łazienki doszły mnie słowa Violet:

- Nie będę cię więcej wołała na jedzenie, Bernardzie. Może i jesteś moim gościem, ale nie będę się do ciebie dopasowywała. Następnym razem po prostu nie dostaniesz obiadu.

Przystanąłem i wziąłem głęboki oddech. Moja mama także dostawała szału z powodu mojego regularnego opuszczania śniadań, jednak koniec końców zawsze mogłem liczyć na jakieś jedzenie. Widocznie, prócz zanudzenia się na śmierć, w Shildaig czekała mnie i śmierć głodowa.

Byłem dzieckiem profesorów, więc większość ludzi oczekiwała ode mnie, że pójdę w ich ślady. Niestety, biologia, geografia, w ogóle przedmioty ścisłe nie były moją mocną stroną. Nie lubiłem wyuczać się tych wszystkich faktów na pamięć, rozwiązywać zadań, gdzie istniała tylko jedna odpowiedź. Wydawało mi to się zbyt... sztuczne, bezduszne (no i głupie). Byłem dobrym uczniem, jednakże nauczyciele z Maxwella twierdzili, że brak mi chęci do nauki i że marnuję swój potencjał, ponieważ stać mnie na więcej. A ja po prostu nie lubiłem trzymać się reguł.

Oprócz posiadania ogromnego pecha nie miałem żadnego talentu. Grałem nieźle w koszykówkę, tenisa oraz rugby, ale moje problemy z trzymaniem nerwów na wodzy powodowały, że nie nadawałem się do pracy w grupie. Chciałem być niezależny, sam - nienawidziłem zdawać się na kogoś.

Z tego powodu, gdy na początku września zeszłego roku moi dręczyciele przygwoździli mnie znów do ściany, grożąc, że wsadzą mi głowę do muszli klozetowej, nie liczyłem jak zwykle do dziesięciu, ale zgodnie z radą mamy zawalczyłem o swój honor.

I o karę do końca roku szkolnego.

Przez ostanie osiem miesięcy, gdy moi rówieśnicy szli do domu, ja udawałem się do pustej klasy literatury, gdzie musiałem przesiedzieć całą godzinę, nie mogąc czytać, używać komórki ani nawet się uczyć (jakbym chciał to robić, serio). Towarzyszył mi nauczyciel języka angielskiego, pan Leo Mayfly. To właśnie on nakrył mnie na potajemnym pisaniu dziennika. Według kolegi rodziców z wydziału psychologii na

uniwerku miało mi to pomóc w okiełznaniu „temperamentu”, jednakże szczerze wątpiłem w skuteczność tej metody. Ale opisywanie odczuć i swoich spostrzeżeń tak mnie wciągnęło, że coraz częściej w myślach zacząłem tworzyć historię detektywistyczną – zawsze interesowałem się kryminologią – o detektywie Edzie Auburnie i jego siostrze, Mistral, która była seryjną morderczynią morderców nękających Nowy Jork. To właśnie Mayfly zobaczył pierwsze szkice mojej powieści i kazał mi się poważnie zastanowić nad pisarstwem oraz studiowaniem literatury.

Od tamtego czasu pracowałem nieprzerwanie nad książką, utrzymując to, oczywiście, w tajemnicy. Może i moi koledzy nie chcieli mnie już topić w kiblu, ale wolałem nie wychylać się ze swoimi zainteresowaniami. Pisanie, szczególnie dzienników, to dość babska rzecz.

Połknąłem ostatnią łyżkę owsianki i odstawiłem talerz do zlewu. Odwróciłem się i podskoczyłem. Violet stała przede mną ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, a na jej twarzy widniał sztuczny uśmiech. W tamtej chwili pozazdrościłem swojemu dziadkowi tego, że jest martwy.

- Masz coś do roboty, Bernardzie?

Zamrugąłem parę razy, myśląc, co MÓGŁBYM robić w tej dziurze. Prócz tworzenia większego bałaganu w pokoju gościnnym i pisania nie było niczego.

Jednak nie byłem głupi: wolałem skłamać.

- Tak - odpowiedziałem.

Uśmiech Violet zmienił się w złośliwy uśmieszek. Może to właśnie ona była źródłem mojego pecha albo – wręcz

przeciwnie – sama nim była?

– Na pewno, Bernardzie?

Powstrzymałem odruch dotknięcia blizny przy ustach. Zawsze tak robiłem, kiedy się denerwowałem. Boże, lubiłem swoje imię, lecz w ustach tej kobiety stało się najbardziej irytującym wyrazem, jaki spotkałem.

– Dobra, nie mam nic do roboty – rozłożyłem ręce. – A co?

Violet przechyliła głowę.

– Jeśli nie masz nic do zrobienia, to chętnie bym z tego skorzystała. Widzisz... potrzebuję pomocy z paroma pracami w domu.

– Chcesz, żebym ci pomógł? – spytałem głupio, nie dowierzając.

Teraz Violet rozłożyła ręce.

– Wiesz, Bernardzie, artretyzm... Mam już swoje lata. Miał mi pomóc Gordon Bane, ale zachorował. A jeśli ty nie masz nic do roboty...

Pięć godzin później, balansując na parapecie okna i ryzykując spadnięcie z wysokości pięciu metrów na ziemię i kalectwo do końca życia, doszedłem do wniosku, że Shildaig to pestka w porównaniu z życiem z moją babcią pod jednym dachem przez następne półtora miesiąca. Jeśli nie nuda i głód zaprowadzą mnie do grobu, zrobi to ta kobieta.

– Tu jeszcze zostawiłeś smugę, Bernardzie – Violet pokazała mi palcem idealnie czysty skrawek szyby.

Mówiła z dziwnym, lekko szkockim akcentem, co w pomieszaniu z angielskim brzmiało na początku dość śmiesznie, jednakże teraz tylko irytowało. Zerknąłem w dół, na twardą ziemię pod domem. Nigdy nie miałem lęku wysokości, ale nie chciałem umrzeć, myjąc okno.

- Bernardzie!

W ostatniej chwili przytrzymałem się okna, by nie spaść. Serce mi zamarło. Co ona, do cholery, wyprawiała?!

- Widzę, że bujasz w obłokach. Dobrze, schodź.

Wyrwała mi szmatę z lewej ręki (jestem leworęczny), lecz zamiast natychmiast puścić moją dłoń, obróciła ją i wbiła w nią nieprzenikniony wzrok. Przez całe moje ciało przeszedł dreszcz. Miałem wrażenie, że ktoś wdziera się do mojej duszy, obnażając ją. Błyskawicznie wyrwałem rękę.

- No cóż, tak jak przypuszczałam - znów posłała mi swój sztuczny, niepokazujący zębów uśmiech.

Zeskoczyłem z parapetu, nadal się jej przyglądając. Zamknęła okno i odwróciła się.

- Za chwilę będzie obiad. Chyba się nie obrazisz, wiem, że już zająłeś się łazienką, pomogłeś mi z tą komodą i umyłeś okna, ale szafkom w kuchni przydałoby się odmalowanie.

Oparłem się o ścianę. Violet, zręcznie lawirując, przeszła bez przeszkód przez chaos, który panował w gościnnym pokoju. Teraz, do bolącego karku, doszły zeszywniałe plecy, zmarznięte na kość ręce i ból w kolanach. W ciągu pięciu godzin ta kobieta przegoniła mnie po całym domu, i to niejednokrotnie.

Violet odwróciła się do mnie. Jej usta były jedną cienką

linią, ale w jasnych oczach dostrzegłem dziwne błyski.

- Wolałabym, byś trzymał porządek w pokoju. Słyszałam, że to ułatwia pracę umysłową, ale może ty musisz...

Machnęła ręką i znikła za drzwiami. Coś zimnego pojawiło się w moim żołądku.

Co ja muszę? Poczułem, jak w lewej ręce pojawia się dziwny impuls. Nadal czułem na skórze nieprzyjemny dotyk babki.

Wyciągnąłem dłoń przed siebie - długie, chude palce, biała skóra z widocznymi żyłami i masą piegów. Obróciłem ją, widząc tylko zgięcia i linie w jej wnętrzu. Może chodziło jej o zapach?

Nie, na pewno nie.

Zacisnąłem dłoń i, słysząc odgłosy babki z dołu, po raz kolejny zawierzyłem losowi.

Ziewnąłem. Zbliżała się druga w nocy. Już dawno odkryłem, że najlepsza pora na pisanie to właśnie noc. Uszy bolały mnie od słuchawek i dopiero, gdy je zdjąłem, zrozumiałem, że na dworze pada deszcz.

Świetnie, po co myłem okna? Coś mi mówiło, że Violet doskonale wiedziała, że zbiera się na deszcz. W końcu jesteśmy w Wielkiej Brytanii. Deszcz pada tu co najmniej przez trzysta sześćdziesiąt dni w roku.

Wyłączyłem muzykę (Arctic Monkeys *Do I Wanna Know?*) i zapisałem plik. Doszedłem wreszcie do momentu, w którym

detektyw Auburn dowiaduje się, kim jest słynny Wiatr Północy – zabójca zabójców. Stworzenie postaci rodzeństwa – gliniarza i jego siostry – dawało mi niebywałą satysfakcję. Ile stron poświęconych metodom śledczym i pracy kryminologów odwiedziłem na necie, nie zliczę. Kiedyś myślałem, że pisanie książek to banał. Prościzna. Dopiero własne próby uzmysłowiły mi, że praca pisarza to trudna fucha. Możesz coś napisać, ale nie przewidujesz, ile razy będziesz przepisywać niemalże to samo, ponieważ nie o to ci chodziło i nie tych słów użyłeś.

Ekran laptopa zrobił się czarny i z jękiem – z powodu bolących pleców – wsadziłem go pod wersalkę. Pościel, którą dała mi Violet, pachniała lawendą i zapachem typowym dla emerytów. Twarde, drewniane oparcie wersalki mimo poduszki znów wbijało mi się w kark i kostki. Przewróciłem się na bok i podciągnąłem kolana pod brodę.

W sumie byłem ciekaw, czym zajmowała się kiedyś Violet. Nie była przecież tylko żoną pastora. Babka, mimo swego osobliwego charakteru, była dla mnie zagadką. Czemu nic nie było mi o niej wiadomo? Czemu nie rozmawiano o niej w naszym domu, nie zapraszano na zjazdy rodzinne, Boże Narodzenie, Wielkanoc? Violet także nie wydawała się zadowolona z mojego przyjazdu. Dlaczego więc się na niego zgodziła? Czemu przyglądała się mojej dłoni? Co właściwie stało się z dziadkiem?

Nie mogłem także pozwolić na to, by Violet zmieniła mnie w bezpłatną siłę roboczą. Koniec końców tegoroczne wakacje zapowiadały się doprawdy szczególnie paskudnie.

Violet przymknęła oczy, otulając się szczelniej wełnianym kocem. Dochodziła pierwsza w nocy i jak zwykle o tej porze w telewizji nie było nic ciekawego. Jaki więc jest pożytek z posiadania tego pudła, jeśli nie puszczają żadnych wartościowych kryminałów?

Kobieta jedynym płynnym ruchem wyłączyła telewizor. Dzięki ciszy, jaka panowała w domu, usłyszała dalekie stukanie w klawiaturę na piętrze. Ten chłopak straci oczy, jeśli będzie siedział tak do późna nad tą książką, pomyślała.

Mogła zaprzeczać sama sobie, jednak martwiła się.

Tak, martwiła się i to mocniej, niż powinna. Dłoń wnuka odpowiedziała na jej pytanie więcej, niż Violet się spodziewała. Chłopak był zagubiony, dręczony przez kolegów w szkole, jednak nie stracił hartu ducha ani siły. Był wybuchowy i pełen młodzieńczego buntu. Violet nie mogła zlekceważyć podobieństwa, jakie istniało między nim a Johnem. Bernard przypominał jej męża z czasu, gdy go poznała, z tym swoim sardonicznym poczuciem humoru

i zawadiackim błyskiem w oku. Brakiem pokory. Był zupełnie inny od Clarice, spokojnej i jednocześnie roztrzepanej, kontrolującej się na każdym kroku.

Czymże więc była nagła i niezrozumiała dla niej biała plama w jego przyszłości? Nigdy nie była za dobra w jej odczytywaniu, choć ćwiczyła według wskazówek Hamisha. Jednak prawie zawsze udawało się jej dostrzec jakieś przebłyski, wizje, nadchodzące z czasem emocje, wspomnienia.

Wtedy, tylko przez chwilę, zobaczyła go w towarzystwie wysokiej, rudowłosej i przerażająco bladej dziewczyny. Oboje wyglądali na szczęśliwych, trzymali się za ręce i chyba żartowali. Jednak na ten widok Violet zamarło serce. Ponieważ nie poczuła nic prócz przeraźliwego zimna.

22 Lipca

Morskie opowieści

- Co mam dzisiaj zrobić? - spytałem Violet.

Babcia z trzaskiem postawiła przede mną talerz z jajecznicą. W brzuchu zaburczało mi niebezpiecznie. Rzuciłem się na jedzenie. Może i Violet była, jaka była, ale naprawdę umiała gotować, a jej potrawy nie były przypalone.

- Nie wyglądasz za dobrze - powiedziała i usiadła naprzeciw mnie. Upiła malutki łyk herbaty. - Chyba nie siedzisz po nocach przy komputerze, Bernardzie? Nie mam tutaj zasięgu dla tego... Internetu.

Zadławiłem się jajecznicą. Skąd wiedziała?

- Powinieneś także jeść więcej. Jesteś zbyt chudy.

Odchrząknąłem wreszcie. W oczach pojawiły mi się łzy, ale udało mi się wreszcie przełknąć kęs.

- Skąd wiesz, że siedzę w nocy przy laptopie? - spytałem.

Violet pokręciła głową.

- Słyszałam, jak włączysz się do łazienki w pół do trzeciej. Na twoim miejscu opuszczałabym jednak klapę. I posprzątałabym w pokoju - dodała chłodno, mrużąc oczy. -

To dedukcja, Bernardzie.

Dedukcja. Na mojej twarzy pojawił się krzywy półuśmiech. Violet czytała Doyle'a?

Wstałem od stołu, szurając krzesłem, porzuciwszy rozmyślenia nad słownictwem babki. Czułem na sobie jej oceniający, a dokładniej rzecz ujmując - krytyczny wzrok. Wiedziałem, że prócz mojego zachowania, babci absolutnie nie podobały się także moje ciuchy. Zwykle ubierałem się cały na czarno, a jedynym kolorowym elementem mojej garderoby był mundurek Maxwella, który nosiłem z przymusu. Czerń dawała mi poczucie tożsamości i niezależności. Pozwalało mi to wtopić się w tłum, a zarazem pozostać sobą. Czerń była po prostu moim kolorem.

Także dziś wszystko, co miałem na sobie: stare dzinsy, zniszczone trampki Chuck Taylor, rozciągnięta koszulka z Batmanem oraz sportowa bluza było w tym kolorze. Odruchowo poprawiłem kaptur na głowie. Był kolejnym z wielu dziwactw, których się dopuszczałem. Nigdy nie wychodziłem z domu, nie nałożywszy go. Czułem się po prostu bezpieczniejszy, wiedząc, że coś mnie ochrania.

Kątem oka dostrzegłem, że babcia Violet marszczy brwi, jakby słyszała moje myśli. Lekko wytrąciło mnie to z równowagi.

- Mógłbyś pójść do Shildaig po zakupy, Bernardzie? - powiedziała w końcu. - Zwykle proszę Amandę ze sklepu, by mi je przywiozła, ale jeśli ty jesteś... Wiesz, ja mam artretyzm...

- Pójdę. I tak wiesz, że nie mam nic do roboty -

burknąłem. Coś mi mówiło, że nie ma sensu okłamywać tej kobiety.

Umyłem talerz i wstawiłem na suszarkę. Wyjrzałem przez okno – poważnie mnie zastanawiało, że Violet mieszka niecałe pięć, sześć metrów od kamienistego brzegu Loch Shieldaig. Nie bała się, że wody kiedyś wzbiorą i jej dom pochłonie morze?

Nagle poczułem, jak silna ręka Violet zrywa mi kaptur z głowy.

- Nie chowaj się tak, Bernardzie. Kto wie, czy nie spotkasz jakiejś dziewczyny, której się spodobaasz?

Miała dziwny wyraz twarzy.

- Dziewczyny? Tutaj? – spytałem. – Chyba musiałyby być morską.

Moja babka obrzuciła mnie chmurnym spojrzeniem.

- Idź na górę. Przygotuję ci listę zakupów. Sprężaj się! Nie mamy całego dnia! – pogoniła mnie.

Pięć minut później wspinałem się po stromym zboczu do głównej drogi Shieldaig, Mary Street. Gdy stanąłem wreszcie na ulicy, moje trampki były całe przemoczone – skutek wczorajszego deszczu. Rozejrzałem się uważnie dookoła. W powietrzu czuć było rychły powrót opadów, lecz teraz na szarawym niebie świeciło słabe słońce, a wiatr targał wysokie, zielono-żółte trawy na stokach pobliskich wzniesień. W okolicy nie było prawie żadnych drzew, a zimno bijące od wód morza sprawiło, że ścierpła mi skóra. Czym prędzej nałożyłem kaptur na głowę i ruszyłem w dół wsi.

Szedłem miarowo, oglądając się co rusz na boki.

Poprzedniego dnia, myjąc okna, nie zwracałem uwagi na góry otaczające wieś. Przyzwyczajony do ciągłego odgłosu klaksonów w Cambridge z trudem mogłem przywyknąć do ciszy, która panowała w Shildaig. Jednak spokój, jaki otaczał wieś, wydawał mi się... pozorny, będący jedynie fasadą, zasłoną dymną dla panującego tu chaosu.

Uśmiechnąłem się pod nosem, rozbawiony własnymi przemyśleniami.

Mijałem rząd zadbanych, niskich domków z szarawą dachówką, co raz patrząc na kamienistą plażę i na wyspę u brzegów zatoki porośniętą wysokimi sosnami. Daleko na horyzoncie dostrzegłem czarny zarys łódki. Shildaig, prócz rybołówstwa, służyło z turystyki, chociaż, paradoksalnie, nie widziałem nikogo na ulicach. Może sezon jeszcze się nie rozpoczął. Od końca roku szkolnego minęły przecież zaledwie trzy dni.

Jednak to nie powstrzymało rodziców przed wysłaniem mnie od razu po zakończeniu szkoły do babki Violet, pomyślałem. W końcu, co tam, ruchy sejsmiczne i wulkany są ważniejsze od jedyne dziecko.

Miałem wrażenie, że ktoś podgląda mnie z małych, zasłoniętych firankami okienek. Przyspieszyłem, ciesząc się, że jednak nałożyłem kaptur. Zapewne przyjazd kogoś nowego, niebędącego turystą, to ważne wydarzenie w takim miejscu.

Minąłem czerwoną budkę telefoniczną, a potem omal nie wpadłem na tablicę wystawioną przed jakąś restauracją, słysząc w myślach głos taty: „Uważaj, gdzie idziesz!”. Nadal szukałem sklepu spożywczego, chociaż Violet doradziła mi,

żebym cały czas szedł przed siebie, dopóki go nie znajdę.

- Doskonała informacja - mruknąłem pod nosem.

W końcu go znalazłem. Mała dobudówka do białego hotelu z oknami dachowymi. Na zielonej ławce przed sklepem siedział staruszek, popijający co chwilę z butelki. Na mój widok zakrztusił się napojem. Nie zwracając na niego uwagi, wszedłem do sklepu.

W środku było pusto. Wyjąłem z kieszeni listę zakupów, próbując rozszyfrować pisaninę Violet. Jak ktoś mógł pisać aż tak nieczytelnie? Dotychczas sądziłem, że tylko ja posługuję się hieroglifami.

- Może by tak: „Dzień dobry”?

Podniosłem głowę. O ladę opierała się pulchna blondynka, była mniej więcej w wieku mojej mamy. Jeśli większość mieszkańców mówiła w podobny sposób, mogłem mieć problem z ich zrozumieniem. Szkoci dziwnie akcentowali wyrazy.

- Dzień dobry - odpowiedziałem.

Szybko się odwróciłem, by kobieta nie widziała mojej twarzy i udawałem, że czytam etykiety groszku. Blizna przy ustach swędziała mnie i ostatkami sił powstrzymywałem się, by jej nie potrzeć.

- Ona nigdy nie kupuje tego gatunku - usłyszałem nagle za sobą. Kobieta wyjęła mi puszkę z ręki i podała inną. - Jesteś wnukiem Violet, tak?

Spojrzałem na nią zdezorientowany. Tyle z mojej anonimowości.

- Amanda Torre - powiedziała, lustrując mnie wzrokiem.

Byłem od niej wyższy o dobre trzydzieści centymetrów. –
Przywożę jej zakupy do domu.

– Bernard – burknąłem.

Ekspedientka wyglądała na oszołomioną.

– Bernard? Syn Clarice? Rodzice wysłali cię tutaj na wakacje?

Skrzywiłem się i mimowolnie potarłem bliznę.

– Coś w tym rodzaju.

To było wygnanie, nie wakacje. Już widziałem twarze swoich kolegów, gdy dowiedzą się, gdzie spędziłem przerwę wakacyjną.

Amanda uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– Jesteś bardzo podobny do swojej matki – jej spojrzenie zaczęło mnie trochę irytować. – Wiesz... piegi – skrzywiłem się. – Ile masz lat?

Westchnąłem. Pytania zapewne były nieuniknione, w sumie może dowiem się czegoś o Violet...

– W czerwcu skończyłem szesnaście.

Amanda zamrugnęła oczami.

– Boże! Dawałam ci co najmniej dwadzieścia, taki jesteś wysoki!

Posłałem jej sztuczny uśmiech i wsadziłem ręce do kieszeni.

– Daj mi tę listę – wyciągnęła rękę. – Chyba lepiej wiem, co ona lubi. Nie chcemy, by się wściekła. Dała ci już w kość?

Wzruszyłem ramionami.

– To znaczy tak – szepnęła.

Zacząła chodzić między regałami, zdejmując poszczególne

produkty.

- Pewnie nie wiesz, ale nie zawsze taka była - powiedziała.

Natychmiast się ożywiłem. Plotki były wszędzie, a byłem pewny, że Violet była gorącym tematem w Shildaig.

- Tak? Mnie się zdawało, że zawsze była... - zacząłem.

Amanda pokręciła głową.

- Nie, kochaniutki - lekko wzdrygnąłem się na dźwięk tego określenia. - Była kobietą o złotym sercu. Dzisiaj wydaje się to dziwne, ale tak było.

Usłyszałem, jak za mną otwierają się drzwi. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak do środka wchodzi starzec, którego spotkałem siedzącego pod sklepem.

- O, kapturzasty - zaśmiał się na mój widok.

Mimowolnie wywróciłem oczami i usłyszałem westchnięcie sprzedawczyni. Widocznie nie tylko ja miałem dość tego gościa.

- Jeszcze jedno - starzec oparł się o ladę. Jego wzrok biegał wszędzie, nie mogąc się skupić na jednym punkcie, a wokół unosił się zapach alkoholu.

- Nie, Davey - Amanda spojrzała mu odważnie w oczy. - Jest dopiero dziesiąta. Upij się na noc i nie strasz nam turystów.

Staruszek się skrzywił.

- Hej, ale to nieprałi... łidłowa obsługa kłięta, Torre. A kapturzasty? - pokazał na mnie drżącym palcem. - Nie widziałem wcześniej tego wyrostka.

Amanda westchnęła.

- Davey, poznaj wnuka Violet, Bernarda Oakena. Bernardzie, to Davey Donnell, uważający się za rybaka - Amanda przedstawiła mnie, nim zdążyłem otworzyć usta.

- Jestem rybakiem! - zaprotestował ostro starzec. - Łowią ryby, o jakich nie śnisz! A Violet... ma wnuka? - zamrugał parokrotnie.

Wtem przyjrzał mi się, mrużąc oczy. Chociaż nie byłem pewny, czy patrzy na mnie czy na stojący za mną stojak z pocztówkami.

- Nie widzę podobieństwa - stwierdził.

- Bo jesteś ślepy - odpowiedziała cicho Amanda.

Uśmiechnąłem się. Było coraz lepiej. Nie ma to jak zawierzyć głupiemu losowi. Przecież nikt nie posiada więcej informacji o mieszkańcach Shildaig niż sprzedawczyni w sklepie i miejscowy żul. Co ja sobie myślałem?

Amanda spakowała mi do torby kawę, mleko i zaczęła wstukiwać w kasę ceny.

- Więc, Violet... - podjęła przerwany wątek.

- Chciałaś powiedzieć Violet Melinda Enbatch-Meadow! - zakrzyknął Donnell. - Wiesz, jak nienawidzi ludzi, którzy nie zwracają się do niej pełnym imieniem i nazwiskiem. Właściwie... ona nikogo nie lubi.

W to akurat mogłem uwierzyć.

- Przymknij się, Davey - syknęła sprzedawczyni i ponownie zwróciła się do mnie. - Chyba nigdy wcześniej jej nie spotkałeś, to twój pierwszy raz?

- Tak.

- Mieszkasz z rodzicami w...?

- Cambridge.

Na myśl o pustym domu w przy Grange Road w Newnham poczułem się dziwnie. Nasi sąsiedzi, państwo Fosterowie, mieli mieć na niego oko w trakcie naszej nieobecności, ale przecież nic nie daje gwarancji, że ktoś nas nie obrabuje, prawda?

Amanda zagryzła wargę, zastanawiając się nad czymś.

- Nadal siedzą na tym wydziale geologii? - spytała.

- Wyjechali na wakacje do Islandii. Zajmują się Heklą^[1], tym wulkanem - powiedziałem.

- Ale ciębie to nie interesuje, prawda? - bardziej stwierdziła, niż zadała pytanie.

- Nie - istniały lepsze rzeczy niż badanie wulkanów, ale cóż, o gustach się nie dyskutuje. Myślę, że gdyby nie one, nie byłoby mnie na świecie, więc miałem jednak do nich jakiś szacunek.

Amanda pokiwała z zadowoleniem głową.

- To dobrze. Normalny chłopak. Pamiętam, jak Clarice cały czas o nich mówiła. Istny koszmar... Ale wróćmy do twojej babki. Trzydzieści funtów.

Podąłem jej pieniądze. Amanda cały czas zerkąła na mnie. Uświadomiłem sobie, że to ja w ich miasteczku jestem angielskim wyrzutkiem ze śmiesznym akcentem. Zmieniłem punkt widzenia, euforia związana z poznaniem historii mojej babci jakoś mnie opuściła.

- Wiesz chyba, że twój dziadek, John, był pastorem? Razem z Violet przyjechali tutaj zaraz po studiach, ponieważ pastor Meadow dostał propozycję objęcia posady w naszej

parafii, zaś Violet rozpoczęła pracę jako nauczycielka w szkole.

Violet nauczycielką? Tego się nie spodziewałem.

- Pani Enbatch-Meadow zawsze była... bardzo poważną osobą, powściągliwą i zorganizowaną. Tę kobietę naprawdę trudno jest oszukać, mogę rzec, że to absolutnie niemożliwe - westchnęła Amanda. - Przyłapała mnie raz na ściąganiu na klasówce - powiedziała, śmiejąc się z zażenowaniem. - Już nigdy tego nie zrobiłam. Nigdy. To naprawdę szlachetna kobieta, Bernardzie. Jednak... jednak, czekaj... szesnaście... siedemnaście lat temu wydarzyło się coś, co złamało jej serce.

- Jakby je miała - prychnął Donnell, popijając soczysty łyk z piersiówki. Amanda zacisnęła usta.

- Widzisz, gdy twoja matka wyjechała na studia do Cambridge, Violet i John zostali sami. Nie byłoby tak źle, gdyby nie nietypowa dla pastora Meadow w jego wieku pasja wędkarstwa. Oboje byli już starszymi ludźmi, w szczególności pastor nie był już pierwszej młodości, chociaż sił mu nie brakowało. Był to bardzo burzowy sierpień, jednak pogoda nie zniechęcała twojego dziadka do prawie codziennego wypływania na wody Loch Shildaig. Pewnego dnia rozpętała się jedna z najgorszych burz, jakie kiedykolwiek przeszły nad naszą wsią. Lało i lało. Pioruny co chwilę przecinały niebo. Telefony, telewizja, radio nie działały. Cała wieś była odcięta od świata.

W sumie teraz i tak się wiele nie zmieniło, pomyślałem. Internet nadal nie działa. Koniec świata.

Zacisnąłem usta, widząc spojrzenie Amandy. Chyba za

dobrze wiedziała, jakie komentarze produkuje mój mózg.

- Nigdy nie odnaleziono łodzi ani ciała pastora Meadow. Policja założyła, że utonął, ale... twoja babka uważała inaczej.

Davey się zaśmiał.

- Duchy! - zachichotał jak dziewczynka.

- Co? - zmarszczyłem brwi.

- Po śmierci męża pani Enbatch-Meadow trochę podupała na zdrowiu - powiedziała Amanda, rzucając Donnellowi karcące spojrzenie. - Nie mogła się pogodzić z tym, że odszedł. Cały czas twierdzi, że nie utonął i żyje.

- Po siedemnastu latach? - spytałem. Byłem sceptyczny. A kto by nie był na moim miejscu?

Amanda westchnęła.

- Bo widzisz... Violet uważa, że Johna porwały syreny, Duchy Wody.

Zamrugalem parokrotnie.

- Co? Duchy Wody?

Amanda pokiwała głową.

- Ondyny, wodniki, co chcesz. Pani Enbatch-Meadow cały czas powtarza, że istnieją. I to nie tylko one, ale także podobne istoty innych żywiołów. Mówi, że opiekują się naszym światem. Uważa, że syreny zawsze były zazdrosne o jej męża, ponieważ nie lubiła, gdy wypływał łowić i zemściły się na niej, zabierając go od niej.

- Ale to niedorzeczne - powiedziałem.

- Pani Enbatch-Meadow, twojej babce, pękło serce, odcięła się od Clarice. Myślę, że to myślenie pozwala jej pogodzić się ze śmiercią męża. Zdziwiłam się więc, gdy

usłyszałam, że przyjeżdżasz. Ale może w końcu zaczyna jej się polepszać...

Amanda podała mi torbę z zakupami.

- Dbaj o nią. Może i jest trochę wredna, ale to naprawdę mądra i zadziwiająca kobieta, Bernardzie. Masz szczęście, mając taką babkę. Ja jestem dumna z tego, że była moją nauczycielką.

Wziąłem torbę i potarłem bliznę przy ustach, rozmyślając nad słowami sprzedawczyni. Wszystko nabierało sensu: brak babki w moim życiu, niewspominanie jej na zjazdach rodzinnych... Violet, która wierzy w duchy żywiołów, by wytłumaczyć sobie śmierć męża. Zaczynało być mi jej szkoda. Jednakże, wspominając jej uśmiezek i płonące ogniem oczy, trudno było mi uwierzyć, że nadal nosi w swoim sercu żalobę. Ktoś taki nie siedziałby beczynnienie. Szukałby rozwiązania.

Lub zemsty.

Spojrzałem mimowolnie na swoją lewą rękę i wyszedłem ze sklepu.

- Nienawidzę brudasów - sapnęła Violet, klękając na podłodze. - Dlaczego dzisiejsza młodzież jest taka? Nie mają za grosz szacunku dla starszych.

Kobieta odrzuciła walającą się po podłodze koszulkę wnuka z jakimś kolejnym durnym superbohaterem w idiotycznym stroju i wsadziła rękę pod wersalkę. W końcu udało się jej znaleźć to, czego szukała.

Violet wiedziała, że nie powinna tego robić, ale... zasady są po to, by je łamać. Potrzebowała czegoś, co by ją odciągnęło od rozmyślania o rudowłosej towarzyszce Bernarda. I tak miała za dużo na głowie, musiała po prostu działać. Chociaż i tak pewnie dziś jej wnuk nasłucha się plotek od Amandy Torre. To było nieuniknione, szczególnie w tak małej wiosce. Mieszkańcy Shildaig od lat traktowali ją jako lekko ześwirowaną i godną żalu wdowę po pastorze, którą trzeba otoczyć opieką. Nie robiła nic, by temu zaprzeczyć. To było po prostu zbyt wygodne i pozwalało jej niepostrzeżenie snuć swoje plany.

Hamish na pewno by mi pomógł, ale cholernik jak zwykle siedzi na tych Hebrydach, pomyślała Violet, z lekkim niepokojem przywołując wspomnienie tamtej bladej dziewczyny. Kim okaże się dla Bernarda? Chociaż znała tego chłopaka osobiście zaledwie od paru dni, czuła się za niego odpowiedzialna.

Odpowiedzialność. Tak dawno nie czuła jej tak mocno. Nigdy nic dobrego z niej nie wychodziło.

Pamiętasz, co się stało z Johnem?

Ale może teraz będzie inaczej? Nie, nie czas teraz na to. Violet spojrzała na leżący przed nią komputer.

- Dziwniejszego miejsca już nie mógł znaleźć - mruknęła, kładąc na wersalce dużego, czarnego laptopa. Zadowolenie zagościło w jej ciele, wypierając zaniepokojenie. Otworzyła klapkę i włączyła urządzenie.

I co dalej? - uśmiechnęła się pod nosem.

[1] Hekla - islandzki aktywny wulkan (1491 m n.p.m).

22 Lipca

Dziewczyna

- Szybko się uwinąłeś, Bernardzie - Violet powitała mnie w drzwiach i natychmiast ściągnęła mi kaptur z głowy. - Kupiłeś wszystko?

Podąłem jej torbę. Violet przejrzała zakupy i wpuściła mnie do środka.

- Amanda ci pomogła?

Poszedłem za nią do kuchni i usiadłem przy stole. Violet, podśpiewując, wkładała produkty do lodówki, co było co najmniej podejrzane. Pomyślałem o Amandzie i jej opowieści - czułem, że, mimo swego charakteru i historii o duchach, Violet nadal jest szanowaną osobą w Shiedaig.

- Tak, pani Torre jest bardzo miła.

- I filuterna. Uważaj, Bernardzie, jest dla ciebie za stara. Nawet nie wiesz, jak działasz na kobiety.

Zaśmiałem się gorzko z zażenowaniem.

- Nie przesadzaj... babciu - powiedziałem z trudem.

Violet zamknęła drzwi od lodówki i postawiła na stole dwa kubki z parującą herbatą.

- Przepraszam cię za te wczorajsze prace. Naprawdę, niebywale mi pomogłeś - powiedziała słodko, a w mojej głowie natychmiast zapaliło się czerwone światło.

Podniosłem kubek i powąchałem zawartość.

- Miętowa? - spytałem.

- Tak. No, a teraz... opowiedz mi, czego się dowiedziałeś dzięki swej wyprawie.

- Ja... - Violet znów mnie zaskoczyła. - Niczego szczególnego...?

„Tej kobiety nie można oszukać”.

Wziąłem głęboki oddech.

- Chciałbym, byś opowiedziała mi o tych duchach - dodałem zgodnie z prawdą. Przez całą drogę myślałem tylko o tym, co usłyszałem. - Tych... duchach żywiołów.

- Amanda Torre ci o nich powiedziała?

- Tak - odpowiedziałem, chociaż wszystko się we mnie skręcało.

- O Johnie też?

Pokiwałem głową.

Upiła łyk przez zaciśnięte usta.

- Mogłam się tego spodziewać, no ale cóż, to mała wieś. Nie pijesz swojej herbatki?

Babka patrzyła się na mnie tak sugestywnie, że szybko upiłem trochę gorzkiego, okropnego w smaku płynu. Natychmiast się rozpromieniła. Chyba patrzenie, jak ktoś cierpi, sprawiało jej przyjemność.

- Teraz możemy porozmawiać. Nie ma lepszego sposobu na rozpoczęcie rozmowy niż dobra herbata. Pamiętaj o tym,

Bernardzie.

Napój podrażnił mi gardło i marzyłem o kanapce z bananem. W żołądku znów mi burczało. Czyżby Violet zatrzymała herbatę?

Nie, chyba znów za dużo pisałem po nocy o Auburnie.

- Chcesz posłuchać o Duchach Żywiołów?

Odłożyłem kubek na stół. Jeśli przez następne półtora miesiąca miałem z nią mieszkać, wolałem żyć w przyjaźni. W sumie byłem zaciekawiony tą historią jako pisarz.

„Nigdy nie ograniczaj się do jednego gatunku. Zbieraj pomysły, czerp inspiracje ze wszystkiego, co dzieje się w twoim życiu”.

- Amanda mówiła o tych odynach... - zacząłem.

- Ondynach, Duchach Wody - poprawiła mnie natychmiast Violet. - Tak, niektóre z tych Istot są naprawdę dość... pamiętliwe i wredne - dodała. - Lecz zwykle Duchy Żywiołów to potężne, mityczne stworzenia wyższego rzędu, mogące podróżować między wymiarami i opiekujące się równowagą w naszym świecie. Ale nie twierdzą, że są miłe. Różnie z nimi bywa.

Ta, jasne, pomyślałem. Violet w międzyczasie kontynuowała.

- Duchami Wody są ondyny, wodniki i syreny. Ziemi - gnomy, pridyny i skrzaty. W naszej okolicy szczególnie czuć ich obecność, ponieważ góry potęgują ich aurę. Duchami Ognia są salamandry i płomieniaki, a Powietrza - elfy, sylfy i sylfidy. Każdy Duch ma określone obowiązki, lecz nie wyobrażaj sobie, Bernardzie, że spotkasz je w naszym świecie. Podróżują

tutaj astralnie, w niewidzialnej dla ludzi formie, chociaż, jeśli chcą, mogą się ukazać ludziom.

- Twierdzi babcia, że dziadka Johna porwały.... ondyny? - spytałem, nie ukrywając sceptycyzmu. - Skąd to wiesz?

Violet uśmiechnęła się krzywo.

- Dokładniej - syreny. A wiem to dlatego, że posiadam Wzrok.

To teraz dowalałaś, babciu, pomyślałem. Serio, zaczynało mi być jej szkoda.

- Widzę rzeczy ukryte. Należę do osób sensytywnych. I myślę, że niedługo ty także będziesz do nich należał, Bernardzie.

Posłałem jej wymuszony uśmiech. Co, do cholery, znaczy „sensytywny”?

- Zobaczymy - odpowiedziałem.

- Niestety. Widzisz, niewiedza jest zbawienna.

Potarłem bliznę.

- To dlaczego mówisz o nich, o tych... „Duchach” mieszkańcom Shildaig, babciu?

Violet pokiwała zadowolona głową.

- Zadajesz prawidłowe pytania, Bernardzie. Aż dziwne, ponieważ jak pierwszy raz cię zobaczyłam, bałam się, że jesteś jednym z tych maniaków komputerowych... *gerdów*?

- *Nerdów* - mruknąłem, myśląc o tym, że kiedy zorientowałem się, że zostanę odłączony od Internetu na całe wakacje, miałem ochotę rozbeczeć się jak dziecko. No cóż, przeżyłem na razie dwa dni i jakoś funkcjonowałem. Ciekawe, czy po powrocie do Cambridge będę umiał obsłużyć

jakąkolwiek przeglądarke.

- No tak. Każdy z nas czegoś się uczy, Bernardzie - powiedziała babka. - Najciemniej jest pod latarnią, jak głosi stare przysłowie. Niektóre rzeczy najlepiej ukryć, wystawiając je na światło dzienne.

- Okeej - odpowiedziałem przeciągle. - Masz coś jeszcze do powiedzenia?

- Tak - kobieta uśmiechnęła się szeroko, jak zwykle nie pokazując zębów. - Czy teraz też masz coś do roboty?

- „Czy masz coś do roboty?” Mam! - syknąłem, wchodząc do swojego pokoju. Nadal panował tam chaos (ale mój chaos). Natychmiast padłem twarzą na wersalkę. Byłem głodny (czy Violet nie słyszała o czymś takim jak wiek dojrzewania?) i przeraźliwie zmęczony. Nie miałem w ustach nic od obiadu, a szczerze wątpiłem, by Violet przyszykowała kolację.

Dziś, w ramach „nie mam nic do roboty”, naoliwiłem (szczerze, nie mam pojęcia jak) zamki we wszystkich drzwiach w domu (ktoś to jeszcze robi?), poprzestawiałem meble w salonie (Violet mówiła coś o feng shui czy innym sushi) i porąbałem drewno na opał (a przecież mamy lato), nim na dobre rozpadał się deszcz. Szczerze, mojej babci chyba zaczynało brakować pomysłów na zawalenie mnie robotą, ponieważ nie miałem pojęcia, co miałbym jeszcze zrobić - może pomalować ściany?

Wtuliłem twarz w poduszkę i jęknąłem. No cóż, zmęczenie

nie zwalnia mnie z pisania. Muszę trzymać się planu.

Nadal leżąc na wersalce, wsadziłem pod nią rękę, ponieważ właśnie tam trzymałem laptopa. Wodziłem ręką po panelach, szukając zimnej, znajomej powierzchni, jednakże moja ręka natrafiła na pustkę.

Zerwałem się i ukląknę na podłodze. Wejrzałem pod mebel i jeszcze głębiej włożyłem rękę w ciemność. Nic.

Co się, do cholery, stało!?

Zacząłem przerzucać ubrania leżące na podłodze. Moja walizka nadal stała w kącie, nietknięta. Przejrzałem pustą komodę. Nigdzie jednak nie było laptopa.

W końcu mój wzrok padł na samotną szafę stojącą naprzeciw wersalki. Wstałem i podszedłem do niej. Otworzyłem lekko drzwiczki: ziała pustką. Nie dając za wygraną, otworzyłem drugie skrzydło. Zobaczyłem przypiętą do drzwi kartkę zapisaną prawie nieczytelnym pismem.

Zajrzałeś wreszcie do szafy, Bernardzie. Wiedz, że to właśnie tu powinny leżeć ubrania, a nie na podłodze.

Violet

PS Wzięłam twojego laptopa, oddam go, jak posprzątasz w pokoju. Nienawidzę brudu i wierz mi, potem mi podziękujesz, że go posprzątałeś.

Wpatrywałem się w kartkę jeszcze przez parę sekund.

- Cholera!

Kopnąłem szafę, czując, jak wzbiera we mnie wściekłość. Czemu właśnie ja? Czemu!?

Zacisnąłem usta i potarłem bliznę. Spokojnie. Policz do dziesięciu. Rozegrajmy to na luzie, na luzie, Bernardzie. To tylko staruszka.

Która grzebała w twoim pokoju. Skąd wiedziała, że laptop leży pod wersalką? Skąd...

Zatrzasnąłem drzwi szafy. Przy tym, co teraz zgotował mi pech, całe ostatnie szesnaście lat było pasmem sukcesów. Nawet w czwartej klasie, oblawszy sokiem porzeczkowym Stacy Watson, w której się podkochiwałem, tak się nie zdenerwowałem.

Zbiegłem na dół, kierując się do salonu. Violet, kiedy tylko nie zajmowała się uprzykrzaniem mi życia, najczęściej właśnie tam spędzała czas, czytając jakieś powieści lub męcząc telewizor. Teraz zastałem ją w fotelu z moim laptopem na kolanach. Widząc mnie, teatralnie zamknęła klapkę.

- Jesteś - na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Oddaj mi laptopa - powiedziałem szorstko. Za oknem deszcz wezbrał na sile.

- Oddam, jak posprzątasz pokój.

- Nie jesteś moją matką - syknąłem.

- Ale babcią już tak. Czy Clarice nie nauczyła cię manier?

Wzięłem głęboki oddech. Na luzie, Bernardzie, rozegraj to na luzie.

- Nie ma tam tego Internetu. Nie ma nic... do roboty - z całych sił starałem się, by mój głos zabrzmiał mile. - Grasz w karty czy coś? Może w pasjansa? Możemy zagrać razem.

- Nie - Violet odpowiedziała przeciągle, a jej blade oczy zapłonęły. - Czytam twoją książkę.

Zamurowało mnie.

Co?!

Co...

Ona...

Właśnie...

Powiedziała?!

- Chociaż moim zdaniem Auburn powinien natychmiast zaaresztować Mistral. A inspektor Devilish? Absolutna rewelacja. Masz lekkie pióro i przynajmniej umiesz pisać dialogi, co w dzisiejszych czasach jest doprawdy rzadkością.

- Czytałaś moją książkę?! - krzyknąłem, czując, że gniew, który tlił się we mnie od pewnego czasu, zaczyna wymykać się spod kontroli. Żadnego luzu, Bernardzie. Są pewne granice.

- Tak, a po co byłby mi twój komputer? - babcia odłożyła kubek z tą głupią miętową herbatą na stolik obok. Była tak spokojna, że jeszcze bardziej mnie to rozwścieczyło.

- Nie, nie, nie, nie! - pogroziłem jej palcem. - Jak mogłaś? To... to moja własność! Nie grzebie się w czyichś rzeczach!

Violet wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

- Ale to dość przyjemne - ziewnęła. - Sam się o tym przekonałeś, słysząc plotki od Amandy, Bernardzie.

Zamrugalem.

- Ale... ale! To chore! Po prostu... przestań! Nie możesz być... normalna? Robić na drutach szalików i skarpetek jak inne babcie? A nie ganiać mnie z robieniem tych bezsensownych prac domowych?! Nie miałaś prawa go

dotykać!

- I tak go nie oddam, Bernardzie.

Powieka zaczęła mi drgać. O bliźnie już nie wspomnę.

- Wiesz co? Nie chciałem tego mówić, ale jesteś... starą, zgorzkniałą babą, która wyżywa się na wszystkich! Nie dziwię się, że moja matka nie wspominała mi o tobie! Wychodzę!

Gwałtownie wsunąłem na głowę kaptur.

- Nie posprzątam też pokoju! Nigdy!

Odwróciłem się i wybiegłem z domu na podwórko. Natychmiast przekonałem się, że to zły pomysł. Z nieba lał zimny, przenikający na wskroś deszcz i nie minęła nawet chwila, a byłem cały przemoczony. Potarłem bliznę i kopnąłem pień, na którym dziś rąbałem drewno.

- Dlaczego zawsze ja! Ty! Głupi pechu! - krzyknąłem. - Co mi jeszcze ześlesz?! No co!? Co!? Co!?

Odwróciłem się w stronę Loch Shialdaig. Morze było wzburzone i fale co raz obmywały kamienie na brzegu zatoki. Deszcz płynął mi po twarzy, a we mnie wrzała krew. Pogoda doskonale wpasowywała się w stan mojego ducha.

- Nienawidzę tego miejsca - syknąłem. Naprawdę go nienawidziłem. Naciągnąłem na dłonie rękawy bluzy i zacząłem biec po brzegu plaży, coraz szybciej i szybciej.

Wiatr uderzył mnie w twarz, a kaptur opadł. Obrazy po bokach zmyły się w jedną niewyraźną plamę. Bolał mnie każdy mięsień. Przebiegłem już prawie całą długość plaży, gdy poczułem, jak emocje we mnie opadają. Bieg przywrócił mi możliwość jasnego myślenia. Uzmysłowiłem sobie głupotę własnego zachowania.

- Jestem skończonym kretysem - zatrzymałem się raptownie i spojrzałem na zatokę. Tego właśnie zawsze chciałem unikać - niepotrzebnych słów, których potem żałowałem. Ale jednocześnie myśl o tym, że Violet czytała moją książkę, że grzebała w moich rzeczach sprawiała, że po raz kolejny miałem ochotę wrzeszczeć z wściekłości.

- I co teraz zrobisz? No co, idioto? Musisz wrócić do domu, przeprosić ją, posprzątać pokój i wyjść na frajera, którym przecież jesteś. Cholera!

Włosy przykleiły mi się do czaszki i wściekłym gestem nałożyłem sobie ponownie kaptur. Co powiedziałyby Auburn?

Przymknąłem oczy i natychmiast usłyszałem w głowie głos detektywa.

Widzisz, Mistral. Nie chodzi o to, co czynisz. Chodzi o to, jak te... te czyny oddziałują na twoje życie. Na ciebie. Musisz sobie uświadomić i zrozumieć, że nie powstrzymam cię przed kolejnymi zabójstwami i nie aresztuję cię. Nie powstrzymam cię przed samą sobą. Sama musisz to zrobić, Wietrze Północy. Ty musisz zdecydować, kim chcesz naprawdę być.

- Nie będę idiotą - powiedziałem do siebie. - Jestem spokojnym, wyrozumiałym człowiekiem - każdy, kto mnie znał, wiedział, że to nieprawda. - Przeproszę babcię Violet. I posprzątam ten głupi pokój. Od dziś nie zdenerwuję się na nikogo.

Uśmiechnąłem się lekko pod nosem i potarłem bliznę. Krople deszczu nadal płynęły mi po twarzy i czułem, że mimo lata ręce mi marzną.

Spojrzałem jeszcze raz na Loch Shielraig i zacząłem znów

biec kamienistym brzegiem. Z każdym następnym krokiem negatywne emocje mnie opuszczały.

Miałem nadzieję, że na zawsze.

Gdy byłem może sto metrów od domu babki, nagle się zatrzymałem.

- Co do jasnej...

Zamrugalem parę razy oczyma, jednak iluzja nie zniknęła. Może to przez deszcz? Było przecież ciemno. Nie. To niemożliwe.

Przeskoczyłem drewniany płot ciągnący się przez środek kamienistej plaży, nie wierząc własnym oczom.

Na brzegu Loch Shialdaig leżała dziewczyna, a jej szczupłe ciało obmywała woda. Była przemoczona do suchej nitki, a biała, długa sukienka przykleiła się do ciała w takich miejscach, że natychmiast przeniosłem wzrok na twarz nieznajomej.

Ukląknęłam przy niej.

Miała przymknięte oczy, lecz i tak wiedziałem, że jest piękna. Nie, przepiękna. Nie w stylu dziewczyn z toną tapety na twarzy z tych głupich magazynów, w których zaczytywały się moje koleżanki ze szkoły. Była taka... prawdziwa, jednocześnie wyglądając jak nie z tego świata.

Miała pociągłą twarz z dużymi, różowymi ustami, długim, spiczastym nosem i gęstymi, prostymi brwiami. Była przeraźliwie blada, niemalże przezroczysta. Długie włosy przykleiły się jej do czaszki, lecz mogłem założyć się o całe swoje kieszonkowe, że są rude. Nie w tym okropnym, sztucznym kolorze, tak bardzo ostatnio modnym. Takim

głębokim, wchodzącym w brąz. Naturalnym.

Drgnąłem, gdy fala uderzyła w brzeg, mocząc mi buty.

Ratuj ją, bo dostanie hipotermii, ty idioto, zganilem się w myślach.

Błyskawicznie zdjęłem z siebie mokrą bluzę i, podnosząc dziewczynę z plaży, owinąłem ją w przemoczone ubranie.

- Jak się tutaj znalazłaś? - mruknąłem.

Dziewczyna poruszyła głową. Znów zamarłem. Poczulem na skórze jej zimny oddech, przypominający jesienny wiatr.

Wzięłem głęboki oddech i delikatnie objąłem dziewczynę w talii. W końcu wstałem, biorąc ją na ręce. Była zaskakująco lekka, mimo naprawdę wysokiego wzrostu. Jej głowa opadła na moją pierś, doskonale się tam wpasowując.

Zacząłem iść w kierunku domu Violet. Deszcz i wiatr coraz mocniej uderzały mnie w twarz, jednak szedłem wytrwale. Dziwne, ciepłe uczucie, które zagościło w moim sercu, kiedy patrzyłem na bladą twarz nieznajomej, dodawało mi siły.

Niespodziewanie wzięła płytki wdech i uniosła ciężkie powieki. Napotkałem spojrzenie pary ogromnych, opalizujących, fioletowych oczu, najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem w swoim życiu, a potem, niczym kurtyna po przedstawieniu, powieki dziewczyny znów opadły.

Zatrzymałem się, przypatrując się jej twarzy z narastającą fascynacją.

- Nie mam pojęcia, kim jesteś - wyszeptałem. - Ani jak się tam znalazłaś, ale teraz nic ci już nie grozi.

23 Lipca

Nieznajoma

Wchodząc do domu, otworzyłem kopniakiem drzwi. Z salonu usłyszałem oburzony okrzyk Violet.

- Co ty wyrabiasz, chłopcze?!

Sapnąłem i z łoskotem zamknąłem drzwi, nadal mocno trzymając dziewczynę. Miałem szczerze gdzieś, że błoto kapie na perfekcyjnie czystą podłogę. Dziewczyna była ważniejsza.

- Czy ty żartujesz?

Podniosłem głowę, napotykaając oszołomione spojrzenie babki. Patrzyła to na mnie, to na omdlałą dziewczynę. Jej oczy robiły się coraz większe.

- Przepraszę cię później - powiedziałem. - Teraz może byś mi pomogła?

Violet prychnęła, a wzrok utkwiała w dziewczynie. Jednakże dostrzegłem w jej oczach niepokój.

- Zanieś ją do salonu. Za chwilę przyjdę - wyszeptała.

Przełknąłem ślinę i czym prędzej położyłem nieznajomą na kanapie. W świetle lamp wydawała się jeszcze bledsza, a jej skóra była bez żadnych skaz. Przez chwilę przemknęło mi

przez myśl, że ktoś taki nie może być człowiekiem.

- Musisz stąd wyjść, Bernardzie - usłyszałem głos babki.

Trzymała w rękach stos ręczników i ubrań. Cały czas patrzyła na twarz dziewczyny, marszcząc brwi. Coś podpowiadało mi, że nie powinienem opuszczać bezbronnej nieznajomej.

- Dostanie zapalenia płuc, jeśli nie zdejmę jej ubrania - syknęła Violet. - Więc jeśli jesteś dżentelmenem, a w to wątpię, powinieneś stąd wyjść i dać jej trochę prywatności. To byłoby właściwe.

Spojrzałem na bladą twarz dziewczyny. Nie wyglądała na spokojną. Na jej pięknej twarzy pojawił się grymas, a pomiędzy brwiami zmarszczka. Cokolwiek działo się w jej umyśle, nie było przyjemne.

Wstałem z fotela i potarłem bliznę.

- Zrobię herbatę - powiedziałem.

- To dobry pomysł. I nalej ciepłej wody do miski. Nie wiadomo, co stało się tej... dziewczynie - głos babki zniżył się do szeptu.

Odwróciłem się. Violet podniosła jedną brew. Zaczęła już wycierać z wody skórę dziewczyny.

- Na co czekasz?

- Już idę - burknąłem.

W kuchni przygotowałem trzy kubki i wrzuciłem saszetki z herbatą miętową, jedyną jaką miała Violet. Moje myśli cały czas kręciły się wokół nieznajomej. Jak to się stało, że znalazła się na brzegu Loch Shildaig?

Czajnik zagwizdał i czym prędzej zaparzyłem herbatę.

Wziąłem także miskę z szafki, największą jaką znalazłem. Przez wąską szparę w drzwiach kuchni widziałem pochylającą się nad dziewczyną Violet. Wodziła palcami po jej twarzy, mrużąc coś pod nosem. Znów bezwiednie potarłem bliznę.

- Czy mogę wejść? - spytałem i pchnąłem szybko drzwi ramieniem. Niepokój narastał we mnie jak jakiś grzyb.

Okej, nigdy nie byłem za dobry w porównaniach.

Violet puściła bezwładną rękę dziewczyny. Postawiłem kubki na stoliku, a miskę z gorącą wodą obok kanapy. Ukląknę na dywan obok Violet.

- Jest cała wyziębiona - powiedziała, owijając ręcznikiem jej długie włosy i trąc je, według mnie, zbyt mocno. - Nie mam pojęcia, jak długo była na tym brzegu.

- Morze wyrzuciło ją niedawno - mruknąłem. - Nie było jej, gdy wychodziłem z domu.

- Może zachorować... albo nie - dodała chłodno Violet, z dziwnym wydźwiękiem. - Ale ty... - szturchnęła mnie w zmoczone ramię - na pewno dostaniesz zapalenia płuc, jeśli się nie przebierzesz. Marsz na górę!

Wzruszyłem ramionami.

- Słyszałeś, co mówiłam? W dodatku nie mogę tu nic zrobić, jak nas podglądasz.

Wywróciłem oczami.

- Nie podglądałem jej.

- Wszyscy mężczyźni tak mówią. Idź na górę i się przebierz. Nie potrzeba mi dwóch chorych nasto... nastolatków.

Zacisnąłem usta, wiedząc, że nie mam szans w starciu

z Violet. Wyszedłem szybko z salonu i udałem się do swojego tymczasowego pokoju. Wziąłem ze sterty ubrań pierwsze lepsze spodnie i koszulkę.

Minutę później, wycierając ręcznikiem mokre włosy, zszedłem na dół. Ciepło, które pojawiło się w moim ciele, gdy niosłem dziewczynę, powróciło.

Zastąpiłem Violet siedzącą w fotelu w salonie. Na mój widok zacisnęła usta.

- To wszystko. Teraz trzeba czekać, aż się obudzi - powiedziała.

Spojrzałem na nieznajomą. Leżała okryta kocami, a na jej bladej twarzy pojawił się jeszcze większy grymas. Miałem ogromną ochotę dowiedzieć się, co jej się śni.

- To wszystko? - spytałem.

- Co?

- Znalazłem ją nad brzegiem morza, babciu. Nie dzwoniśmy na policję, na pogotowie?

- Nie będzie to potrzebne, Bernardzie.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Ale... nie, nie, nie. Musimy. Ktoś może jej szukać.

Violet podniosła jedną brew i upiła łyk herbaty.

- Zdecydujemy, co zrobić, kiedy się obudzi. Wiem, co robię - uśmiechnęła się sztucznie, jednak po chwili jej wzrok spoczął na dziewczynie. - Naprawdę, Bernardzie.

Usiadłem na fotelu naprzeciw kanapy i także utkwilem wzrok w dziewczynie. Przypomniałem sobie obietnicę złożoną samemu sobie.

- Babciu - zacząłem. - Ja... ja chciałabym cię przeprosić.

Zachowałem się jak skończony idiota.

- Yh-hym - Violet upiła następny łyk.

Kontynuowałem.

- Staram się nad sobą panować, ale... to dość trudne. Pisanie pomaga mi utrzymać emocje w ryzach, ale nie pokazuję nikomu swej pracy. To... było trudne. Posprzątam ten pokój, babciu.

Violet posłała mi szeroki uśmiech.

- Może nie jesteś taki zły. Dobry z ciebie chłopak. Masz - podała mi czarnego laptopa. - Nie mam z niego żadnego pożytku.

Nasze spojrzenia spotkały się. Czyżby mi się zdawało, że... złagodniała? Nie, to niemożliwe. Poczuję się jednak bezpieczniejszy, kiedy laptop znalazł się na moich kolanach.

- Jak myślisz, kim jest? - spytałem. - Ta dziewczyna?

Violet niechętnie spojrzała na nieznajomą.

- Nie mam pojęcia, ale mam przeczucie, że niedługo się dowiemy, Bernardzie. Dowiemy się - dodała ciszej.

Błysk. Odgłosy morza. Deszcz. Gdzie się znalazłam? Gdzie? Wszystko przecież miało potoczyć się inaczej.... Zupełnie inaczej.

Ból, jaki rozsadzał mi czaszkę, był nie do wytrzymania. Nie był porównywalny do niczego, co czułam wcześniej. Jakby ktoś rozrywał mnie po kolei, po każdym atomie, topił w oceanie...

Przecież ty nic nie czujesz. Nic. Kiedy to wreszcie zrozumiesz? Ty nic nie czujesz.

Nie miałam panowania nad własnym ciałem. Pierwszy raz, odkąd pamiętałam, nie mogłam się ruszyć. Zadziałać. Pozwalałam, by na moją twarz padał deszcz, by obmywała ją woda. I tak było mi wszystko jedno.

Nie udało mi się.

I nadal to czułam.

Niespodziewanie, wśród odgłosów deszczu i morza, usłyszałam szybkie kroki. Ktoś biegł po plaży.

I nagle - zatrzymał się.

Miałam wrażenie, że moje serce zaczęło bić szybciej.

Ten ktoś zbliżył się. Przez chwilę wydawało mi się, że ktoś mnie podnosi. Moja głowa zawisła bezwładnie. Przynajmniej tak sądziłam. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Słyszałam tylko huk burzy, morza...

- Jak się tutaj znalazłaś?

Cichy szept przebił się przez cały chaos, sprawiając, że skupiałam się tylko na jego brzemieniu. Musiał należeć do mężczyzny, nie - bardzo młodego mężczyzny.

Chłopaka? Tak.

Tak określało się ich *tutaj*.

Poruszyłam głową i wypuściłam z siebie powietrze. Natychmiast poczułam się lepiej. Powoli odzyskiwałam panowanie nad własnym ciałem. Nie miałam jednak pojęcia, ile czasu mi to zajmie.

Uniosłam powieki i natychmiast zostałam pochłonięta przez dwoje bladoniebieskich oczu wpatrujących się we mnie z zaciekawieniem. Mój wzrok zdołał się zatrzymać na brązowej plamce przy jego lewej źrenicy, gdy znów zaczęłam odpływać.

- Nie mam pojęcia, kim jesteś - usłyszałam z daleka. Młody mężczyzna miał miły, matowy głos. - I jak się tam znalazłaś, ale teraz nic ci już nie grozi.

Zmarszczyłam brwi.

Naprawdę chciałam, by tak było.

Jednak to nie była prawda.

I nigdy nie będzie.

Auburn biegnie mrocznym korytarzem uliczek Nowego Jorku. Rana w ramieniu, którą zafundował mu ten wyrostek glockiem dziewiętnaście, bronią dostępną w każdym lepszym sklepie z amunicją, znacznie utrudniała mu bieg. Wie, że ta cholerna kula nadal siedzi mu w ciele, zaś krew już dawno przesiąkła koszulę.

Musi go jednak dogonić.

Jego samotna i nielegalna akcja zakończyła się fiaskiem. Cały misterny plan, tworzony przez całe miesiące, zawalił się, kiedy po ścianach jednej z ciemnych uliczek Bronksu prześlizgnął się cień jednego, doskonale wyszkolonego snajpera.

Zdołał tylko zobaczyć, jak jego cel, szef gangu Laine'ów, największy diler w całym okręgu, pada nieżywy na ziemię. Nie minęła chwila, kiedy poczuł, jak jego ramię przeszywa pocisk.

Wiedział już wtedy, że to Wiatr Północy.

Ten wyrostek już od ponad roku wiedział, kiedy i gdzie będzie próbował przyskrzynić kolejnego zbira. Zabijał ich po kolei, swą precyzyjnością zadziwiając każdego w wydziale. W dodatku Wiatr Północy był nieuchwytny, niebezpieczny, jak głośił jego pseudonim.

Wreszcie dorwie tego skurczybyka.

Dostrzega tylko...

Co? Cień?

- Czy nie za długo siedzisz nad tą książką, Bernardzie? Pisziesz już od pięciu godzin. Ile stron napisałeś?

Przetarłem oczy i ziewnąłem. Violet podeszła do mnie i położyła mi rękę na ramieniu.

- Dwa tysiące słów. Słabo. Jakoś mi nie idzie - powiedziałem, a mój wzrok ześlizgnął się na dziewczynę. To właśnie ona zaprzętała mój umysł. Już dawno wybiła północ, ale coś mi mówiło, że muszę, MUSZĘ być przy niej, gdy się obudzi.

- To nie pisz. Najważniejsze, że coś w ogóle dziś napisałeś - poklepała mnie po ramieniu.

Zapisałem plik i wyłączyłem laptopa, nie odrywając wzroku od dziewczyny. Nie mogłem myśleć o niczym innym tylko o niej.

- Pójdę spać - powiedziała moja babka. - Jak się obudzi, zawołaj mnie.

- Dobranoc - uśmiechnąłem się do niej. Musiało być ze mną naprawdę źle, jeśli rozmawiałem z Violet jak z dobrą znajomą.

Violet odwzajemniła uśmiech. Zamrugąłem oczami.

- Wiedziałam, że jakoś się dogadamy. Tylko nie pisz, dobrze?

Wyszła z salonu i już przymykała drzwi, gdy wyrzuciłem z siebie:

- A ty tak na serio wierzysz w te Duchy?

Violet uchyliła drzwi, a wątko światła lampy sprawiło, że jej twarz wydawała się pełna kątów ostrych.

- Oczywiście, Bernardzie - odpowiedziała cicho. - Wierzę

całym sercem, a któregoś dnia - jej wzrok spoczął na dziewczynie - sam się o tym przekonasz.

Przewróciłem oczami.

- Dobranoc - powiedziała.

- Dobranoc - odmruknąłem.

Gdy tylko zamknęła drzwi, odłożyłem laptopa i potarłem bliznę przy ustach. Ciepło w ciele nadal mnie nie opuszczało i miałem wrażenie, że ma to związek z NIA. Zmrużyłem piekące oczy.

Jak to się stało, że ta dziewczyna znalazła się na brzegu morza? Słyszałem, że takie osoby mogą być uciekinierami ze współczesnych pirackich statków przemycających ludzi na organy. Możliwości mogło być mnóstwo, a ja niestety nie byłem Sherlockiem Holmesem, by posłużyć się dedukcją i na podstawie kupki błota lub ubrania dowiedzieć się, kim jest. Tylko dziewczyna знаła odpowiedź na to pytanie, a, sądząc z wyrazu jej twarzy, rozwiązanie nie mogło być zbyt pozytywne.

Czemu Violet nie chciała zadzwonić na policję? Przetrzywanie w domu nielegalnego imigranta lub osoby zaginionej jest sprzeczne z prawem. Na dodatek zaprzeczała sama sobie. Była piekielnie inteligentna. Wiedziałem to. Jej wiara w te... w te Duchy wydawała się po prostu śmieszna, kompletnie wyjęta z kontekstu. Widocznie nigdy nie będzie mi dane zrozumieć, co dzieje się w umyśle mojej babki.

Ani żadnej kobiety.

Wstałem z fotela i mimowolnie usiadłem na podłodze przed kanapą. Delikatnie zdjąłem ręcznik z włosów

dziewczyny i nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

Kasztanowo-rude. Tak jak się spodziewałem. Wziąłem w dwa palce jeden z wyschniętych już kosmyków, przypatrując się jasnym refleksom. Naprawdę byłem idiotą.

Znienacka dziewczyna otworzyła szeroko oczy i błyskawicznie złapała mnie za nadgarstek, a ja mimowolnie skrzywiłem się z bólu. Miała niesamowicie silne i chłodne palce. Zacisnęły się wokół mojego nadgarstka jak imadło, mroząc mi skórę i miażdżąc rękę.

Nadal mnie trzymając, dziewczyna wyrwała swój kosmyk włosów z moich palców i odwróciła twarz w moją stronę. Jej wielkie, fioletowe oczy przygasty, a źrenice się powiększyły. Dziewczyna puściła mnie.

- To ty - wyszeptała, lekko poruszając wargami.

Byłem sparaliżowany i niepewny, co to spowodowało: nagle przebudzenie nieznajomej czy jej niski, chrapliwy i... zimny głos z dziwnym, jakby archaicznym szkockim akcentem.

Zamrugła parę razy oczami i gorączkowo rozejrzała się po salonie, po czym popatrzyła na swoje ręce, zgięła parokrotnie palce i dotknęła bladej twarzy. W jej oczach widziałem zagubienie, lecz kiedy jej wzrok spoczął na mnie, spojrzenie było twarde niczym stal, niezłomne.

W tamtej chwili uświadomiłem sobie jedno: jest silna. I to pewnie o wiele bardziej ode mnie.

- Gdzie jestem? - spytała.

Wyswobodziła się z koca, którym okryła ją Violet i zobaczyłem, że babka przebrała ją w jedną z moich niezliczonych czarnych koszulek. W tę z Lokim i napisem *I DO*

WHAT I WANT. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu na twarzy.

Teraz już mogła mnie zaliczyć do palantów. Pewnie wyglądałem, jakbym się naćpał.

- W Shildaig. Morze wyrzuciło cię na brzeg - udało mi się wreszcie wydusić z siebie.

- Shildaig? Matko... Nie - wyszeptała. - Znalazłeś mnie, tak? - zreflektowała się. - Dziękuję - jej głos trochę zadrżał.

- Nie ma za co - odpowiedziałem. - Jestem Bernard. Bernard Oaken - przedstawiłem się.

Dziewczyna zmrużyła oczy i zagryzła wargę. Nie wydawała się jakoś wstrząśnięta faktem, że prawie dostała hipotermii. Przeciwnie, biła od niej jakaś dziwna, niezrozumiała dla mnie pewność siebie.

- Nie jest ci zimno? - spytałem.

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Słucham?

- Nie czujesz się źle? Nie masz gorączki, dreszczy?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, czuję się dobrze. Naprawdę - jej głos był twardy, pewny. Dałem za wygraną.

- Co ci się stało? - wypowiedziałem to jedyne pytanie, które chciałem jej zadać, odkąd ją znalazłem.

Nieznajoma pobladła, co naprawdę było czymś zaskakującym przy jej bladości. Jej ręce zacisnęły się na krawędzi kanapy. Utkwiłem w niej wzrok, widząc, jak pospiesznie przełyka ślinę. Miałem wrażenie, że coś rozważa, planuje, gdyż utkwiała za mną nieprzytomny wzrok. W jej

oczach znów pojawił się na chwilę strach, a pomiędzy brwiami zmarszczka.

- Autumn. Nazywam się Autumn Hawthorne - powiedziała cicho. Fioletowe, hipnotyczne oczy wwierciły się we mnie, a coś musnęło moją twarz.

- Autumn - wyszeptałem, wiedząc, że jesień już zawsze będzie mi się z nią kojarzyć. - Ładne imię. I niecodzienne nazwisko. Drzewne. Jak moje.^[1]

Mierzyliśmy się wzrokiem.

- Ale nie o to pytałem. Co ci się stało? Czemu morze wyrzuciło cię na brzeg?

Dziewczyna wstała. Jej blada skóra odcinała się wyraźnie na tle czarnej koszulki.

- Naprawdę ci dziękuję, ale muszę iść. Nic mi nie będzie.

Odwróciła się ode mnie, a jej falowane włosy, sięgające do połowy pleców, poruszył niewidzialny wiatr. Wstałem, zatrzymując ją: jej skóra, mimo że leżała pod trzema wełnianymi kocami, była lodowata.

- Nie możesz nigdzie iść - powiedziałem. - Kim jesteś? Ktoś cię szuka?

Drgnęła. Zacisnęła usta i spojrzała mi odważnie w oczy. Nie musiała jak większość dziewczyn zadzierać głowy, by spojrzeć mi w twarz. Zastanawiałem się, ile ma wzrostu. Sześć stóp z kawałkiem? Nie, chyba mniej.

- Nic o mnie nie wiesz i niech tak pozostanie - powiedziała cicho, wyraźnie artykułując. - Dziękuję ci za opiekę, ale muszę iść - jej ramiona zeszywniały, a paznokcie wbiły się w moją skórę. - Nie potrzebuję już twojej pomocy.

- A mi się zdaje, że tak, młoda damo.

Oboje odwróciliśmy głowy w tym samym momencie. W drzwiach salonu z szerokim uśmiechem na twarzy stała Violet. Autumn momentalnie jeszcze bardziej pobladła, co było doprawdy niepokojące, biorąc pod uwagę to, że i tak wyglądała nadzwyczaj blado. Kobiety przez parę sekund mierzyły się wzrokiem tak intensywnie, że w pokoju zrobiło się zimno.

- Ty... ty - Autumn tylko tyle zdołała wydukać, ponieważ Violet natychmiast jej przerwała.

- Tak, młoda damo - podeszła do niej i delikatnie chwyciła jej lewą rękę.

Autumn puściła moją dłoń. Na twarzy babki znów wykwitł ten straszny, zwiastujący kłopoty uśmiech.

- Obie dobrze wiemy, co to oznacza - postukała ją we wnętrze dłoni, w jedno ze zgięć, które u dziewczyny były prawie niewidoczne.

Autumn przełknęła ślinę i wyrwała z jej dłoni swoją rękę. Violet przekrzywiła głowę, wyraźnie zadowolona z efektu, jaki wywarła na dziewczynie.

- Potrzebujesz mojej pomocy - dodała złowrogim szeptem.
- I nie zaprzeczaj. Nie masz nikogo, prawda? Nikogo. Twoja decyzja była nieprzemyślana. Ale rozumiem cię...

- O co wam chodzi? - spytałem, już dość wkurzony. - O co?

- Bernardzie, myślę, że powinieneś stąd pójść. Ja i ta młoda dama musimy poważnie porozmawiać.

- Nie. Ja ją znalazłem i...

- A ona zasługuje na odrobinę prywatności, Bernardzie.

Uszanuj to.

Przeniosłem wzrok na Autumn, która już nie patrzyła na mnie, całą swoją uwagę skupiając na Violet. Atmosfera w pokoju była tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

Chyba jednak byłem frajerem: nie miałem szans w starciu z tymi kobietami. I kto je nazywa słabą płcią?

Zacisnąłem gniewnie usta i potarłem bliznę. Jeżeli jednak myślały, że mnie tak łatwo spławią, były w błędzie. Pokornie wyszedłem z salonu i udałem się na górę.

W końcu można uczestniczyć w rozmowie na wiele sposobów.

[1] Bohater ma na nazwisko Oaken - ang. dębowy, a Autumn Hawthorne - od ang. *hawthorn* - głóg.

23 Lipca Pytania

Jak zwykle się myliłem. Mój plan podsłuchania rozmowy Autumn i Violet spełził na niczym. Zwykle mogłem usłyszeć wszystko, co dzieje się na dole, w tym głośne chrapanie Violet przed telewizorem (lubiła oglądać po nocach jakiś talk-show i kryminały BBC) i jej złośliwe szepty, jednak dzisiaj panowała cisza tak frustrująca, że po piętnastu minutach siedzenia na klęczkach z przyklejonym do szklanki uchem mało nie dostałem zawału, gdy Autumn otworzyła drzwi na oścież.

Zrywając się z podłogi, zatoczyłem się i walnąłem w szafę. To by było na tyle, jeśli chodzi o imponowanie dziewczynom.

- No co? Zamierzacie mnie eksmitować? - spytałem, rozcierając sobie skroń. Do Cambridge wrócę wykończony psychicznie i fizycznie.

Autumn omiotła wzrokiem pokój. Nadal miała na sobie moją koszulkę, jednak Violet dała jej czerwony szlafrok, którym okryła się szczelnie. Była boso. Na jej twarzy może i panował idealny spokój i dystans, jednak oczy pełne były sprzecznych emocji. Gniew? Zagubienie? Nie miałem pojęcia.

Nagle ogarnęło mnie szaleńcze pragnienie, by poznać jej myśli, jej... życie.

- Twoja babka prosi cię na dół - powiedziała i nie mogłem nie zauważyć, że wypowiedziała słowo „babka” z niemałym trudem.

Skrzywiłem się. Autumn skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie słyszysz?

- Doskonale cię słyszę - syknąłem. - Ale nie jestem głupi - dodałem, podchodząc do niej.

Autumn uniosła brodę i wyzywająco odwzajemniła spojrzenie. Wyraz jej twarzy był dla mnie zagadką.

- Czasami jesteście tacy śmieszni - wyszeptała.

- Nie widzę niczego, z czego można by się śmiać - odpowiedziałem.

O kim tak mówiła? O chłopakach? Może. Z dziewczynami nigdy nic nie wiadomo.

Autumn spojrzała w bok, wzdychając.

- Wiesz... nieważne. Twoja babka prosi cię na dół.

Bez wysiłku odsunęła mnie od siebie i przeszła po moim zagraconym pokoju. Poczuję się trochę zirytowany jej lekceważącym zachowaniem i postawą w stosunku do mnie.

- A ty? Ty nie idziesz? - spytałem.

Autumn oderwała wzrok od okna i pokręciła głową.

- Nie. Mam to już mniej więcej za sobą. Idź, ona nie lubi... czekać.

Wywróciłem oczami. *Nie lubi czekać, zrób to, zrób tamto.* Naprawdę, jeśli tak dalej pójdzie, to wrócę do domu jako kompletny pantofel.

Pchnąłem drzwi, lecz nim wyszedłem, usłyszałem niski głos Autumn:

- Na twoim miejscu, Bernardzie, nie podsłuchiwałabym. To i tak nie miałyby sensu.

Odwróciłem się, pocierając odruchowo bliznę. Autumn podniosła jedną brew. Boże, kolejna Violet. Nie, nie...

Jednak Violet nie była tak piękna jak Autumn.

Ze mną jest jednak coraz gorzej. Nie powinienem brać pod uwagę tylko urody. Liczy się coś więcej, ale przeczuwałem, że Autumn nie jest pustą lalą.

Wycofałem się szybko i zszedłem na dół, zastając Violet siedzącą przy kuchennym stole i popijającą miętową herbatkę. Na mój widok odstawiła kubek i splotła ręce na stole.

- Bernardzie... - zaczęła.

- O co w tym wszystkim chodzi? - wyrzuciłem z siebie. - Autumn... ta dziewczyna...

- Zamieszka z nami. Na jakiś czas - weszła mi w słowo Violet.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Co?!

- Nie mówię po niemiecku, więc chyba zrozumiałe. Ta... dziewczyna, jak ładnie to ująłeś, kochany wnuku, zamieszka z nami. Tymczasowo, oczywiście. Więc na ten czas prosiłabym cię, byś unikał typowych dla chłopców w twoim wieku... zachowań.

- Ciekawe jakich. Nie śpię przecież nago.

Violet posłała mi karcące spojrzenie.

- Proszę cię także o niewypytywanie Autumn o jej

przeszłość. Jest tu pod moją opieką i nie życzę sobie tego. Ona także. Dała mi to wyraźnie do zrozumienia.

- Oczywiście. Znalazłem przecież nieprzytomną dziewczynę nad brzegiem morza, a moja babcia nawet nie zgłosi tego na policję! Na dodatek nie mogę jej wypytywać o to, kim jest, ale, co tam, niech zamieszka z nami!

Violet zmarszczyła brwi i zmrużyła niebezpiecznie oczy.

- Właśnie takich zachowań masz unikać - powiedziała chłodno. - Nie lubię twoich sardonicznych uwag i sarkazmu, Bernardzie. Powinieneś bardziej kontrolować swoje emocje i temperament. Dobrze o tym wiesz. Nie wtrącaj się w życie Autumn, a zniknie tak szybko, jak się pojawiła.

Zacisnąłem ręce w pięści. Coś we mnie zawrzało.

Dziwiło mnie to, że babka nagle staje w jej obronie, że tworzą razem jakiś... front przeciwko mnie. Czułem się odrzucony, bezużyteczny.

Drugą rzeczą, jaką sobie uświadomiłem w tej chwili, było to, że nie chciałem, by Autumn znikła z mojego życia. Nie chciałem jej stracić. Być może to przez tę całą babską pisaninę zacząłem być taki uczuciowy, ale gdy tylko ją ujrzałem, urzekła mnie. Zachwyciła. Była inna niż ktokolwiek, kogo spotkałem, mimo że znałem ją od paru godzin. Wiedziałem, że i tak jestem skazany na niepowodzenie, ale cóż.

Do odważnych świat należy.

Wróciłem do swojego pokoju i zastałem Autumn siedzącą na mojej tymczasowej, za małej wersalce. Nie podniosła nawet głowy, kartkując nieprzerwanie komiks z Thorem.

- Rozmawiałem z babką - powiedziałem.

- Yhhhmm - mruknęła. Kolejne podobieństwo do Violet. Ciekawe dlaczego się nie lubiły. Czytałem kiedyś, że zbyt silne osobowości nie współgrają ze sobą.

- Powiedziała, że mam cię o nic nie wypytywać - dodałem.

- O! To miło z twojej strony, że się zgodziłeś.

Drgnęła mi powieka. Usiadłem po turecku na podłodze, naprzeciw niej. Widziałem, jak Loki z koszulki uśmiecha się do mnie złośliwie. Nawet bóg kłamstwa i intryg miał mnie za zero.

- Możesz przestać? Nie robię ci nic złego. Nie wpytam cię o nic - powiedziałem. - Przestań być tylko taka... taka...

- Taka zimna? Wredna? - Autumn odłożyła komiks z Thorem na szafkę i zmierzyła mnie wzrokiem. - Pewnie. Oczywiście.

Potarłem bliznę.

- Chodzi mi o to, że wiesz... ja ci nic nie zrobiłem, a wygląda na to, że wyżywasz się na mnie - powiedziałem. - Tak mi się przynajmniej zdaje. Wydajesz się miła, ale na razie...

- Nie jestem miła i nigdy nie byłam - przerwała mi, a jej słowa zmroziły powietrze. - I tak na koniec nic dobrego cię nie spotyka. Nie ma żadnej nagrody, nic.

Zamrugalem zaskoczony agresją w jej głosie.

- Okej, przepraszam - podniosłem ręce w geście

kapitulacji. - Po prostu pomyślałem, że jeśli jesteśmy tutaj oboje na siebie skazani, moglibyśmy się jakoś... zaprzyjaźnić.

Przez twarz Autumn przeszedł skurcz.

- Przyjaźń to tylko piękne opakowanie nienawiści. Tak samo jak miłość.

Popatrzyłem na nią spod zmarszczonych brwi. Kompletnie nie mam pojęcia, kim jest. Co skłoniło ją do wypowiedzenia takich słów? Przecież dziewczyny w dzisiejszych czasach marzą, by spotkać tego jedyne, a potem opowiedzieć o tym najlepszej przyjaciółce. Ile z nich czyta te romansidła, ogląda komedie romantyczne? Ile?

- Interesująca jest ta książka, ale ma za dużo ilustracji - Autumn wstała i wskazała na leżący na szafce komiks. Po raz kolejny drgnęła mi powieka. - I nie jest przypadkiem dla dzieci?

Znów potarłem bliznę. Z trudem utrzymywałem nerwy na wodzy. Patrzyłem, jak odwraca się w stronę drzwi i nie wytrzymałem:

- I tak wiem, że coś ukrywasz - mój głos był pewny. - I odkryję co, prędzej czy później.

Autumn przystanęła, a jej ręce opadły wzdłuż ciała. Początkowo myślałem, że zamarła, lecz po chwili usłyszałem jej perlisty śmiech. Był niezwykły. Złapałem się na tym, że mógłbym słuchać go godzinami.

- Nie radziłabym, Bernardzie. Mógłbyś się bardzo... zdziwić.

Odwróciła się i, odgarniając włosy z twarzy, posłała mi zapierający dech w piersiach, nie obejmujący oczu, uśmiech.

- Więc zgadzasz się na taki układ?

Violet zmierzyła Autumn Hawthorne spojrzeniem równie ciepłym jak bryła lodu. Dziewczyna wytrzymała je i uniosła wyzywająco brodę.

- Zgadzam się. Pani pomoże mnie, a ja pani. Przysługa za przysługę.

- Nie możesz nikogo skrzywdzić, rozumiesz?

- Nie zrobiłabym tego. Dobrze pani o tym wie.

- I masz zostawić w spokoju Bernarda.

Autumn zamruwała.

- On mnie nie interesuje, proszę pani. Nie jest nikim... wyjątkowym.

Violet westchnęła.

Jaki sens jest w zmienianiu przyszłości? Wiedziała, że żaden. Hamish uczył ją, że bycie osobą sensytywną jest darem, tak samo jak bycie chiromantą. Jak było naprawdę? Violet uważała, że jej „dar” to przekleństwo. Cała ta wiedza, którą przekazywał jej Angus sprawiała, że przez ten świat

straciła wszystko: rodziców, Vandę, Leona, Johna, Clarice...

Nie chciała teraz stracić odzyskanego wnuka.

A pojawiła się ta kreatura.

Violet nie przypuszczała, że Bernard znajdzie kogoś takiego jak ONA. Jej przeszłość nie stanowiła dla niej prawie żadnego problemu, dopóki nie natrafiła na parę białych dziur.

I dopóki nie uświadomiła sobie, kim ONA naprawdę jest.

Wysoka, z kasztanowo-rudymi włosami. Błada, przeraźliwie blada, tak, że nie mogła być człowiekiem. Nikt przecież nie mógł unikać aż tak słońca.

I zimna. Zimno otaczające ją niczym nieprzeniknioną atmosferą. Zgubne, odpychające.

Była dziewczyną z przyszłości Bernarda.

Violet z trudem udawało się trzymać nerwy na wodzy i robić dobrą minę do złej gry.

- Po prostu cię o to proszę - powiedziała. - Wiem, kto cię ściga i co może ci zrobić. Nie wychylaj się. Potrafię zabezpieczyć dom. Znam odpowiednie formuły.

Dziewczyna zagryzła wargę.

- Pani jest *ban-draoidh*. Jedną z Kreatur - wyszeptała, nie ukrywając swojego obrzydzenia. - Oświeconą.

- Nie, nie jestem czarownicą - Violet pokręciła głową. Coś obślizgłego pojawiło się w jej żołądku. - Posiadam po prostu pewne zdolności i znajomości... które mogą ci pomóc. Wiem, czego szukasz.

- Kiedy? - spytała Autumn.

- Dopiero po festynie - odpowiedziała Violet. - Sama nie będę potrafiła tego rozwikłać. Lecz wiesz, czego żądam

w zamian: znikniesz z naszego życia. I jeśli będzie trzeba, wymażesz pamięć.

Przez twarz dziewczyny przeszedł skurcz.

- Nie zrobię nikomu krzywdy. Nie będę rozmawiała z pani wnukiem, pani Enbatch-Meadow. Zniknę z pani życia tak szybko, jak się da. Przysługa za przysługę. Zrobię to, o co mnie pani prosiła, a pani to, co zaproponowała. Nic więcej.

- Nic więcej. Dobrze. O to właśnie mi chodziło - wyszeptwała, mierząc ją spojrzeniem. - A teraz, czy byłabyś tak miła i przyprowadziła Bernarda? Podśluchuje nas na górze.

Autumn wstała zesztywniała, zaciskając szlafrok wokół talii. Violet usłyszała jej kroki na schodach i westchnęła.

- Jaki jest sens w zmienianiu przyszłości? Taki sam jak w zmienianiu przeszłości - mruknęła i pstryknęła palcami. Czar przysł.

Na górze rozległ się huk. Violet niemalże widziała w myślach, jak Bernard uderza w szafę.

- Obie i tak prowadzą do punktu wyjścia - dodała szeptem.

29 Lipca

Kąpiel

Od tamtego czasu nie rozmawiałem z Autumn ani razu. Ba, prawie jej nie widywałem. Jadłem śniadanie razem z Violet, a potem zwykle siadywałem do pisania, próbując coś z siebie wykrzesać. Autumn Hawthorne, dziewczyna z morza, zimna jak lód, stała się jedyną osobą, o której mogłem myśleć.

Była zakazanym owocem. Nieosiągalnym dla kogoś takiego jak ja.

Nie mogłem nie zauważyć, że spędzały z Violet w salonie długie godziny, pogrążone w rozmowie, jakby stały się najlepszymi przyjaciółkami. Niestety, gorzej o bardziej chybione spostrzeżenie. Napięcie, jakie między nimi wisiało sprawiało, że automatycznie każdy wiedziałby, że coś jest nie tak. Violet nie lubiła Autumn, to pewne. Co do dziewczyny, nie miałem pojęcia, co myśli. W ogóle.

Hawthorne na zewnątrz wydawała się zimna, niedostępna, jednak jej oczy zaprzeczały obojętności, którą próbowała wokół siebie roztaczać. Nie mogłem także dalej lekceważyć fascynacji jej osobą, a widząc ją prawie codziennie w mojej

koszulce z Lokim, którą sobie przywłaszczyła, czułem, że jest coraz gorzej.

Wiedziałem, że dziewczyna bacznie mnie obserwuje, kiedy cała nasza trójka siadywała w salonie wieczorami, chociaż żadne z nas się nie odzywało. Nie mogłem zrozumieć motywów, jakie nią kierowały, okoliczności, które wyrzuciły ją na brzeg morza. Tydzień, jaki spędziła w domu Violet, był najdłuższym, jaki przeżyłem w swoim życiu. Deszcze przechodzące nad Shieldaig nadal nie ustawały. Nie należałem do osób szczególnie cierpliwych i czułem, że jeśli taki stan rzeczy się utrzyma, to oszaleję.

Jeśli już tego nie zrobiłem.

Stałem na szarej, jałowej ziemi, z której unosiła się gęsta, srebrzystoszara mgła. Serce biło mi jak oszalałe. Wiedziałem jedno: muszę ją uratować.

Musiałem ją uratować, nawet za cenę swego życia.

Wiatr wezbrał na sile, przesywając mnie na wskroś. Ona tu była, była...

- Lilidh! Kwiecie Lili! - rozległ się gromki głos z mgły, tak potężny, że ziemia zatrzęsała się w posadach.

Zacząłem biec przed siebie, tracąc powoli grunt pod nogami. Spadałem i spadałem w ciemność, czując na sobie jej ręce próbujące wyrwać mnie ze śmiertelnościanego huraganu, lecz oboje nas pochłaniał mrok...

- Widzisz, co uczyniłaś?!

Oplotłem ją ramionami, a ona przywarła do mojej piersi. Nie, to nie może się tak skończyć, pomyślałem, nie tak. W otaczającej nas ciemności dostrzegłem fioletowy błysk jej oczu.

Zerwałem się z łóżka, spadając na podłogę. Serce biło mi tak szybko, że mało nie wyrwało się z piersi. Co to, do cholery, było?

Wariowałem, tak, wariowałem.

Nie napisałem niczego sensownego od tygodnia. Nie, ty nic nie napisałeś, idioto. Ostatnia aktualizacja pliku - dwudziesty drugi lipca. Dzisiaj - dwudziesty dziewiąty lipca. A teraz na dodatek śnisz o NIEJ. Usiadłem na łóżku, przeczesując ręką skołtunione włosy. Dzisiaj mijał dokładnie tydzień, odkąd znalazłem Autumn nad morzem.

Teraz zaczynasz liczyć czas, pomyślałem. Cudnie, po prostu pięknie. Brawo, Oaken.

Nadal czułem na skórze zimny, porywisty wiatr, jej oddech, a uczucie spadania było tak... tak prawdziwe, że z trudem mogłem uwierzyć, że to nie jest sen.

Dlaczego śniła mi się akurat ta dziewczyna? Te fioletowe błyski mogły pochodzić tylko z jej oczu. Ale czemu nazywano ją Lilidh? Kwiatem Lili? Ta ciemność...

- Wyluzuj, stary. Odwala ci od nudy w tej dziurze - mruknąłem.

Szybko się przebrałem i poszedłem do łazienki. W lustrze jak zwykle powitało mnie to samo, głupie odbicie. Uśmiechnąłem się do niego krzywo, próbując jakoś doprowadzić do porządku sterczące we wszystkie strony

brązowe włosy i myjąc jednocześnie zęby.

Autumn. Może i była „moja” tylko w śnie, jednak nie mogłem zaprzeczać: jakoś pasowała mi wizja bycia z nią.

- Wiesz, myliłam się odnośnie ciebie, Bernardzie.

Przestałem przepłukiwać usta i podniosłem głowę. W tafli lustra ujrzałem Hawthorne. Dzisiaj nie dość, że znów miała na sobie tę głupią koszulkę z Lokim (widocznie szła za radą wypisaną na niej), to jeszcze jedną z moich czarnych bluz. Wyglądała w niej tak pięknie, iż mogła z powodzeniem wygrać każdy konkurs piękności. Coś skręciło mi się w żołądku.

- Więc zachciało ci się ze mną gadać? - spytałem, przyglądając się jej w lustrze. Nie spuszczała ze mnie wzroku, wpatrując się wytrwale.

Autumn zmarszczyła brwi.

- Tak. Przez ten czas... zrozumiałam, że zachowywałam się trochę... nieprzyjemnie - powiedziała.

- Niegrzecznie, jak coś - burknąłem.

Autumn chciała coś powiedzieć, ale zamknęła usta.

- Violet przygotowuje ci śniadanie. Może po nim... trochę byśmy porozmawiali?

- O czym? - spytałem. - Sama mówiłaś, że nikt nie jest ci potrzebny.

Odwróciłem się do niej. Twarz dziewczyny nie wyrażała żadnych emocji. Tylko oczy wyrażały zranienie.

- Jak sobie chcesz. Nic mi do tego - wzruszyła ramionami. W tym geście było jednak coś mechanicznego, wymuszonego.

Dziewczyna wyszła z łazienki, a ja uświadomiłem sobie, co właśnie zrobiłem.

- Idiota! - syknąłem. - Kretyn.

A potem Bernard Oaken się dziwi, że żadna dziewczyna go nie chce - usłyszałem w myślach głos Violet. - Twój sardoniczny sarkazm odstrasza nawet te mające nerwy ze stali.

Błyskawicznie zszedłem na dół, gdzie czekało na mnie śniadanie. Violet obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem i bez słowa pokazała mi krzesło naprzeciw Autumn.

Usiadłem, próbując uchwycić jej spojrzenie, jednak dziewczyna natychmiast podniosła wyżej West Highland Free Press, gazetę, którą aktualnie czytała. Poczułem, jakby coś uderzyło mnie w brzuch.

- Hej - powiedziałem do niej cicho. - Przepraszam za tanto na górze. Chętnie z tobą porozmawiam.

Nawet nie wie, że gdyby nie ona, umarłbym tu z nudów.

Autumn opuściła gazetę i szybkim ruchem złożyła ją na pół. Nadal na mnie nie patrzyła.

- Może powiedziałbyś: „Dzień dobry” babce, Bernardzie?
- Violet była wyraźnie niezadowolona.

Podniosłem głowę.

- Witaj.

Violet przewróciła oczyma i usiadła u samego szczytu stołu. Jej wzrok zatrzymał się na Autumn, a później na mnie. Dziewczyna położyła splecione ręce na stole. Widziałem, że udaje opanowaną i spokojną, ale już dawno miałem to głupie przeczucie, że to tylko fasada i Autumn kierują emocje o wiele silniejsze, niż ktokolwiek przypuszcza. Wystarczyło spojrzeć w jej oczy.

- Co zamierzacie dziś robić, dzieci? - spytała Violet, upijając łyk miętowej herbaty. Sam swojej nie tknąłem. - Autumn?

Dziewczyna zamrugła parokrotnie i uśmiechnęła się do niej sztucznie. Już dawno się przekonałem, że nigdy nie je śniadania, obiadu, kolacji, czegokolwiek i zaczynało mnie to niepokoić. Nie wyglądała na anorektyczkę.

- Zamierzałam trochę zaznajomić się z pani wnukiem, pani Enbatch-Meadow - odpowiedziała chłodnym tonem. - Ale on nie wykazuje chyba... zainteresowania.

Moją twarz musnął lekki podmuch wiatru. Przełknąłem ślinę i czym prędzej zająłem się śniadaniem. Coś mi mówiło, że lepiej by było, gdyby mnie tu... nie było.

- Nie miałbym nic przeciwko - powiedziałem z pełnymi ustami. - To ona zaczęła tę całą gadaninę, że nie potrzebuje nikogo. Jak tak popatrzeć, to okaże się, że ja tu jestem najmilszy.

Ugryzłem się w język. Cholera! Czemu ja to powiedziałem? Pochyliłem się czym prędzej nad talerzem. Violet uśmiechnęła się krzywo, a Autumn rozłożyła gazetę i znów zaczęła „czytać”.

W końcu zaspokoilem swój głód i wstałem od stołu. Nie miałem pojęcia, co mam dziś robić. Violet i Autumn wstały w tym samym czasie, obserwując siebie nawzajem. Znowu naszło mnie głupie wrażenie, że dzielą jakąś tajemnicę, której mi nie będzie dane poznać.

- Zajmij się sobą, Bernardzie. My dziś z Autumn spędzimy czas na babskich sprawach - powiedziała Violet, kładąc rękę

na ramieniu dziewczyny.

Odwróciłem się od nich, by nie widziały mojej twarzy. Mimo śniadania i snu czułem się okropnie zmęczony. Czyżby z powodu koszmaru, który był jednocześnie najpiękniejszym snem, jaki miałem w swoim życiu?

Podniosłem wzrok i, tak jak poprzednio w łazience, zobaczyłem w szklanej powierzchni szafki, jak dziewczyna wpatruje się we mnie. Może i powiedzieliśmy sobie nawzajem niezbyt... przyjemne rzeczy, ale nie mogłem odeprzeć wrażenia, że nie przypadkiem to właśnie ja znalazłem ją na brzegu Loch Shialdaig.

- Oczywiście, pójdźcie. Popiszę sobie... zrobię jakieś notatki - mruknąłem w odpowiedzi.

- Dobrze. Idziemy z Autumn do mojego pokoju. Nie przeszkadzaj nam - powiedziała Violet. - Do zobaczenia, Bernardzie.

- Cześć - dodała cicho Autumn, ledwo poruszając ustami. Jej głos był bardziej chrapliwy niż zwykle.

- Ta, cześć - odburknąłem.

Oparłem ręce o umywalkę i przymknąłem oczy. Trwałem tak, dopóki nie usłyszałem, jak weszły na piętro. Deszcz znów nie przestawał padać. Niestety nie mogłem lekceważyć faktu, że coś się ze mną dzieje.

Coś bardzo niedobrego.

Po kolejnej godzinie bezowocnej pisaniny dałem za wygraną.

Wyłączyłem muzykę i laptopa. Deszcz przestał padać, jednak wiatr, który wył za oknem, był tak silny, że z trudem mogłem uwierzyć, iż dom nadal stoi na fundamentach.

Wsadziłem laptopa pod wersalkę i cicho wyszedłem z pokoju. Rozpierała mnie dziwna energia. Pierwszy raz od jakiegoś czasu pragnąłem wyrwać się z tego domu. Czułem dziwny zew – coś wołało mnie, bym wyszedł na zewnątrz.

Zszedłem na dół i popatrzyłem na ciemny hol. Violet i Autumn od śniadania siedziały w pokoju babki, nie wychodząc nawet do łazienki. Nie miałem pojęcia, co tam takiego robią, jednak nie mogłem nic podsłuchać, chociażbym nie wiadomo jak chciał. Widocznie miałem umrzeć także z irytacji.

Poczułem zimno klamki i zacisnąłem na niej palce. Światło w przedsionku zamrugało. Wziąłem głęboki oddech i nim wyszedłem na podwórko, nałożyłem kaptur.

Morze wezbrało i burzyło się nieustannie. Tylko cud ratował Shildaig przed zatonięciem. Tylko cud. Wiatr ponownie uderzył mnie w twarz.

Kwiat Lili. Lilidh.

Drgnąłem, przypominając sobie obrazy ze swojego snu. Czemu tak mnie przerażały? Czemu utrata Autumn, która nawet mnie nie lubiła, wydawała mi się tak... straszna? Dlaczego czułem się jakbym ją zawiódł?

Gdzieś w oddali zagrzmiało i pomyślałem, że Wester Ross nigdy nie nawiedziło tak wiele burz, a przecież jako Anglik powinienem być przyzwyczajony do niepogody.

Podszedłem do brzegu morza i ukląknęłam. We wzburzonej tafli dojrzałem swój czarny cień. Woda była przeraźliwie

zimna. Wydawało mi się niemożliwym, że Autumn wyszła z takiej kąpieli bez szwanku. To była kolejna rzecz, która mnie irytowała, zaraz po unikaniu przez nią odpowiedzi i zakazie pytania o przeszłość.

Wstałem przemoczony i spojrzałem na Loch Shielraig. Było coś pięknego, nieokiełznanego w burzy i niepogodzie.

„Zwykle Duchy Żywiołów to potężne, mityczne stworzenia, mogące podróżować między światami i opiekujące się równowagą w naszym świecie”.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Nonsens - mruknąłem. - Duchy Żywiołów.

Gdy tylko to powiedziałem, poczułem dziwny impuls w lewej ręce. Wyjąłem ją szybko z kieszeni i odwróciłem dłoń wewnętrzną stroną do góry.

- Wyluzuj. Naprawdę ci odbija, koleś - szepnąłem.

Nagle błysnęło i zobaczyłem, jak błyskawica przecina niebo niedaleko od Shielraig. Serce podeszło mi do gardła, lecz po chwili poczułem, jak znów opanowuje mnie spokój.

- I gdzie są te twoje Duchy, Violet? - wsadziłem ręce do kieszeni. - Chyba nie pozwoliłyby na takie coś, co?

Szybko schyliłem się i wziąłem z brzegu gładki kamień - mama zawsze mówiła, jak niesamowita w rzeźbieniu jest woda - i rzuciłem go daleko, daleko w zatokę. W strugach deszczu z trudem mogłem dostrzec małą wysepkę u wybrzeży. Po prostu wydawało się, jakby cała natura wyładowywała swój gniew na Shielraig.

- Moim zdaniem, nie. Ale cóż - dodałem i uśmiechnąłem się.

Kaptur zleciał mi na oczy. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku ganku. Pewnie rano będę musiał kolejny raz zmywać te same schody.

Gdy byłem już przy drzwiach, gwałtownie się zatrzymałem. Moje plecy owionęła chłodna, rześka bryza. Dźwięki burzy niespodziewanie ucichły. Niewiele myśląc, obejrzałem się.

Pierwsze, co ujrzałem, to biała, ciężka mgła unosząca się nad idealnie gładką taflą morza. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że w powietrzu słychać delikatne dźwięki.

- Co do licha... - wyrwało mi się.

Do pojedynczych dźwięków dołączyły następne, donośniejsze. Poczułem, jak moje ciało z wolna zaczyna im się poddawać, wbrew mojej woli. Zacząłem iść powoli w stronę brzegu. Chciałem krzyknąć, jednak głos utkwiał mi gdzieś w gardle. Byłem bezbronny.

Poczułem, jak melodia sprawia, że tracę zdolność logicznego myślenia. Byłem już po kolana w wodzie, gdy poczułem, jak coś muska moją nogę.

Coś śliskiego, długiego. Ryba? Nie, coś o wiele większego...

- Czy to ten śmiertelnik, Ofelio?

Muzyka przybrała na sile. Głos był kobiecy, jednak... wydawał się dochodzić z każdej strony, z mgły.

- Być może - dodał inny, wyższy.

Znowu coś musnęło moją nogę.

- Podejdź bliżej, nic ci nie zrobimy - rozległy się chichoty.

Zacząło mi się kręcić w głowie. Muzyka stawała się coraz

agresywniejsza.

- No chodź - usłyszałem.

Stałem w wodzie po pierś i wiedziałem, że jeśli zrobię jeszcze jeden krok, wpadnę w morską otchłań.

W ciemność.

Raptownie z wody wystrzeliła długa, biała ręka, gdzieś pokryta łuskami. Palce, połączone zielonkawymi błonami, zakończone były długimi pazurami.

Serce mi zamarło. Zrozumiałem wreszcie, czyją zostałem ofiarą.

- Chodź do nas, śmiertelniku - wysyczała syrena.

- BERNARDZIE!

Głos Autumn przedarł się przez mgłę niczym ostrze. Stałem sparaliżowany, słysząc narastające chichoty syren.

One istnieją, Boże. Duchy Żywiolów istnieją, powtarzałem w myślach, a ja zginę jak dziadek. Boże, babka Violet nie zwariowała. Nie zwariowała.

Albo ja oszalałem razem z nią.

- Zostawcie go! Nie macie prawa! - głos Autumn znów przeciął powietrze.

- To się mylisz, kochaniutka - zaśmiała się syrena i, nim zdążyłem wziąć oddech, pociągnęła mnie pod zimną wodę.

Natychmiast poczułem, jak płuca wypełniają mi się lodowatą cieczą. Ciągłe trzymany przez istotę machałem nieskoordynowanie nogami i rękoma. Długie paznokcie syreny wbiły mi się w skórę. Zaczęło mi brakować powietrza i nie miałem pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Jednak nie to było najgorsze.

Moje oczy w końcu napotkały spojrzenie syreny. Nie wiem, czego się spodziewałem, może sflaczałej i porośniętej przez glony twarzy, ale na pewno nie tego.

Syrena miała długie, czarne włosy okalające jej twarz, na policzkach pokrytą rybimi łuskami, i oszałamiające zielone oczy, jednak w ich kształcie i sposobie, w jaki się ruszały, było coś rybiego. Do jej ciała, jak przyklejona, lepiała się zielononiebieska matowa suknia przechodząca płynnie w długi ogon zakończony płetwą.

Była naprawdę piękna, jednak daleko jej było do Autumn. Właściwie żadna dziewczyna się z nią nie równała.

Super, porównujesz teraz wszystkie istoty, nawet niekobiety, tylko do Hawthorne.

- Cudowny młody mężczyzna - syrena delikatnie przejechała paznokciem po moich wargach, a z jej ust wydostał się bąbel powietrza. Nie mogłem już oddychać, a moje płuca płonęły żywym ogniem. Próbowałem się jednak jej wyrwać. - Ciekawe ile wytrzymasz tu z nami?

Posłała mi pocałunek, na który reszta cieni, będących pewnie jej towarzyszkami, zachichotała. Jej ręka puściła mnie i zobaczyłem, jak z rany na mojej piersi w czarnej, zimnej toni wypływa krew.

Więc tak czuł się dziadek John?

Opadałem coraz niżej i niżej, patrząc na kłębiące się wokół mnie stworzenia, materialne, a zarazem niematerialne, stworzenia, których uroda zapierała dech w piersiach. Dosłownie i w przenośni.

Opadałem w ciemność.

Jak w swoim śnie, tylko że mnie nie miał kto ratować. I pomyśleć, że chciałem chronić Autumn. Zwykły chłopak z Cambridge, mogący się pochwalić jedynie dokładnym przestudiowaniem muszli szkolnych kibli.

Nagle coś poderwało moje ciało, a śmiech syren zmienił się we wściekły wrzask. Woda zaczęła zataczać wokół mnie coraz szybsze i szybsze koła, podnosząc mnie ku światłu.

Ondyny czepiały się mojego ciała, jednak sunąłem nieprzerwanie ku powierzchni. Nie minęła chwila, gdy poczułem, jak moją twarz znów otula powietrze.

Krztusząc się, nieprzytomnie rozejrzałem się dookoła. Czułem wokół siebie dziwną, nieznaną siłę, która nie pozwalała syrenom przyplłynąć bliżej i znów pociągnąć mnie na dno. Czułem ich gniew.

Z wody wyłoniła się głowa syreny.

- Ty wredna, mała zdrajczyni! Jak śmiesz! - krzyknęła. - Jak śmiesz występować przeciw Prawu?! Ty?!

W głowie mi się kręciło i, walcząc z tym, by nie zemdleć, obejrzałem się za siebie.

Doprawdy, ja chyba śniłem.

Dwa metry ponad taflą wody unosiła się Autumn. Kasztanowo-rude włosy falowały wokół jej twarzy, a fiolet oczu był tak jaskrawy, że z pewnością nie mógł należeć do człowieka. Cała jej postać falowała na wietrze, którego, którego...

Którego ona była źródłem.

Ledwo dostrzegalne strużki biegnące wzdłuż jej żył jarzyły się złoto-czarno w takt bicia mego serca. Skóra Hawthorne

była na pół przezroczysta i powłóczysta, jakby stworzona z mgły. Czułem bijącą od niej moc, mogącą zniszczyć wszystko, co spotka na swojej drodze.

Autumn Hawthorne nie była zwykłą dziewczyną. Nie była uciekinierką z jakiegoś statku przewożącego ludzi na organy. Nie.

Autumn Hawthorne była Duchem Powietrza.

- Prawo dotyczy tylko was, Ofelio! Jak dobrze wiesz, ja nigdy nie należałam do waszego świata! - głos Autumn nie brzmiał jak głos dziewczyny. Przedarł się echem po tafli morza, tworząc wielkie kręgi. Trąba powietrzna, której była sercem, jeszcze bardziej zadrgała. - To ja decyduję o sobie. Tylko ja! - krzyknęła.

Odchyliła głowę do tyłu, podnosząc pałające złotem i czernią ręce. Zapomniałem, jak się oddycha. Równie dobrze mogłem tonąć.

- Popełniasz błąd! Wszyscy wiedzą, gdzie jesteś. Co chcesz osiągnąć?! Boreasz i tak cię znajdzie, gdy znów na ludzkim niebie pojawi się księżyc w pełni.

Czerń i złoto z rąk zaczęło się rozprzestrzeniać na całe ciało Autumn. Powietrze drgało, przesycone zbyt wielką ilością mocy. Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę tysiące różnokolorowych malutkich cząsteczek przed swoimi oczami.

- To niech mnie znajdzie. Osiągnę swój cel - powiedziała dudniącym głosem Autumn. - Odejdźcie i nie nękaćcie mieszkańców tej osady. Jestem opiekunem tego miejsca.

- Byłaś! - krzyknęła ondyna.

- Jestem!

Autumn zacisnęła dłonie i nagle poczułem, jak przez całą zatokę, aż do wyspy, przechodzi potężna fala wiatru. Czas jakby zwolnił. Moją twarz owiał nie tylko podmuch powietrza, ale i lodowate, kolorowe, małe cząsteczki...

Dziewczyna wykonała dziwny, skomplikowany ruch ręką, a syreny krzyknęły. Jej oczy co rusz przemieniały się z fioletowych w czarne, a wokół palców zaczęła krążyć, łącząc się w większe pasma, dziwaczna, jarząca się milionem barw substancja. Na jej widok ondyny zaczęły krzyczeć ze strachu.

- Odejdźcie w pokoju... - powiedziała.

- Robię to dla twojego dobra! Robię to dla twojego dobra!
- krzyknęła czarnowłosa ondyna. W głowie zaczęło mi się kręcić.

- ...do swojego Królestwa - dokończyła Autumn i poruszyła szybko ustami, wymawiając coś bezgłośnie. Substancja wokół jej rąk zajaśniała.

Ondyna wrzasnęła wściekle i po chwili znikła wraz ze swoimi towarzyszkami, jakby ich nigdy nie było. W tym samym czasie Autumn opadła powoli, a złoto i czerń uchodziły z jej ciała. Z trudem utrzymywałem się w stanie świadomości.

- Nic ci nie grozi, Bernardzie - powiedziała do mnie, gdy jakimś sposobem znalazłem się na brzegu.

Z szarego, pełnego burzowych chmur nieba znów padał deszcz.

- Musiałaś, oczywiście, użyć swoich mocy, prawda? - usłyszałem głos Violet. Obrazy znów zlewały się w różnorakie plamy, a dźwięki w kakofonię.

- A jak to sobie wyobrażałaś? Boreasz? Ofelia? Wszyscy

wiedzą, że tu jestem. Muszę odnaleźć Bramę do pełni księżyca, inaczej wszystko stracone – wyszeptała Autumn. Jej suche włosy łaskotały moją twarz. Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Wszystko z nim w porządku? Wyjdzie z tego? – spytała babka i po raz pierwszy usłyszałem w tonie jej głosu troskę.

- Nic mu nie będzie. Jestem pewna. Jednak... – wyszeptała.

- Musisz to zrobić. Taka była umowa.

- Nie mogę dać pani gwarancji, że to coś da.

- Jeśli to ma uchronić mojego chłopca, zrób to. Wiedza to potęga, jednak on nie jest na nią gotowy.

Fioletowe oczy dziewczyny spoczęły na mnie. Pochyliła się nade mną i poczułem jej zapach: pachniała jak jabłka we wrześniu.

- Przyjmij me przeprosiny, Bernardzie. Muszę to uczynić – wyszeptała, przyciskając lodowate palce do moich skroni. – Przepraszam.

Jej dotyk wnikał w głąb mojego umysłu i, nim się obejrzałem, znów upadałem w otchłań ciemności.

- Jak mogłaś do czegoś takiego doprowadzić? Miałaś trzymać się od niego z daleka!

Violet szamotała się po pokoju. Jej wściekłość nie dziwiła Autumn, lecz w pewien sposób odpychała. O tym właśnie mówił jej Paralda: emocje nie pozwalały dobrze ocenić sytuacji, osłabiały tę kobietę. Sprawiały, że ludzie byli gorsi od nich, Duchów Żywiołów.

Babka Bernarda zatrzymała się przed nią. Autumn nie wytrzymała. Wstała i zrównała się z nią; były tego samego wzrostu.

- Co miałam zrobić, kiedy Ofelia go zaatakowała? Pozwolić, by utonął? - sylfida zacisnęła usta, patrząc wyzywająco w oczy Violet.

Kobieta po chwili westchnęła i przymknęła oczy.

- Nie miałam tego na myśli. Dlaczego chciałaś z nim dziś rano rozmawiać?

Dziewczyna odchrząknęła.

- Po prostu... zachowałam się wtedy okropnie. Nie czułam

się dobrze, ignorując go w taki sposób.

- Przecież mówiłaś, że nie jest nikim wyjątkowym.

Autumn zagryzła wargę.

Przez ostatni tydzień walczyła ze wszystkim, co się w niej rodziło. Moc, którą wcześniej pętały Prawa i Przysięga, chciała się uwolnić. Jednak zapanowanie nad własną naturą nie przychodziło jej z takim trudem, jak lekceważenie kogoś takiego jak Bernard.

Początkowo było łatwo. Wyglądał na typowego, nadpobudliwego chłopaka. Idiotę. Jednak już drugiego dnia Autumn zauważyła, że wypowiedzi chłopaka często są dojrzsze od przemyśleń jego rówieśników i wypowiedziane zgoła innym tonem. Miał także specyficzne poczucie humoru. Dużo czasu spędzał na pisaniu. Był trochę nieokiełznany, jednak kryła się w nim jakaś szlachetność.

Czwartego dnia, przypatrując mu się przy pisaniu, Autumn stwierdziła, że jest przystojny. O, tak, po postu, kiedy powinna myśleć, jak wykonać swój plan, jak pomóc Violet odnaleźć Bramę. Ta myśl po prostu pojawiła się w jej głowie.

Wysoki, z ciemnobrązowymi włosami, lekko kręconymi na karku i opadającymi filuternie na wysokie czoło. Bernard miał długie, chude palce, wystukujące na klawiaturze laptopa słowa z taką szybkością, że wprawiało ją to w zdumienie, długi, trochę krzywy nos, blade usta z blizną po prawej stronie, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe i twarz usianą uroczymi piegami gdzie tylko się dało, niekiedy pieg na piegu.

I oczy. Akwamarynowe z brązową plamką przy lewej źrenicy.

- Bo nie jest, pani Enbatch-Meadow. Musimy wzmocnić pani ochronę. Nie zadziałała - Autumn dodała szybko, nie chcąc wracać do tematu wnuka Violet.

- Nie, zaklęcie chroniące doskonale działa. Po prostu... - przez jej twarz przeszedł cień. - To moja wina. Ondyny są przebiegłe, wiesz o tym.

- Coś o tym wiem - mruknęła Autumn, myśląc o Ofelii. Wspomnienie ondyny sprawiało jej ból. „Przyjaźń to tylko piękne opakowanie nienawiści. Tak samo jak miłość”. Ile jest prawdy w jej słowach?

Nie miała pojęcia.

- Czy to się powtórzy? Te ataki? - spytała Violet.

- Zapewne tak. Jestem uciekinierką. Wszystkie Królestwa mnie szukają. Wiedzą, gdzie jestem.

- Ochronisz Shildaig, jeśli zajdzie taka potrzeba?

- To mój święty obowiązek.

Violet zacisnęła usta.

- Jesteś pewna, że nic ci nie zrobią?

- Jestem poza Prawami. Dopóki nie nadejdzie następna pełnia, jestem bezpieczna. Albo... przynajmniej tak sędzę.

Przed jej oczami pojawiła się twarz Bernarda, a końcówki jej palców opłotło płynne zimno. Autumn nienawidziła mącić ludziom w głowach, odbierać im wspomnień. Dotychczas uczyniła to tylko parokrotnie.

I to ludziom, których kochała.

- A pani wnuk? Bernard? Dowie się, kim jestem? - spytała szeptem. Kobieta kiwnęła głową.

- W swoim czasie, tak. To nieuniknione. Jest osobą

sensytywną i posiada Wzrok, ale jeszcze nie obudzony. Musimy poczekać do czasu festynu. Po nim wróci Hamish. Pomoże ci. A potem... wiesz, co do ciebie należy.

- Moja część długu, tak, wiem.

- To chyba twoje - dodała Violet, podając jej fioletową różę.

Autumn zeszywniała.

- Ofelia, prawda?

- Ale czemu?

- Pani wie lepiej, dlaczego.

Violet uśmiechnęła się krzywo, jednak jej twarz natychmiast przybrała chłodny i nieprzyjemny wyraz.

- To moja wina, nie dostrzegłam w porę zagrożenia.

- To także moja wina. Zajmę się nim, Bernardem - powiedziała Autumn. - Niech się pani o niego nie martwi.

- To tylko przysługa. Nie ufam ci.

- I tak pani dziękuję.

- Mam cię na oku.

Violet odwróciła się i wyszła z salonu. Autumn wzięła głęboki oddech i zamrugowała parokrotnie.

- Pamiętaj. Ty nic nie czujesz - wyszeptała. Na końcówkach palców poczuła pojawiające się zimno. Szybko zdusiła je w sobie. - Nic - syknęła. - Kompletnie nic.

- Lilidh...

Autumn odwróciła się. Jej usta wygięły się w uśmiechu.

- I tak mnie nie uratujesz, Bernardzie.

Dziewczyna obróciła się do mnie plecami, a jej ciało zaczęły pętać czarne więzy. Wrzask utkwił jej w gardle. Oddalała się ode mnie, oddalała się...

Zacząłem biec, coraz szybciej i szybciej...

- Nie!

Rozległ się tylko głuchy, przypominający krakanie wron śmiech. Poderwałem się z łóżka, łapiąc się za skronie, w których pulsował zimny, przeszywający ból. Chyba stanowczo za dużo piszę.

Tak. Tak cholernie głupie sny to efekt siedzenia całymi dniami przed laptopem. Musiałem śnić akurat o niej?

Przeciągnąłem się, jęcząc. Cholerna, za krótka wersalka. Violet myślała, że wyśpię się na czymś takim?

Wątpliwe.

Ziewnąłem i podrapałem się za uchem. To którego dzisiaj mamy? Trzydziestego lipca?

Ubrałem się w pierwsze lepsze rzeczy, na jakie natrafiłem. Uśmiechnąłem się na widok mojej ulubionej koszulki z Lokim.

- Idealna - mruknąłem.

Wziąłem szczoteczkę do zębów i poszedłem do łazienki. Czuję się dziwnie lekko. Od przyjazdu do babki Violet nie czułem się tak szczęśliwy.

Co się ze mną działo?

Wyplukałem zęby wodą i spojrzałem przelotnie w lustro. Moje tętno przyspieszyło.

- Ty? A co ty tutaj robisz? - spytałem.

Na twarzy Autumn pojawił się miły uśmiech. Nadal nie mogłem oderwać od niej wzroku, jednak coś mi się w niej nie zgadzało.

Tylko co?

- Jak się dziś czujesz? - spytała, wsadzając ręce do kieszeni jednego ze swetrów Violet. Jej blada skóra w deszczowym świetle wydawała się jeszcze bielsza. Mglista.

- Dobrze. Trochę boli mnie głowa, ale... dlaczego pytasz?
- odwróciłem się do niej, krzyżując ręce na ramionach.

- Wiesz, chciałam być miła - powiedziała.

- Myślałem, że nikogo nie potrzebujesz - nie mogłem się powstrzymać.

- Może i nie, ale inni tak. Twoja babcia prosi cię na dół.

Przeszedłem obok niej, czując, jak podąża za mną wzrokiem. Nie mogąc się powstrzymać, uśmiechnąłem się do niej. Nie odwzajemniła uśmiechu: jej oczy były poważne, zachmurzone.

- Chyba nie jesteś w dobrym humorze, co? - spytałem.

- A ty tak.

Zatrzymałem się na schodach i przez chwilę przypatrywałem się jej. Właściwie skąd ona tu się wzięła? Autumn, Autumn...

W sekundę mój dobry humor się ulatnia i widzę przed oczyma dno Loch Shiel, a w płucach znów pali mnie ogień. Mrugam, a wszystko powraca do normy.

- Hawthorne, tak? Adoptowana córka ciotecznej babki Vandy z Canterbury?

Autumn przez chwilę wyglądała na oszołomioną, jednak na

jej twarzy znów pojawia się grzeczny uśmiech.

- Tak, tak samo jak ciebie skazali mnie na to wygnanie.

- Wygnanie to za słabe słowo. Nie powinnaś mieć na nazwisko... Enbatch? Lub... Lub jakoś inaczej?

- Zatrzymałam swoje własne nazwisko - odpowiada.

- Okej.

Schodzę do kuchni, czując, jak cały czas mnie obserwuje. Przy stole siedzi już Violet, popijając herbatę miętową.

- Moje dzieci - zatrzymała wzrok na Autumn.

Odwrociłem się, jednak dziewczyna jeszcze szerzej się uśmiecha, chowając ręce za plecami.

Usiadłem przy stole i zacząłem jeść jajecznicę. Autumn jak zwykle zajęła miejsce naprzeciw mnie i nie tknęła swojego śniadania.

- To co dziś zamierzacie robić? - spytała Violet, sprawiając, że widelec wypadł mi z dłoni.

„Co dziś zamierzacie robić?”. Byłem pewny, że już to słyszałem. Kiedyś. *Déjà vu*? Nie. Niemożliwe.

- Przepraszam - powiedziałem, podnosząc widelec. Autumn i Violet wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

Dziewczyna podniosła jedną brew.

- To co chcesz dziś robić? - spytała Violet.

- Wiesz, może poczytać jakąś książkę, popisać....

- Pójść na zakupy - dodała babka.

- Pójść na zakupy - westchnąłem.

- Za niecały tydzień odbędzie się Shildaig Fete. Musimy koniecznie pójść - powiedziała Violet. - Będzie cudownie, jak zawsze.

Jakaś impreza? Serio? W tej dziurze?

- Warto także by było zadzwonić do twoich rodziców, Bernardzie. Pewnie się martwią - usłyszałem.

- Ta, chyba bardziej interesują ich ruchy tektoniczne - mruknąłem.

Autumn uśmiechnęła się lekko. Była naprawdę olśniewająca, gdy się uśmiechała. Chyba nie powinienem śnić o własnej kuzynce, jednak, tak naprawdę przecież nią nie była.

- Dobra - powiedziałem, odsuwając od siebie talerz. - Za chwilę wrócę.

Autumn i Violet nadal mnie obserwowały, więc szybko wziąłem pieniądze i torbę na zakupy.

Nadal miałem wrażenie, że coś jest nie tak.

5 Sierpnia

Wspomnienia

Wciążu następnych sześciu dni nie wydarzyło się nic ciekawego (jakby miało się wydarzyć). Nie mogąc wytrzymać w domu, obszedłem całą okolicę Półwyspu Shildaig i wkrótce znałem ją jak własną kieszeń. Za to mieszkańcy wsi przygotowywali się na festyn, który, jak zrozumiałem, był największą imprezą w ciągu całego roku. Znów w ramach nicnierobienia zostałem oddelegowany przez Violet do pomocy w ustawianiu namiotów na imprezę i wróciłem, oczywiście, zmęczony i głodny. Violet coraz częściej znikła z Autumn na całe dni, więc zostawałem sam w domu, przyłapując się na tym, że wpatruję się w morze, cały czas próbując przywołać się do porządku.

Wszystko było zbyt normalne.

Budziłem się kilkakrotnie w ciągu jednej nocy, mając przed oczyma coraz bardziej zdziwaczałe wizje. Autumn będąca Duchem Powietrza, ja wciągany przez ondyny w morską toń... Chciało mi się śmiać, jednak coś zawsze kazało mi się zamknąć.

Na ulicach Shialdaig spotykałem coraz więcej turystów i, chcąc nie chcąc, entuzjazm mieszkańców z okazji festynu zaczął udzielać się nawet i mnie. W końcu to jakaś miła odmiana od senności tej szkockiej wsi.

- Bernardzie, a może chciałbyś wziąć udział w jakiejś zabawie? - spytała mnie w poniedziałek Amanda, gdy byłem na zakupach.

- A nie mogę wziąć tylko puszki tego groszku? - spytałem.

Amanda uśmiechnęła się do mnie i podliczyła zakupy. Festyn miał być dopiero jutro, jednak całe Shialdaig już dawno było przygotowane i świętowało. Nad głównym wjazdem do miasteczka wisiał ogromny, żółty transparent, a wzdłuż Mary Street stało mnóstwo samochodów. Zapewne będą także stragany.

- Wiesz, taki chłopak jak ty... będzie bieg przełajowy i turniej piłkarski...

- Eeeee...

- Nie daj się prosić. Może uda ci się wreszcie wydostać z domu swoją babkę.

Potarłem bliznę przy ustach, ignorując zimny ból w skroniach. Przez ostatnią noc w moich myślach zagościł obraz nieprzeniknionej mgły.

I Autumn.

- Mam nadzieję, że nie będzie złej pogody. W tamtym tygodniu cały czas padało, a tydzień temu ten wiatr i mgła... - Amanda Torre wzdrygnęła się na dźwięk dzwonka u drzwi.

- Tydzień temu była mgła? - spytałem. Nic nie pamiętałem. Tylko padało.

- Tak. Dobrze. Dwanaście funtów. Dzień dobry - uśmiechnęła się do następnego klienta.

- Na pewno? - dopytywałem się.

- Tak, Bernardzie. Co podać?

Otworzyłem usta, jednak ponownie je zacisnąłem i wyszedłem czym prędzej ze sklepu. Mimowolnie nałożyłem kaptur na głowę i usłyszałem śmiech.

- Chyba masz jakieś problemy, kapturzasty - powiedział Davey Donnell, jak zwykle z gorzałką pod bokiem. - Z dziewczyną?

- Nie - odpowiedziałem szybko.

- E tam, wszystko zawsze i tak sprowadza się do kobiet - mruknął Donnell i upił łyk z piersiówki.

Zacząłem iść ulicą w kierunku domu Violet. Minąłem grupę turystów i po chwili schodziłem po stromym zboczu na podwórko. Po raz pierwszy od tygodnia świeciło słońce i miałem przecucie, że jutro będzie udany dzień.

Patrzyłem przez chwilę, jak spokojne fale obmywały brzeg i wziąłem głęboki oddech. Nie mogłem pozbyć się jednak niepokoju, który pojawiał się za każdym razem, kiedy byłem w pobliżu Loch Shieldaig.

- Też lubię patrzeć na morze - usłyszałem.

Odwróciłem się i zobaczyłem Autumn siedzącą na ganku. Długie, kasztanowo-rude włosy miała zebrane na lewy bok, a jej biała skóra nabrała od słońca lekkiego blasku. Dziewczyna miała na sobie jedną z dawnych sukienek mojej mamy, czarną w żółte kwiatki, a na nią narzucony czerwony sweter. Wiedziałem o sukience, ponieważ pamiętałem

fotografie.

Zabrakło mi tchu.

- Wróciłeś dzisiaj o wiele wcześniej niż zwykle - powiedziała.

Zauważyłem, że splotła ręce na kolanach.

- Mogę się dosiąść? - spytałem.

Kiwnęła głową. Odsunęła się szybko, robiąc mi miejsce. Drewno było wilgotne po ostatnich deszczach. Usiadłem, czując, że nie mam pojęcia, co powiedzieć.

- Jutro jest festyn. Amanda Torre próbowała mnie namówić, bym wziął udział w jakiejś zabawie - zacząłem jak skończony idiota.

Autumn zacisnęła usta.

- Pewnie będziecie się dobrze bawić.

- Będziecie? Przecież idziesz z nami - zdziwiłem się.

Autumn pokręciła głową.

- Wolałabym nie... Nie lubię... imprez.

Patrzyła twardo przed siebie, jakby wzrokiem mogła sprawić, że woda morza się rozstąpi.

- No coś ty, będzie fajnie - powiedziałem. - Chyba. Serio, nie wiem. Nawet babcia Violet chciała, byśmy poszli.

- Pani En... Violet nie mówi wszystkiego, co naprawdę myśli.

Zaśmiałem się.

- Nie rozumiem.

Autumn wykręciła palce.

- Może lepiej, by tak pozostało - szepnęła.

Przyglądałem się jej profilowi. Lekki podmuch wiatru

sprawił, że po chwili włosy opadły jej na twarz. W skroniach poczułem echo zimnego bólu. Odwróciłem od niej wzrok i poprawiłem kaptur na głowie. Dopiero teraz zobaczyłem kątem oka coś, co zwróciło moją uwagę.

- Co to? - spytałem, pokazując na leżącą obok Autumn fioletową różę.

Dziewczyna spojrzała zdezorientowana i delikatnie wzięła w palce kwiat.

- Nic. Violet mi ją dała - jej głos był spięty.

Przypatrywałem się róży. Była niemalże idealna: miała duże, o wiele większe płatki niż jakakolwiek inna, którą widziałem. Kolor był intensywny, opalizujący i, nie wiedzieć czemu, natychmiast pomyślałem, że jest identyczny z oczami Autumn. Jedynym mankamentem kwiatu był brak kolców. Odbierało mu to... prawdziwość. Róża wydawała się taka niepełna.

Nieprawdziwa.

- Jest ładna - powiedziałem, nie dodając, że jednak daleko jej jest do Autumn. Nigdy nie byłem za odważny w kontaktach z dziewczynami.

- Tak. O ile lubi się różę - wyszeptała.

- Różę są... fajne.

- Nie - Autumn pokręciła głową.

- To może lilie? Wolisz lilie? - rzuciłem, wspominając swój sen.

Niespodziewanie Autumn wzdrygnęła się i jej oczy spotkały się z moimi. Jej twarz stężała, a źrenice powiększyły się z zaskoczenia.

- Lil-ie? Powiedziałaś „lilie”?

- Tak. Ich chyba też nie lubisz - stwierdziłem.

Ramiona dziewczyny zeszywniały, a ona sama oplotła się rękoma, jakby dodając sobie otuchy.

- Lubię lilie. Tylko po prostu... mnie zaskoczyłeś - posłała mi uśmiech, jednak było w nim coś sztucznego. Zaczęła się kiwać do przodu i do tyłu, wpatrując się w różę. - Skąd pomysł na lilie? - spytała, a jej głos się załamał. - A nie... stokrotki?

Lilidh. Kwiat Lilii. Przez chwilę miałem ogromną ochotę powiedzieć Autumn o swoich snach, lecz byłem pewny, że jeśli dowiedziałyby się o tym, że o niej śnię, to już nigdy bym z nią nie porozmawiał.

- Stokrotki to... takie zwyczajne kwiatki - spróbowałem jakoś wybrnąć z tej nieprzyjemnej sytuacji. - Nie twierdzą, że są... brzydkie, ale wiesz... lilie bardziej do ciebie pasują.

Dziewczyna zacisnęła usta i zobaczyłem, jak jej ręce zaciskają się na róży, coraz mocniej i mocniej. Odwróciłem wzrok i usłyszałem trzask.

- Powinniśmy wejść do domu. Niedługo zacznie padać - powiedziała cicho.

Wstałem i podałem jej rękę. Autumn podniosła głowę i po raz kolejny dostrzegłem tę dziwną mieszaninę trwogi i siły w jej niesamowitych oczach.

Znów miałem niejasne poczucie, że doznałem kiedyś czegoś podobnego.

- Jak to zwykle bywa w Wielkiej Brytanii. Co godzinę inna pogoda.

Autumn uśmiechnęła się do mnie i zacisnęła ręce na mojej

dłoni. Gdy jej zimne, lodowate wręcz palce dotknęły mojej skóry, znów poczułem w skroniach to samo echo bólu. Siłą powstrzymałem się, by się nie skrzywić.

Dziewczyna wstała i chwilę przypatrywała się złamanej przed momentem róży.

- Nie musiałaś tego robić - powiedziałem.

- Nie, ale zrobiłam.

Zeszła z ganku i podbiegła do brzegu morza, ciskając połamaną różę do wody. Po tafli rozeszły się kręgi w miejscu, gdzie spadła, a kwiat oddalał się coraz dalej od brzegu.

Autumn odwróciła się do mnie, a jej oczy mieniły się hipnotyzująco. Wydawała się promieniować, ale nie blaskiem, a mrokiem. Uniosła lekko podbródek, a czarna sukienka wirowała wokół jej kolan w rytm lekkiego wiatru. Przez chwilę pomyślałem, że jeśli kiedykolwiek miałbym spotkać jakiegoś Ducha Powietrza, Autumn Hawthorne idealnie wpasowywała się w te wymogi.

- Wiesz co, Bernardzie? Chyba się rozmyśliłam - powiedziała, mijając mnie na ganku. - Chętnie z wami pójdę na ten festyn.

Minęła mnie i usłyszałem, jak trzaska drzwiami. Wpatrywałem się dalej w unoszącą się na falach różę, gdy ta nagle znikła. Zamrugalem oczami, lecz jedyne co usłyszałem, to nie wiatr, śpiew ptaków czy szum morza.

Był to chichot.

- Dzwonili twoi rodzice - oznajmiła mi Violet wieczorem, gdy razem zasiedliśmy do kolacji.

Z okien widać było rozświetlone wody Loch Shildaig: dla niektórych zabawa już się rozpoczęła.

- Wreszcie odważyli się wyjść spod tej ziemi - mruknąłem.

Mieszkałem u Violet prawie trzy tygodnie i rodzice dzwonili do mnie co jakieś trzy, pięć dni. Nie miałem im tego za złe. Rozmowy telefoniczne z Islandii są dość drogie, a oni byli zajęci. Przyzwyczałem się do tego.

- Chcą z tobą porozmawiać. Zadzwonią niedługo - babka usiadła naprzeciw mnie.

Kątem oka widziałem, jak Autumn, oświetlona przez wątłe światło lamp, siedziała nieruchomo niczym posąg na fotelu w salonie, wpatrując się pustym wzrokiem w czarny ekran telewizora.

Narastał we mnie niepokój. Potarłem nieświadomie bliznę.

Violet uśmiechnęła się szeroko.

- Więc jutro zamierzacie iść na festyn? Amanda prosiła mnie, bym ci przekazała, że zapisała cię na biegi przełajowe.

- Dzięki - mruknąłem. - Jak z nią rozmawiałaś, babciu?

Palce Violet uderzały o blat stołu, będąc jedynym dźwiękiem, jaki dochodził do moich uszu. Przyzwyczajony do nieustających odgłosów deszczu i miasta uświadomiłem sobie, że źle znoszę ciszę.

- Zapomniałeś kupić herbatę miętową. Amanda specjalnie zamawia mi ją z Inverness.

Upiła ostentacyjnie łyk. Poczulem znajome mrowienie w lewej ręce, a w skroniach zimno.

- Czy coś cię gryzie, Bernardzie? - spytała mnie babka.

Uciekłem wzrokiem w stronę Autumn. Oczywiście, że tak. Ale co miałem powiedzieć? Że śnię o adaptowanej kuzynce? O tym, że jest Duchem Powietrza? O zimnych bólach w skroniach, dreszczach w lewej ręce i *déjà vu*? Że tracę zmysły?

Nie mogłem. Wszystko próbowałem sobie jakoś poukładać, jednak jedna fioletowa róża i dziewczyna o oczach tego koloru mogą skutecznie uprzykrzyć życie.

- Mam problemy z pisaniem. Wiesz, zwykłe bóle głowy - skłamałem i jak naturalniej pokazałem na skronie. - Za dużo komputera.

Usłyszałem, jak Autumn bierze głęboki oddech.

- Pewnie niedługo oślepniesz. Mogłam się tego spodziewać, Bernardzie - powiedziała chłodnym tonem babka.

Przez chwilę jej wzrok padł na moje dłonie i echa przyszłości podsunęły mi obraz: jej palce zaciśnięte na mojej ręce...

- Skąd miałaś fioletową różę? Nie ma tu kwiaciarni.

Twarz babki stężała. Usłyszałem odgłosy kroków i po chwili owiał mnie zapach Hawthorne: jesienne liście.

- Fioletową różę? Tak ci powiedziała ta młoda dama? Hoduję parę w pokoju - uśmiechnęła się. - To nic takiego.

Zacisnąłem usta i znów potarłem bliznę. Byłem pewien, że Violet nie hodowała niczego w swoim pokoju. Coś mi nie grało - miałem wrażenie, że kiedy mogę wreszcie powiedzieć, co jest ze mną nie tak, to coś przypominające lodowaty podmuch wiatru wywiewało i zacierało odpowiedź.

Odwróciłem się. Spojrzałem na Autumn przygotowującą szybko herbatę i Violet, w której bladych oczach pojawiły się błyski. Atmosfera w kuchni była tak gęsta, że wiedziałem, że wybuch mojej złości jest nieunikniony.

Nagle w holu zadzwonił telefon. Napięcie wyparowało tak szybko, jak się pojawiło. Zerwałem się i podbiegłem do aparatu.

- Bernard - usłyszałem głos mojej mamy. - Wreszcie.

- Hej - odpowiedziałem, szczerze się ciesząc, że zadzwonili. - Co u was?

- Ojciec dostał przydział na uniwersytecie, prowadzi wykłady, zaś ja prowadzę badania. A u ciebie?

- Nic.

- Na pewno? Mnie się zdaje, że niedługo odbędzie się ważne wydarzenie.

- Festyn.

- Tak. I co? Naprawdę jest tak źle z twoją babcią?

Skrzywiłem się, nie wiedząc, co powiedzieć. Coś mi mówiło, że Violet i Autumn przysłuchują się naszej rozmowie.

- Gdzie tata? Z nim też chciałem porozmawiać - ściszyłem głos.

- Pracuje. Ale przesyła ci pozdrowienia. No, nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Wiesz... nie jest źle - powiedziałem.

Cisza. Słyszę śmiech mamy.

- Wiedziała. Nie poznaję cię, Bernie. Jeśli dajesz za wygraną, coś się święci. Poznałeś kogoś?

- Co, ja? Nie. To nic takiego.

Co, do jasnej ciasnej, było ze mną nie tak, że wszyscy czytali ze mnie jak z otwartej książki?

- Dobrze - słyszałem, jak tłumi śmiech i mimowolnie przewróciłem oczyma. - To kiedy ten festyn?

- Jutro.

- Jakies specjalne plany?

- Zmuszono mnie do udziału w biegu przełajowym.

- Zażyjesz wreszcie trochę ruchu. A teraz, czy twoja babcia cię słyszy?

- Jak zwykle - ściszyłem głos jeszcze bardziej i rozejrzałem się dookoła. Z salonu nie dochodziły żadne dźwięki, co było podejrzane.

- Muszę ci zadać pewne pytanie, Bernardzie.

Wyprostowałem się. Bernardzie. Użyła mojego pełnego imienia, a nie Bernie, jak zwykle się do mnie zwracała.

- Czy twoja babka opowiadała ci o Duchach Żywiołów?

Zmarszczyłem brwi. Duchy Żywiołów? Chyba coś mi wspominała, ale nie mogłem sobie przypomnieć co.

- Chyba tak, a co?

Znów cisza.

- Chciałam ci powiedzieć, byś jej nie wierzył. Babcia wydaje się być zdrowa na umyśle, ale akurat w tej kwestii się nie zgadzamy. Nie wdawaj się z nią w dyskusję. Przeżyła śmierć dziadka Johna dość mocno.

- Uprowadzony przez syreny - wyszeptałem, nie wiedząc czemu.

Dziwaczny impuls przeszedł przez moją lewą dłoń aż do piersi. Zapiekło. Szybko dotknąłem tamtego miejsca, czując

przez koszulkę jakieś wybrzuszenie. Trzymając słuchawkę, uchyliłem materiał.

Podłużna, jaśniejąca bielą blizna. Nie mogłem sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek zranił się w tym miejscu. Moja wyobraźnia podsuwała mi obraz ciemności i ręki z długimi paznokciami zadającej mi ból...

- Bernardzie! - krzyknęła mama i podskoczyłem.

- Tak?

- Żyjesz?

- Chy-yba tak, mamo.

Złapałem się za skroń. Lód znów wypełnił mi głowę.

- Zadzwoń do nas po festynie. Opowiesz nam, jak było.

- Dobrze.

- Pamiętaj, co ci mówiłam: starzy ludzie plotą trzy po trzy.

- Violet wygląda na zdrową na umyśle - palnąłem.

- Dobranoc, Bernie.

- Hej, czekaj - powiedziałem. - Teraz... teraz ja chcę cię o coś spytać.

- Tak? - spytała.

Usłyszałem w jej głosie zniecierpliwienie. Pewnie spieszo było jej do jakichś wykresów ruchów tektonicznych. W sumie w tle słyszałem pikanie jakieś maszyny badawczej.

- Czy cioteczna babka Vanda ma adoptowaną córkę? - wyrzuciłem z siebie.

Cisza.

- Mamo... Mamo?

Popatrzyłem na słuchawkę. Nic.

- To nie są żarty - dodałem.

Cisza.

- Super - walnąłem słuchawką. - Super.

Kątem oka zobaczyłem jakiś cień i natychmiast się odwróciłem. Moją twarz owionął podmuch zimnego wiatru. Wróciłem sfrustrowany do salonu, zastając Autumn i Violet z dziwnym, konspiracyjnym uśmieszkiem na twarzy, tak, że miałem wrażenie, iż jestem skończonym idiotą.

Jak zwykle, mój pech ścigał mnie wszędzie.

- Nie masz prawa mi rozkazywać! Już dawno przestałeś mieć nade mną jakąkolwiek władzę. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie jestem twoją młodszą, bezradną siostrzyczką? Umiem zadbać o siebie sama...

- Mordując - wtrąca się Aubrun.

Mistral wykrzywia twarz w nieznośnym grymasie. Edward wie, co zrobił - wkurzył ją. Oddech jego siostry staje się nierówny.

- Zrobiłam więcej dobrego niż ktokolwiek z twojego głupiego wydziału.

- Mis... Jestem twoim starszym bratem, lecz, jeśli się nie opanujesz, będę musiał cię aresztować.

Dziewczyna śmieje się.

- Mam się bać? - pyta.

- Powinnaś - odpowiada zaniepokojony Auburn. - Nie mogę cię dłużej chronić, Mis. Nie rozumiesz, w jakim jestem położeniu? Jestem funkcjonariuszem prawa! A ty jesteś moją

siostrą! - tu coś ścisnęło go w sercu, lecz mężczyzna kontynuował. - Devilish zaczyna coś podejrzewać. Twoje... wybryki zaczynają go interesować, a znasz go - nie spocznie, dopóki czegoś nie rozwikła. Gdy się dowiedzą, kim jesteś, odsuną mnie od śledztwa. Przejrzyj wreszcie na oczy! - Auburn wali ręką w stół, a po pokoju rozlega się zwielowokrotnione echo. - Tu nie chodzi tylko o ciebie. Chodzi o całą naszą rodzinę. Ciebie i mnie. Zniszczysz nas. Zniszczysz siebie.

Mistral wzrusza ramionami.

- Za późno. Jestem taka, jaka jestem. Służę światu, likwidując te kreatury - mówi oschle, głosem pozbawionym emocji.

- Masz problem, Mis - szepce Auburn. - Mogę ci pomóc. Ty sama decydujesz, kim chcesz być.

Mistral kręci głową.

- Nie jestem już bezradną dziewczynką w różowej sukieneczce, którą musisz otaczać opieką. Kiedy ty wreszcie przejrzysz na oczy, bracie? Jestem lepsza od większości zawodowych policjantów, zabójców. Wytrzymałsza. Szybsza. Lepsza. Nikt mnie nie powstrzyma. Nawet ty.

Auburn zaciska ręce, po czym mówi:

- Brak ci pokory, Mistral. Przemyśl to. Daję ci ostatnią szansę. Skończ z tym.

Ed wstaje, odsuwając krzesło. Nie spuszcza wzroku z siostry. Mistral uśmiecha się do niego sztucznie, pokazując zęby.

Co takiego się stało, że zmieniła się w potwora? To jedno

pytanie od paru godzin zaprzęta mu umysł. Ed próbuje zrozumieć motywy kierujące jego siostrą, stworzyć profil psychologiczny, jednak... Mistral Fannah Auburn była... była ostatnią osobą, którą posądziłby o przestępstwo. Jakikolwiek wykroczenie. Delikatna, filigranowa, miała problemy nawet z prowadzeniem samochodu. Dopiero teraz dotarło do niego, że to ona zawsze wspierała go w śledztwach, miała doskonały dostęp do jego gabinetu. Jej wygląd był tylko fasadą, za którą ukrywała się jej prawdziwa natura.

Auburn musiał się przyznać sam przed sobą – bał się jej. Nie wiedział, co doprowadziło jego siostrę do upadku. Co sprawiło, że stała się taka.

Patrząc w jej pałające niezdrowym żarem oczy, wiedział, że musi ją powstrzymać.

- Nie - mruknąłem. - Ona sama musi się powstrzymać, baranie.

Nadgarstki bolały mnie od zbyt długiego wstukiwania w klawiaturę liter, a oczy piekły. Dałem za wygraną. Wyłączyłem laptopa i położyłem się na łóżku. Poręcz wersalki jak zwykle wpiła mi się w kark.

Znów śnię o Niej. Tym razem nie spadamy razem w ciemność, nie słyszałem żadnego gromkiego głosu krzyczącego „Lilidh”. Widziałem jedynie jej oczy.

Wielkie, opalizujące, mieniące się niczym szlachetny kamień. Niemogące należeć do człowieka.

Wpatrują się we mnie, a powieki znów opadają. Gdy się podnoszą, źrenice rozchodzą się prawie na całą tęczówkę,

zatruwając czernią ich fiolet. Pragnę krzyczeć, uciekać, ponieważ ten widok jest tak straszny, że nie może być prawdą.

Dziewczyna znów mruga i unosi powieki, dostrzegam, że jej oczy są całe czarne. Żadnego białka.

- Bernardzie - słyszę jej głos.

Znów dotyk zimnych palców na skroniach. Otwieram oczy, niepewny czy to jawa, czy sen.

Jej delikatne włosy łaskoczą mnie w twarz, a półksiężyc widoczny na niebie sprawia, że wokół jej głowy tworzy się aureola. Autumn wygląda jak istota nie z tego świata.

Jak anioł.

- Naprawdę mi przykro - szepcze, a jej palce jeszcze mocniej wpijają mi się w czaszkę, przenikając przez skórę.

Trudno mi wyrazić, jak działa na mnie jej niski, chrapliwy głos. To jak ekstaza. Narkotyk.

Nim odpływam, czuję, jak chłodne wargi dziewczyny dotykają mojego czoła. Wszystko się wyostrza, jaśniej. Przez chwilę mam wrażenie, że widzę ją naprawdę: anioła stworzonego z czystego, złotego światła. Czystego, nieskalanego.

Z mrokiem w oczach.

To było konieczne.

- Nienawidzę tego - Autumn opadła na fotel, zaciskając ręce. - To nie będzie miało sensu. Bernard... On... jest zbyt silny. Nie będę mogła wymazywać mu pamięci bez końca.

- To ostatni dzień. Wytrzymaj.

Autumn ścisnęła palcami skronie.

- Po prostu... nienawidzę tego, proszę pani. Nie chcę mieszać mu, ludziom, w głowach, odłączać telefonów, szkodzić - Autumn czuła, że ten chłopak mógłby być jej przyjacielem. Mogła łatwo wyobrazić sobie jego wściekłość, gdy dowie się o tym, co knuła z jego babką. - Rozumie mnie pani?

- Nie.

Dziewczyna podniosła na nią wzrok. Zmiana tematu.

- Dzisiaj znów dostałam różę - westchnęła.

- Od Ofelii?

- Któż inny by mi ją podarował?

- Ta ondyna nie ma Opiekuna?

Autumn się zaśmiała.

- Nawet świat Duchów pełen jest korupcji. Myślę, że Ofelia pracuje dla Boreasza, ale dlaczego zaatakowała Bernarda... nie mam pojęcia. Jednak... nie to jest najdziwniejsze - dodała Autumn. Z trudem zmuszała się do powiedzenia prawdy. Ta czarownica i tak wiedziała o niej zbyt wiele. Więcej niżby chciała, co fatalnie wpływało na jej samopoczucie. Czy kiedykolwiek myślałaby, że dobrowolnie współpracowałaby z przedstawicielką Istot? Nie. - Bernard spytał mnie, czy lubię lilie.

Na twarzy Violet pojawiło się rozdrażnienie.

- Myślisz, że to ma związek z tobą? - syknęła.

Autumn spytała:

- Jak naprawdę się nazywam, pani Enbatch-Meadow?

Violet zmrużyła oczy, analizując jej słowa. Autumn wiedziała od początku, że kobieta nie darzy jej szczególną sympatią i toleruje tylko ze względu na zawarty układ.

- Masz rację - powiedziała kobieta po paru sekundach milczenia. - To nie przypadek. I właśnie to mnie niepokoi - zacisnęła usta w cienką linię.

6 Sierpnia Festyn

- Serio? Nie wystarczy babci, że muszę już brać udział w tym wyścigu? Musimy jeszcze oglądać te występy?

Violet obrzuciła mnie gniewnym, karcącym spojrzeniem i zamknęła drzwi domu na klucz. Na głównej ulicy Shildaig, mimo braku oficjalnego otwarcia festynu (lub Shildaig Fete, jak nazwali go mieszkańcy wsi), zabawa dawno się rozpoczęła. Zdziwiłem się, że impreza miała już tylu uczestników. Namioty, trampoliny, balony, dmuchana ślizgawka... Także głośna, zapewne tradycyjna, ludowa szkocka muzyka, drażniąca moje uszy.

- To również twoje dziedzictwo, Bernardzie. W jednej czwartej jesteś Szkotem.

Westchnąłem. „Dziedzictwo” nie uprawniało babki do torturowania mnie dudami.

- Jeśli tak, powinienem być chyba rudy? Prawda? - pokazałem na swoje włosy. - Są brązowe. W dodatku, w przeciwieństwie do was, nie mam tego akcentu.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- A ty? - zwróciłem się do Autumn. - Jesteś Szkotką?

Dziewczyna popatrzyła na mnie dziwnie. Znow poczułem drganie pod sercem, jak zwykle, kiedy na nią patrzyłem.

Miała na sobie białą bluzkę włożoną w staromodną, ciemnozieloną spódnicę i mokasyny. Upięła dziś włosy w wysoki kok, lecz parę kosmyków opadało na jej szczupłą twarz. Szczerze się przyznaję, zwykle nie lubiłem tego uczesania u dziewczyn. Postarzało je. Nadawało wygląd starych panien, bibliotekarek. Jednak Autumn wyglądała w nim tak majestatycznie, niemalże królewsko.

Nasze spojrzenia się spotkały. Bezwiednie potarłem bliznę przy ustach. Między nami istniała dziwna energia, której pochodzenia nie mogłem odgadnąć.

- Jestem. Mam przecież rude włosy, nieprawdaż? - powiedziała, wyrywając mnie z zamyślenia.

Wsadziłem ręce do czarnej bluzy, czując, że kolejny raz niepotrzebnie się wygłupiłem. Zimno znow napłynęło do mojego umysłu.

- Chodźcie, dzieci.

Poszedłem za Violet i Autumn, przypatrując się im co chwilę. Niebo było pochmurne, wiał lekki wiatr. Nie było ani za ciepło, ani za zimno.

Idealnie.

Minąłem kilkoro mieszkańców Shildaig, turystów robiących zdjęcia oraz stragany. Zobaczyłem, jak na kamienisty brzeg Loch Shildaig co raz wpływają fale i na ich widok coś mnie ścisnęło w żołądku.

- Bernardzie?

Podniosłem wzrok. Autumn przekrzywiła głowę, przypatrując mi się.

- Może byś zdjął kaptur? Jakby nie patrzeć, jesteśmy w towarzystwie.

Podeszła do mnie. Stanęła na palcach i ściągnęła mi go z głowy.

- Uwierz mi, tak jest lepiej.

Poczułem, jak w policzki uderzyło mnie gorąco. Szczerze ucieszyłem się, że w tłumie nikt nie zwracał na nas uwagi. Serce biło mi tak szybko, że nie mogłem uwierzyć, że nie wysiadło.

Kim jest ta dziewczyna?

Pytanie pojawiło się w mojej głowie niespodziewanie i jak podmuch wiatru poczułem na czole wspomnienie chłodnego dotyku. Autumn błyskawicznie odsunęła się ode mnie: jej oczy były silne, niezłomne.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. To... muzyka. Nie lubię folku - odpowiedziałem szybko.

Hawthorne rozejrzała się. Jej wzrok pochłaniał wszystko: biegające z balonami dzieci, dorosłych gawędzących przy piwie, przygotowania do występów. Wydawała się zagubiona, tak inna. Niepasująca.

- Nigdy nie byłam na takim... spotkaniu - stwierdziła.

- Imprezie - poprawiłem ją odruchowo. Byłem zafascynowany emocjami kryjącymi się na jej twarzy. - Serio?

- Tak.

Pokręciłem głową.

- Nie wierzę. Twoi rodzice nigdzie cię nie zabierali?

Przez chwilę próbowałem sobie przypomnieć, kim byli, jednak natrafiłem na pustkę. W tym samym czasie dziewczyna zacisnęła usta.

- Nie. Mieli... mało czasu. Dużo obowiązków.

- Jakbym słyszał o własnych starych.

Autumn podniosła jedną brew.

- Są geologami - wytłumaczyłem. - Dlatego zostałem wysłany do Violet. A twoi? Dlaczego cię tu przysłali?

Zamilkła.

- Bernardzie!

Odwróciłem się i zauważyłem rozpromienioną Amandę Torre. Za nią, z miną godną burzy gradowej szła Violet. Widząc ją, Autumn pobladła, odsuwając się ode mnie. Natychmiast poczułem w sobie obowiązek ochrony dziewczyny.

Ale czemu miałbym ją chronić?

- Jesteś! Przyszedłeś! Taki chłopak jak ty - Amanda dała mi kuksańca w bok. Taka poufałość była zbyt... przytłaczająca i żenująca. - A to...

Amanda popatrzyła na Autumn, a na jej twarzy pojawił się jeszcze szerszy uśmiech.

- Autumn Hawthorne - przedstawiła ją Violet. - Dziewczyna Bernarda.

Oboje zamarliśmy. Byłem gotów zaprzeczyć, ale czemu, tego nie wiem. Coś nakazało mi trzymać język za zębami. Autumn szybko doszła do siebie i na jej twarzy pojawił się uśmiech. Znów zakręciło mi się w głowie.

- Przyjechała go odwiedzić. Wiesz, jacy są młodzi - usłyszałem głos Violet. - Nie mogą żyć bez siebie.

Nie mogłem nie wychwycić nuty sarkazmu w jej głosie.

- Nie mówiłeś, że masz dziewczynę, Bernardzie - powiedziała Amanda.

Uśmiechnąłem się krzywo, nadal nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Minęła nas roześmiana grupa turystów.

- Jest za skromny - dodała Violet. - I zbyt nieśmiały.

- Ależ jesteś piękna! - powiedziała z zachwytem Amanda, zadzierając głowę, by przyjrzeć się Autumn.

- Dziękuję - jej głos stał się nagle chłodniejszy i jakby ostrzejszy. Amanda zmrużyła oczy.

- Szkotka?

- Tak.

- Skąd jesteś? Twój akcent...

- Nie mówię dziwnej od Bernarda, proszę pani.

Amanda uśmiechnęła się.

- I ma poczucie humoru. To świetnie. Bawcie się dobrze. O drugiej trzydzieści masz bieg - szturchnęła mnie palcem i znikła w tłumie.

Zacisnąłem usta i roztarłem sobie bok.

- O co wam chodzi? - spytałem Autumn i Violet. - Przecież...

Autumn posłała mi sugestywne spojrzenie. Wpatrywałem się zahipnotyzowany w jej fioletowe oczy.

- Co robimy? - miałem wrażenie, że cały świat się kręci. Zimny podmuch wiatru znów owiał mi twarz.

Violet położyła mi rękę na ramieniu. Próbowałem się od

niej odsunąć, jednak znów przygarnęła mnie do siebie. W fioletowych oczach Autumn dostrzegłem przez chwilę smutek pomieszany z radością.

Kim ona naprawdę jest?

- Dlaczego pytasz? Wiadomo, bawimy się - babka pchnęła mnie lekko w stronę Autumn i w ostatniej chwili udało mi się nie wpaść na dziewczynę. Nasze twarze dzieliło tylko kilka cali.

Odruchowo spojrzałem na jej usta i po raz pierwszy w życiu zapragnąłem pocałować dziewczynę. Serio. Nawet kiedy w czwartej klasie podkochiwałem się w Stacy Watson, nie miałem ochoty tego zrobić. Myśl o pocałunku odstręczała mnie. Teraz było inaczej. To impuls, potrzeba. Musiałem, chciałem to zrobić. Echa podświadomości krzyczały do mnie, bym to zrobił i już pochylałem się nad nią, oszołomiony i oczarowany przez jej, o, ironio, jesienny zapach...

Wtedy uświadomiłem sobie, co chciałem zrobić. Natychmiast odskoczyłem od dziewczyny. Jej oczy rozbłysły. Nie miałem pojęcia, co myśli. Jak mnie osądzała.

Kim jestem w jej oczach? Napalonym palantem? Idiotą?

Boże. Chciałem pocałować dziewczynę w obecności własnej babki. Naprawdę zwariowałem.

Odwróciłem się do Violet. Miała twarz tak poważną, pełną napięcia, że z trudem powstrzymałem się od rozdrapania do krwi blizny przy ustach, tak byłem zdenerwowany.

- Ja... już pójdę. Bawcie się dobrze - wydukałem i czym prędzej uciekłem w tłum.

Przedarłem się przez natłok ludzi, czując, że jestem czerwony jak burak. Przystanąłem przy budce z piwem, oddychając głęboko.

Co się ze mną działo? Czemu Autumn tutaj była? Nie należała do rodziny, nie mogła. Przecież cioteczna babka Vanda nie miała adoptowanej córki, a może tak? Czemu nie mogłem zaprzeczyć, że Autumn jest moją dziewczyną? Czemu Violet to powiedziała? Czemu Ona nie zaprzeczyła?

Znów poczułem zimny ból w skroniach i mimowolnie się skrzywiłem.

- Kapturzasty! Ty! Znów problemy z kobietami?!

Podniosłem wzrok i zobaczyłem trzech mężczyzn siedzących przy stoliku. Mój wzrok nie musiał nawet szukać: od razu rozpoznałem w jednym z nich Davey'ego Donnella. Któż inny nazywałby mnie „kapturzastym”?

Oddychałem głęboko. Davey upił łyk piwa z ogromnego kufła i zakrztusił się ze śmiechu na widok mojej miny.

- Siadaj. Chyba możesz pić? - spytał, a jego koledzy zanieśli się śmiechem.

Przełknąłem ślinę i zdecydowałem się usiąść na brzegu ławki. Byle dalej od babki i Autumn.

- No, koledzy - powiedział głośno Davey. - Poznajcie wnuka Violet Melindy Enbatch-Meadow, Bernarda Oakena.

Jeden z nich wypluł z przejęcia piwo. Z deszczu pod rynnę. Teraz byłem stuprocentowo pewny, że mój pech planował te wakacje od dawien dawna.

- Violet? Ten wyrostek jest synem Clarice?! - krzyknął.
Skrzywiłem się.

- Musimy postawić ci piwo. Należy ci się - dodał jeden z kolegów Davey'ego, barczysty brodacz.

- Przepraszam, nie mogę - odpowiedziałem.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i szturchnął siedzącego obok kolegę w kwadratowych okularach i czarnej czapce przypominającej skarpetę. Ten prychnął, tłumiąc chichot w kuflu piwa.

- Anglicy - wydukał, jakby moja narodowość była żartem.

- Ile masz lat?

- Szesnaście - odpowiedziałem, trochę już zbity z pantafelku i jednocześnie poirytowany.

- To możesz sobie golnąć!

Zaniemówiłem.

- Co? Przecież...

- SZKOCJA! - uśmiechnął się brodacz.

Wstał i po chwili postawił na stoliku kufel z pieniącym się piwem.

- No, pij - zachęcił.

Popatrzyłem na Davey'ego, a ten kiwnął głową. Wziąłem głęboki oddech.

No, gorzej już być nie mogło.

Podniosłem kufel i upiłem parę łyków. Nigdy nie piłem piwa, więc jego smak był dla mnie zaskoczeniem. Zakrztusiłem się, zastanawiając się, jak można pić takie świństwo. W porównaniu z tym nawet herbata miętowa Violet była słodkim nektarem.

Zmusiłem się do przełknięcia piwa i uśmiechu. Odstawiłem kufel na stół, decydując, że już nigdy nie tknę piwa.

Nigdy.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem zadowolenie na twarzach mężczyzn. Brodacz poklepał mnie po ramieniu tak, że mało nie uderzyłem głową w stół. Świat wokół mnie znów zawirował.

- Teraz możemy porozmawiać jak prawdziwi mężczyźni. William Atkins, ale wszyscy nazywają mnie Will - przedstawił się brodacz. - Tamten ślepiec to Gregory Hooper. Davey'a chyba znasz.

W tym samym czasie rozpoczął się pokaz tańców ludowych. Muzyka stała się jeszcze głośniejsza i ze strachem pomyślałem, że nie wytrzymam nadchodzącego koncertu na dudach.

- Więc jesteś wnukiem Violet. Widzę pewne podobieństwo... - powiedział Will. - Długo tu jesteś?

- Prawie trzy tygodnie - odpowiedziałem, nadal czując na języku smak piwa. Co mam z tym zrobić? Czy da się to zetrzeć papierem ściernym? Wyparzyć?!

- Uuuuu. Violet trzyma cię pod kloszem czy coś? Daje ci popalić?

Zamrugalem zdezorientowany.

- O co wam chodzi?

- Wiesz, jaka jest. Te opowieści o duchach - Davey podniósł ręce do góry. Wiedziałem, że jest już nieźle wstawiony. - Niektórzy twierdzą, że jest czarownicą.

Ta, chyba wy, pomyślałem.

- Dlaczego? - spytałem, wiedząc, że lubią o niej

plotkować. Violet stanowiła dla nich rozrywkę, a ja i tak miałem już przerąbane.

- Podobno jest piromanką - Davey zniżył głos do teatralnego szeptu.

- Piromanką? Podpala domy? - nie zrozumiałem.

- Niiieeee.... Głupiś. Czyta z rąk albo z tych u dołu... stóp? Nie... nie jestem pewny. Nie pamiętam. Chyba ze stóp.

Znów poczułem dziwaczny impuls w lewej dłoni. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, jak pierwszego dnia, gdy myłem okna, wpatrywała się w moją dłoń.

Coś ścisnęło mnie w żołądku.

- Podobno jakiś profesorek pomagał jej to opanować.

W głowie znów kotłowały mi się obrazy, myśli i wspomnienia. Podświadomość próbowała mi coś powiedzieć, ale blokada istniejąca w moim umyśle powodowała, że wszystko natychmiast się ulatniało.

Jednak pamiętałem rozmowę o Duchach Żywiołów. Dreszcz, jaki wywołało we mnie dziwaczne zachowanie mojej babki, gdy badała moją dłoń...

Violet czytająca historię życia ludzi z rąk. Może nawet coś innego...

Jednak musiałem się napić.

Miałem już podnieść do ust kufel, gdy nagle Davey się odezwał.

- Dlaczego nie jesteś ze swoją dziewczyną?

Podniosłem wzrok.

- Co?

- Mówiłem - dał sójkę w bok Willowi. - Żaden z nich się

nigdy nie przyznaje. Ta rudowłosa, wysoka, stojąca pod trampoliną i patrząca się na ciebie to nie twoja dziewczyna?

Odwróciłem się. Zobaczyłem, jak Autumn natychmiast udaje zajęta obserwowaniem dzieci na trampolinie. Wykręcała ręce ze zdenerwowania. Poczułem przyływ gorąca na policzkach.

- To... to Autumn Hawthorne - zdołałem jakoś wydukać. - Nie, nie jest moją dziewczyną.

A chciałbym.

Gregory podniósł sceptycznie brwi.

- Mnie to jakoś inaczej wygląda, chłopaku. Cykasz się. Kurczak z ciebie? Boisz się wyznać, co do niej czujesz? Ku-ku-ku-rczak?

Odsunąłem się od nich. Przy nich nawet Alan Tano, jeden z największych *nerdów* i *geeków* na świecie, przynoszący do szkoły na obiad słoik ogórków kiszonych i dżem truskawkowy (nie żywił się niczym innym), był uosobieniem normalności.

- Nie...? - Nawet dla mnie nie zabrzmiało to szczerze. Niedobrze, niedobrze, Oaken. - Wiecie, muszę już iść - próbowałem się wycofać. - Za chwilę zacznie się bieg, a ja... - dodałem, wstając.

- Idź. Nie bój się! Jesteś swój chłop! - krzyknął za mną Davey, gdy najszybciej jak mogłem odchodziłem od ich stołu. Czułem, jak rumieniec wstydu pali mi policzki. - Wyznaj jej, co CZUUUJESSSSZZ!!!

Przystanąłem, mrugając. Zobaczyłem, jak mała dziewczynka z watą cukrową przypatruje mi się z zaciekawieniem, a po chwili usłyszałem jej śmiech.

O, mój pechu...

- Poznałeś nowych ludzi, prawda? - niespodziewanie obok mnie pojawiła się Autumn.

Spojrzałem w bok. Przekrzywiła głowę, nie mogąc powstrzymać uśmiechu na twarzy.

- Tak. Cudowne towarzystwo - z ulgą zauważyłem, że mówię normalnie. - Dowiedziałem się także, że tutaj jestem pełnoletni.

- Szkocja - stwierdziła.

Podeszła do mnie. Z daleka usłyszałem śmiechy i gwizdy dochodzące ze stołu Davey'ego, Willa i Gregory'ego. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że musieli doskonale wszystko słyszeć. Tak samo jak słyszała to Autumn.

Cholera.

- Możemy stąd pójść? - spytałem, czując jak ponownie robi mi się gorąco.

- Dobrze.

Zaczęliśmy przedzierać się przez tłum i, nie mogąc się powstrzymać, zerkałem na nią. Zauważyłem, że Autumn nie ma idealnie prostego nosa i wiedza o tym spowodowała u mnie dziwną ulgę.

Nigdy nie lubiłem prostych nosów.

Dziewczyna zdawała się nie zwracać uwagi na moje spojrzenia, jednak nie trudno było zauważyć, że je dostrzegała. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, wydawała się być szczęśliwa.

Kiedy ją poznałem? Kiedy...

Kim ona była naprawdę?

Przystanęliśmy pod sceną, na której trwały występy dudziarzy. Autumn przyglądała się muzykom ubranym w tradycyjne szkockie kilty. Przymknęła oczy, wsłuchując się w kolejne dźwięki, a na jej twarzy pojawił się wyraz tęsknoty.

- Lubisz taką muzykę? - spytałem cicho.

Autumn otworzyła szeroko oczy i przełknęła ślinę. Miałem wrażenie, że wyrwałem ją z dalekiej podróży.

- Dudy to piękny instrument - wyszeptała. - Przypominają mi... dzieciństwo.

Patrzyłem na nią przez chwilę z wyrazem narastającego zainteresowania.

- Mój starszy brat, Roland, grał na nich. Ale dawno... bardzo dawno temu - dodała. Jej wzrok stał się pusty i nagle się wzdrygnęła. - Za dużo mówię - na jej twarzy pojawił się uśmiech, wymuszony. - Mówiłeś przecież, że nie lubisz dud.

- Nie jest tak źle - stwierdziłem.

Autumn odgarnęła włosy za uszy.

- Nie zgrywaj tutaj rycerza.

- Chyba bohatera.

W jej fioletowych oczach pojawił się błysk.

- Czasami nie mogę się przyzwycząić.

Starąłem się zrozumieć sens jej słów, gdy usłyszałem dochodzący z megafonu głos:

- Uczestnicy Hill Race proszeni na linię startu.

- To chyba czas na mnie?

- Idź - powiedziała Autumn.

Odwróciłem się do niej. Uśmiechnęła się lekko. Przez chwilę miałem wrażenie, że dostrzegam jakieś napięcie w jej

twarży, co mnie zmartwiło.

Nie wiem czemu, czułem się za nią odpowiedzialny.

Ustawiłem się w kolejce. Podałem swoje nazwisko i chwilę potem stałem pośród innych biegaczy na linii startu z naklejką ze swoim numerem na piersi. Dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, ile będę biegł i jaką trasą.

W tłumie widzów dostrzegłem Violet i Autumn. Pomachały mi, dziewczyna pokazała uniesione kciuki, na co babka zareagowała zmarszczonymi brwiami. Poczułem, że się uśmiecham. Nałożyłem kaptur na głowę i naciągnąłem rękawy na ręce. Byłem gotów.

Do linii startu podszedł sędzia, więc pochyliłem się lekko do przodu, czekając na gwizdek. Tak samo jak na szkolnej bieżni, nie liczyło się nic. Cały świat ograniczał się tylko do trasy biegu.

I tej jedynej dziewczyny, na której mi zależało.

Usłyszałem gwizdek.

Pobiegłem.

Gdy miałem czternaście lat, Ted McGowan, mój kolega z Akademii Maxwella, rzucił mi wyzwanie. Miałem wytrzymać pod wodą minutę bez oddychania.

Nie byłem przecieź cieniem. Przyjąłem je.

Do dziś pamiętam jasne refleksy światła w basenie. W głowę uderzała mi krew, a płuca paliły żywym ogniem.

Jednak wytrzymałem.

Pamiętałem swoje zadowolenie, gdy wreszcie wynurzyłem się z wody i dostrzegłem oszołomienie na twarzach kolegów. Wiedziałem, że na jakiś czas dadzą spokój z dręczeniem mnie.

Pewny swojego zwycięstwa wyszedłem z wody. Jak zwykle nie przewidziałem geniuszu swojego pecha.

Straciłem równowagę na mokrych kafelkach, tuż przed Tudem, i wepchnąłem Debrę Rice oraz Glenn Orwell do wody. Glenn, spadając, popchnęła Sebastiana Vegę, który spadł na stojącą obok Stacy Watson i Charlotte Landov. W rezultacie one też się wywróciły, ścinając z nóg znajdujące się za nimi osoby. Takim sposobem obserwowałem, jak reszta klasy padła na mokrą podłogę jak ścięte drzewa lub kostki domina.

Jakbym już wtedy nie cieszył się złą sławą.

Przez następne miesiące byłem „niezdarą” i „kompletnym, dziecięnniałym idiotą”. W szkole nie znalazł się nikt, prócz paru wyrzutków (w tym Alan Tono) chcących ze mną porozmawiać i łaskawie pozwalających mi siedzieć obok siebie na obiadach w stołówce. Żadna dziewczyna nie chciała na mnie patrzeć, a moja głowa zbyt często znajdowała się zbyt blisko muszli klozetowej.

Wtedy zacząłem czytać kryminały.

Nie, nie po to, by zdobywać pomysły mające na celu zamordowanie moich dręczycieli (choć wydawało się to nawet niezłą myślą), ale po to, by uciec. Uwielbiałem Poirot, śledztwa Wallandera, jednak szczególnie upodobałem sobie przygody Holmesa i Watsona. Czytałem wszędzie: na przerwach chowałem się po kątach, po szkole zamknięty w swoim pokoju. W książkach odnalazłem to, czego

bezsukutecznie szukałem pośród ludzi.

Biegąc, uświadomiłem sobie, że, odkąd przyjechałem, niczego nie przeczytałem. Nie chciałem uciekać. Pisanie także przychodziło mi z trudem.

Wszystko za sprawą Autumn Hawthorne.

Przyspieszyłem, zbliżając się do czołówki. Ruch sprawił mi przyjemność. Z racji szybkości kaptur już dawno spadł mi z głowy. Biegłem jednak coraz szybciej, stawiając coraz dłuższe kroki. Widziałem metę. Jakies pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów przede mną. Byłem drugi. Z przodu biegła jakaś kobieta. Rozległy się krzyki, słyszałem dźwięki dud.

Raptem poczułem, jak silny podmuch wiatru pchnął mnie do przodu. Kaptur opadł mi na twarz, a ja biegłem jak na skrzydłach. Wiatr ciągle mnie popychał i nie minęło parę sekund, gdy wyprzedziłem liderkę.

Pierwszy dobiegłem na metę.

Zatrzymałem się, łapiąc oddech. Ludzie krzyczeli, wiwatowali, gdy inni uczestnicy do mnie dołączali. Czułem, jak klepią mnie po ramionach, gratulują wytrzymałości.

Patrzyłem jednak tylko na podchodzącą do mnie Autumn. Kątem oka dostrzegłem Violet z kwaśną miną.

- Więć wygrałeś - powiedziała babka.

Uśmiechnąłem się, zdejmując kaptur. Spojrzałem w górę, na szare niebo. Lekki, zimny wiatr owiewał nam twarze.

- Po prostu miałem szczęście - stwierdziłem... - A może nie - dodałem ciszej, wspominając opowieści Violet o tych dziwnych Duchach Żywiołów.

Natychmiast porzuciłem te rozmyślania, kiedy Autumn przybliżyła się do mnie z tym nieodgadnionym krzywym uśmiechem na twarzy.

Ciepło po raz kolejny uderzyło mnie w twarz, gdy poczułem, jak całuje mnie lekko, przyjacielsko, w policzek. Przywołało to jakieś wspomnienia, echa przeszłości.

To nie był pierwszy raz.

- To nagroda - powiedziała, a ja, oszołomiony, potarłem bliznę. Serce biło mi tak szybko, wiedziałem, że nigdy tego nie zapomnę.

Nagle, gdzieś daleko, rozległ się grzmot. Uśmiech natychmiast znikł z twarzy Autumn, a pojawiła się na niej trwoga.

- Co się stało? - spytałem zaniepokojony, łapiąc ją za szczupłe ramiona. - Autumn?

Spojrzałem na niebo, wcześniej czyste, na którym teraz zniecka pojawiły się ciemne, burzowe chmury. Kłębiły się nad Shildaig, mnożąc się i mnożąc...

- Musisz stąd iść - wyszeptała.

W tym samym czasie, jak na komendę, zaczął padać deszcz. Słyszałem śmiechy i odgłosy chowających się przed zmoknięciem ludzi. Kosmyki wokół twarzy Autumn unosiły się lekko, jakby naelektryzowane, a w jej oczach pojawiła się siła.

- Zostanę - powiedziałem.

Pokręciła głową. Burza przybrała na sile. Zapewne obserwowali nas wszyscy mieszkańcy Shildaig i turyści, ale miałem to gdzieś. Autumn zacisnęła usta.

- Bernardzie - usłyszałem za sobą głos Violet.

Wtedy znikąd pojawiły się ptaki.

Setki, tysiące czarnych, ogromnych ptaków. Babka odciągnęła mnie od Autumn w stronę stołów z napojami. Próbowałem się jej wyrwać, podczas gdy ptaki okrążyły dziewczynę ciasnym kręgiem. Nikt jednak nie krzyczał, nie biegł jej z pomocą.

Jakby nikt tego nie widział.

Babka jednym ruchem usadziła mnie na ziemi i położyła palec na ustach. Zrozumiałem przekaz. Z bijącym sercem przyglądałem się temu śmiercionośnemu tańcu. Czarne, lśniące skrzydła... wrony? Nie. Wrony nie są aż tak wielkie.

To kruki.

Pierścień wokół dziewczyny rozpadł się i ptaki rozleciały się w różne strony, siadając, gdzie popadnie. Wzdrygnąłem się, widząc olbrzymie, czarne jak smoła ptaszysko siadające metr ode mnie. Jakby czując, że mu się przyglądam, odwróciło się i dostrzegłem, że jego oczy były złote.

Szybko podniosłem wzrok i nie wierzyłem w to, co widziałem. Naprzeciw moknącej w deszczu Autumn stał kruk. Jednak im dłużej mu się przyglądałem, tym wyraźniej widziałem, że coś się zmienia...

Burza, brzeg morza, na którym ją znalazłem. Nasze pierwsze, niezbyt miłe rozmowy. Opowieść Violet o Duchach Żywiołów. Niechęć do dziewczyny, zakaz wypytywania. Koszulka z Lokim.

Ondyny.

Kłębily się we mnie sprzeczne emocje: manipulowano mną. Mydlono oczy. Zimno w skroniach, dotyk Autumn...

„Widzę rzeczy ukryte. I myślę, że niedługo ty także będziesz”. To właśnie powiedziała babka, gdy wyznała mi, że posiada Wzrok. Już wcześniej spotkałem się z Duchami. Nie, ja mieszkałem pod jednym dachem z jednym z nich.

Z Autumn. Z Duchem Powietrza.

Niewiedza jest zbawienna.

- Boże - wyrwało mi się.

Violet posłała mi gniewne spojrzenie.

- Duchu - usłyszałem gniewny głos przypominający trzask piorunów. - Przybyliśmy przekazać ci wiadomość.

Przed dziewczyną nie stał już kruk, tylko wysoka, olbrzymia mroczna postać z ogromnymi, postrzępionymi, czarnymi kruczymi skrzydłami. Rozchodziły się od niej delikatne wyładowania elektryczne.

Autumn podniosła brodę i zobaczyłem, jak zaciska ręce, wokół których zaczęło krążyć powietrze zmieszane z dziwną substancją. Nikt oprócz mnie i Violet nie dostrzegał tego, co działo się na głównej ulicy Shildaig.

- Twoje zachowanie jest naganne! Boreasz wyraża swoje niezadowolenie i zniesmaczenie. Rozkazuje ci wrócić.

- Nie.

Istota w mgnieniu oka przybliżyła się do dziewczyny. Chociaż dzieliła nas odległość prawie dziesięciu metrów, czułem energię, jaka od niej płynęła.

- Kimże jesteś, by decydować o sobie, sylfido?

- Tym, kim jestem - odpowiedziała twardo Autumn. - Dobrze wiemy, że nie możecie mi nic zrobić. Nie posiadacie już nade mną żadnej władzy. Miałam prawo do takiego

wyboru.

- I co z tego będziesz miała? Nic, sylfido. Nic. Twoje postępowanie wywołuje chaos. Łamiesz Prawa. Przysięgę.

- One mnie już nie dotyczą. Jednakże, jeśli rozmawiamy o nadużyciach, chciałabym przekazać, iż grupa ondyn targnęła się na życie mieszkańca tego miasteczka.

Usłyszałem, jak istota zaniósła się śmiechem. Dreszcz przeszedł mi po plecach, gdyż wszystkie kruki zawtórowały jej krakaniem.

- Mówisz o Ofelii? Jej osobą zajęła się już Niksa. Jednakże wiesz, że żadne Prawo nie zostało złamane. Duch nigdy nie wyrządził krzywdy człowiekowi.

- Nie zostało złamane, ponieważ temu zapobiegłam.

Istota wyprostowała skrzydła i zamachała nimi. Autumn posłała jej uśmiech, od którego ciarki przebiegły mi po plecach. Jej postać zajaśniała lekką, złotawą poświatą, jak wtedy, gdy uratowała mnie od utonięcia.

- Nie waż się wykorzystywać swej mocy, sylfido! Jak śmiesz występować przeciw swej rodzinie?! - krzyknęła istota, a jej głos zlał się z odgłosami deszczu i piorunów.

- Obie dobrze wiemy, że nigdy jej nie miałam. Postaraliście się o to - wyszeptała.

Autumn uniosła się lekko nad ziemię. Jej oczy błyszczały na przemian intensywnym fioletem i czernią. Moc, jaka od niej biła, była tak zatrważająca, że wszystkie włosy na głowie stanęły mi dęba.

Jakże mogłem być tak głupi, by myśleć, że muszę ją chronić?

Istota ze skrzydłami podniosła rękę w błagalnym geście.

- Siostro - wyszeptała i po raz pierwszy w jej głosie wyczułem współczucie, troskę. - Ty... ty chyba sobie nie zdajesz sprawy z tego, co uczyniłaś.

- Zdaję - Autumn opadła na ziemię. Nagła łagodność przybysza wytrąciła ją z równowagi.

- Nie uda ci się. Nie uda ci się tego dokonać. To przeciw Naturze. Nie chodzi tu już o Prawa, Przysięgę ani o Matkę. W następną pełnię Boreasz cię znajdzie. Znajdzie cię, a Luminia przemieni w Eter.

Autumn pobladła i przełknęła ślinę. Zapadła cisza.

- Możesz wrócić. Paralda martwi się o ciebie. Wybaczone by ci. Danugaia jest miłosierna.

Ból na twarzy Autumn był moim własnym. Dziewczyna wydawała się tak rozdarta, że z trudem mogłem to oglądać.

- Nie. Podjęłam decyzję - odpowiedziała po chwili. - Zaryzykuję.

Zobaczyłem grymas na twarzy istoty.

- Jak chcesz. Ostrzegałam cię, sylfido. Wszyscy i tak wiedzą, kim naprawdę jesteś.

Okryła się skrzydłami i po chwili zmieniła się w ogromnego kruka. Wszystkie ptaki równocześnie okrążyły Autumn, a następnie znikły w blasku pioruna.

Dziewczyna schowała twarz w dłoniach. Wyrwałem się babce i podbiegłem do niej.

- Autumn.

Podniosła wzrok. Deszcz spływał po jej twarzy, mieszając się ze łzami.

- Więc widziałeś - powiedziała, ocierając łzy lub deszcz z oczu. - Widziałeś.

Serce mi zabiło i poczułem, że krew zaszumiała w skroniach.

- No i co z tego?

- Przepraszam - wszeptła Autumn. - Wiesz, kim jestem. Jestem sylfidą - nagle nogi się pod nią ugięły.

Przyciągnąłem ją do siebie. Biło od niej zimno, które, zamiast mnie odstręczać, sprawiło, że jeszcze bardziej pragnąłem ją przytulić.

- Proszę, uspokój się - nieśmiało dotknąłem jej włosów, nie reagowała. - Wszystko będzie dobrze.

Pocieszałem. Uspokajałem. Dziwiłem się sam sobie. Dziewczyna łkała, lecz nie zmieniłem o niej zdania. Była silna, silniejsza niż ja, niż Violet, niż jakakolwiek osoba na tym świecie. Żadne łzy tego nie zmienią.

Nadal staliśmy w deszczu, a ja uświadomiłem sobie, iż to, że ją odnalazłem, nie znaczy, że zostanie ze mną na zawsze. Nie miałem przecież gwarancji, że wszystko będzie dobrze.

Ale mogłem zadbać, by tak było.

Violet patrzyła na Autumn i Bernarda z rosnącym niepokojem. Nie była przecież głupia. Wiedziała, co się święci.

Z młodymi jest tak, że kiedy próbujesz ich rozdzielić, tym bardziej do siebie lgną, pomyślała i zaśmiała się gorzko. Trudno tu mówić o młodych, dodała w myślach.

Będzie ciężko. To pewne. Autumn Hawthorne, sylfida, nie była zwyczajnym Duchem. Była ewenementem na przestrzeni całej historii Duchów. Wszystkie te opowieści o selkie^[1] były wysrane z palca. Opowiadane przez ludzi niegodnych Wzroku, chcących zwrócić na siebie uwagę. Jaki Duch porzuciłby swą misję na rzecz życia z człowiekiem?

Żaden, i Violet dobrze o tym wiedziała.

Pamiętała jednak o Upadłych.

Cieszyła się, że w dzisiejszych czasach telewizja i Internet skutecznie utrudniały ujawnienie się Wzroku u ludzi. Świat byłby bezpieczniejszy, gdyby ludzie i Duchy nie wtrącali się do nie swoich spraw.

Czemu więc ta sylfida porzuciła takie życie? Nawet jej dar

chiromancji natrafił tam nie tylko na brak przyszłości, ale i na białą plamę nicości, a przecież opanowała czytanie przeszłości niemalże do perfekcji.

W tej sylfidzie, pod przykrywką niewinności i urody, kryło się coś niebezpiecznego i trującego, co mogło zaszkodzić jej wnukowi. Czym prędzej musiała zawieźć ich do Hamisha. Nie miała tylko pojęcia, jak do tego czasu rozdzielić Autumn i Bernarda.

- Im szybciej stąd zniknie, tym lepiej, John - mruknęła.

[1] Selkie - szkockie *Silkie*, w mitologii celtyckiej istoty mogące zmienić się z foki w człowieka lub bogini porządków domowych.

7 Sierpnia

Profesor Angus i Carmen

- Wiedziałaś. Od początku, prawda?

Violet odstawiła na spodeczek fioletowy kubek z herbatą. Jeśli kiedykolwiek byłem w szoku, to dopiero teraz uświadamiam sobie, jaki to stan. Myślę, ale nie myślę. Widzę, ale nie widzę.

- Oczywiście, że tak, Bernardzie. Mówiłam, posiadam Wzrok.

Spokój, jaki od niej bił, był wręcz groteskowy w porównaniu z moim gniewem i trwogą Autumn.

- Manipulowałyście mną - wysiliłem się na spokój. Miałem ochotę wykrzyczeć oskarżenia Violet w twarz, jednak obecność dziewczyny nie pozwalała mi na to.

- Było to niezbędne, Bernardzie. Nie byłeś gotowy.

- Dobrze - wstałem i zacząłem chodzić nerwowo po pokoju. - To mogę jeszcze zrozumieć, ale jak...

- Każdy Duch posiada zdolność wymazywania ludziom pamięci.

Odwróciłem wzrok. W drzwiach stała Autumn. Odezwała

się pierwszy raz odkąd wróciliśmy z Shieldaig Fete.

- Przydatne - stwierdziłem. - Ale jak?

Autumn westchnęła i usiadła na kanapie.

- To moc. Magia, jak nazywają to ludzie - dodała. - Nie potrafię tego dokładniej wyjaśnić. Mechanizm obronny?

- Jeśli to było takie skuteczne, to czemu cały czas czułem, jak wkradasz mi się do mózgu? - spytałem.

Nawet do snów, dodałem w myślach.

- Osoby posiadające Wzrok znacznie trudniej... oszukać - powiedziała cicho. - W dodatku masz... dość buńczuczną osobowość - przeniosła wzrok na moją babkę.

- Buńczuczną. Super, co to znaczy? - razem z Violet stanowią idealnie dobraną parę. „Posługujmy się wyszukаныmi, najbardziej »wysublimowanymi« słowami, by udowodnić temu przygłupowi, jakie to jesteśmy mądre”.

Zatrzymałem się i wsadziłem ręce do kieszeni. Miałem dość. Serdecznie dość. Za oknem padał rześisty deszcz, ale teraz wiedziałem już dlaczego.

Przez Autumn.

- Brak ci pokory, Bernardzie - powiedziała Violet. - Ale to zrozumiałe. Uważasz się za pechowca, prawda?

Wzięłem głęboki oddech.

- Czytałaś przeszłość z mojej dłoni, prawda? Jesteś tą...

- Chiromantką - wstała. Jej blade oczy rozjaśnił wewnętrzny ogień. - Nie, przyszłości nie czytałam. Nie jestem jasnowidzącą. Umieję tylko czytać przeszłość człowieka lub... kogoś, kto nim kiedyś był - spojrzała na Autumn.

Dziewczyna zeszywniała.

- Więc jesteś sylfidą, tak? - spytałem.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Duchem Powietrza.

Poczułem, że Violet i Autumn przyglądały mi się w napięciu.

- Kim była... ta istota? Czego chciała?

- To były Duchy Wichury, posłańcy Boreasza - wytłumaczyła Autumn. - Chcieli, bym wróciła. Właściwie, żądali.

- Uciekłaś.

- Tak.

- Skąd?

Autumn odwróciła wzrok.

- Z Królestwa Natury, dokładniej - z Królestwa Powietrza.

Nasze oczy się spotkały. Usiadłem. Niektóre informacje lepiej przyjmować na siedząco.

- Boreasz, Król, jest... niezadowolony z mojej ucieczki - zaczęła ostrożnie Autumn.

- Jest wściekły - wtrąciła się, a właściwie poprawiła ją babka Violet. Ona wie - zna przecież jej całą przeszłość. Nagle poczułem zazdrość. Też tak chciałem.

- Inni także. Na przykład Ofelia...

- Ta ondyna.

Blizna na piersi zapulsowała.

- Tak. Byłyśmy kiedyś dość... blisko - w głosie Autumn wyczułem żal. - Na pewno chciała się zemścić za to, że uciekłam.

- Zabijając mnie.

- Nie zabiłaby cię.

- Wtedy mówiłaś coś innego. Podtopiła mnie.

Autumn skrzywiła się.

- Jest mi naprawdę trudno odpowiedzieć na twoje pytania, Bernardzie. Świat Duchów jest inny od ludzkiego, bardziej złożony. Ofelia nie zabiłaby cię, nie mogłaby ci zrobić krzywdy. Manipulowała tylko twoim umysłem. Astralna postać Ducha nie jest zdolna skrzywdzić człowieka.

- Ale mam bliznę po tym...

- Tam nie ma niczego. To efekt wpływu, jaki na ciebie wywierałam.

Zamrugalem oczami. Wsadziłem rękę po koszulkę i próbowałem doszukać się na skórze wybrzuszenia. Nic nie znalazłem.

- Cholera. Dlaczego go na mnie wywierałaś?

Autumn opuściła głowę. Czowała się winna. Przełknąłem ślinę.

- Jesteś więc sylfidą, która uciekła do świata ludzi. Ale... dlaczego? Czy także jesteś w tej... astralnej postaci? Teraz? Dlatego jesteś taka... świetlista?

Autumn jeszcze bardziej się zgarbiła.

- Nie, jestem w pełni materialna. Jednak nie mam ciała takiego jak ludzie. Wyglądam jak wy, ale... jestem stworzona z Eteru.

- Eter?

- To piąty, najpotężniejszy Żywioł, Bernardzie. Połączenie wszystkich czterech.

Violet przyglądała się nam badawczo.

- Kontynuujcie.

Odwrociłem wzrok na Autumn.

- Ale jeśli Violet... zdołała poznać twoją przeszłość, a ty wyglądasz jak człowiek...

- Byłam człowiekiem - odpowiedziała głucho Autumn.

- To... my możemy być... tymi Duchami?

- Zostałam przemieniona przez Paraldę, mojego Opiekuna. Zamrugalem, nie rozumiejąc.

- Każdy Duch posiada opiekuna swojego Żywiołu. Moim jest Paralda.

- Przemienił cię? Ale dlaczego? Kiedy?

Autumn zamilkła. Nic więcej nie powie, pomyślałem.

- Właściwie... ile ty masz lat? - spytałem, słysząc bicie własnego serca.

Zapadło milczenie.

- Dużo. Nie... nie chcesz wiedzieć, Bernardzie - odpowiedziała cicho.

Wypatrywałem się w nią przez chwilę.

- Uwierz mi, chcę - wypowiedziałem te słowa dobitnie.

Autumn podniosła głowę i popatrzyła w bok. Tylko Violet siedziała z miną godną sfinksa, nic nie komentując i obserwując całą sytuację.

Dziewczyna, sylfida, w końcu się odezwała:

- Około czterystu.

Otworzyłem usta ze zdziwienia.

O.

Mój.

Boże.

- Nie, to niemożliwe - pokręciłem głową. Autumn wyglądała na moją rówieśnicę. Nie, to nie jest możliwe....

- To możliwe - w oczach Autumn dostrzegłem urazę.

- Czemu uciekałaś? Masz wszystko, o czym można zamarzyć. Jesteś nieśmiertelna, masz moc...

- Nie mam wolnej woli.

Zamilkłem. Autumn westchnęła.

- Jestem sylfidą. Panuję nad Powietrzem, jednak mam wyznaczone obowiązki, które muszę wypełniać. Złamanie ich jest surowo karane.

„Łamiesz wszystkie Prawa!”

Nic nie powiedziałem.

- Istniałam tylko po to, by służyć Naturze. Nikt nie liczył się z moim zdaniem - powiedziała cicho. - Nie mogłam tego dłużej wytrzymać.

Jej słowa wydawały mi się... fałszywe.

- Po prawie czterystu latach? To moim zdaniem i tak bardzo długo - starałem się to powiedzieć normalnie.

- Jestem... byłam jednym z najmłodszych Duchów, które istniały. Czas upływa nam zupełnie inaczej. Jesteśmy świadomi jego upływu, jednak... tylko trwamy. Nie zmieniamy się. Jesteśmy puści. Stali.

Zamknęła usta. Chociaż jej wyznanie wydawało się szczere, miałem wrażenie, że coś ukrywa. Czegoś mi nie mówi.

- Teraz jestem zdrajczynią - gorycz w jej słowach była łatwo wyczuwalna.

- Dlatego, że chciałaś decydować o sobie? To nie grzech -

zdziwiłem się.

Autumn pokręciła głową.

- W świecie Duchów to grzech. Mamy służyć większemu dobru.

Zamilkliśmy, patrząc na siebie. Wydawało mi się to nierealne. Jak ktoś taki jak ona mógł istnieć? Jak?

- Zagrożono ci, że ten Reasz....

- Boreasz.

- Zmieni cię w ten Eter. To takie złe?

- Po prostu przestanę istnieć - wzruszyła ramionami. Wydawałoby się, że od niechcienia. Jednak ja poczułem, jak coś uderza mnie w brzuch. Nie mogłem na to pozwolić. Nie, nie...

Musiałem ją przed tym ochronić.

Ochronić Kwiat Lili.

- Dobrze, dzieci - powiedziała nagle Violet, wyraźnie podenerwowana. - Lepiej się połóżcie, jutro jedziemy do Kinlochewe.

- Słucham? - nie zrozumiałem.

Babka przewróciła oczami.

- Jeśli teraz dowiedziałeś się czegoś o Autumn, nie pozostaje nam nic innego, jak wtajemniczyć cię w nasze plany - odpowiedziała szorstko. - Nie będziesz piątym kołem u wozu.

Plany? Jakie plany?

- Co wy... zamierzacie zrobić? - wydukałem.

Twarz Violet rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Czas odzyskać twojego dziadka, Bernardzie.

Następnego ranka staliśmy na małym przystanku autobusowym. Świeciło słońce i wiał lekki wiatr, chociaż nie miałem pewności, czy to nie sprawka Autumn lub innego Ducha.

„Jestem opiekunką tego miejsca”.

Na ulicy trwało sprzątanie po wczorajszej zabawie. Zrobiło mi się trochę smutno, gdy widziałem, jak mieszkańcy miasteczka zdejmują kolorowe girlandy i zamiatają ulice. Shildaig znów stanie się spokojną, zapomnianą, położoną na końcu świata szkocką wsią.

Nic bardziej mylnego.

Mieliśmy jechać do Kinlochewe, niewiele większej wsi położonej osiemnaście mil na północny-wschód, w której mieszkał stary przyjaciel Violet, Hamish Angus.

Właściwie, Profesor Hamish Sherman Angus.

Violet nie przekazała nam zbyt dużo informacji o nim, prócz tego, że był jednym z najbardziej zasłużonych w Szkocji folklorystów specjalizujących się w legendach celtyckich i w języku gaelickim szkockim. Jednak przypomniałem sobie, jak Davey Donnell mówił mi na festynie coś o jakimś profesorku, który nauczył ją tej... chiromancji (tak nazywa się czytanie z ręki). Zapewne chodziło o tę samą osobę.

Jeśli jechaliśmy tam we trójkę, coś musiało się święcić.

W końcu autobus przyjechał i zapłaciłem za siebie i Autumn (Violet, chociaż próbowała się bronić, dostała bilet za darmo^[1]). W autobusie siedziało już parę osób i szybko,

nim moja babka zdążyła usiąść, zająłem miejsce obok Autumn. Dziewczyna nadal miała lekko zaczerwienione oczy. Dopiero teraz zauważyłem, że do brązowej spódnicy i za dużej dzinsowej kurtki nałożyła moją koszulkę z Lokim. W sumie i tak nie należała już do mnie.

- Jak myślisz, dlaczego tam jedziemy? - spytałem ją szeptem.

Dziewczyna (nie mogłem nawet w myślach nazywać ją „sylfidą”) skrzywiła się.

- Pamiętasz, co powiedziała twoja babcia.

Odwróciłem się nieznacznie, spoglądając na Violet chowającą się za dzisiejszą gazetą. Byłem stuprocentowo przekonany, że nas podsłuchuje. Jeśliby tego nie robiła, nie trzymałaby czasopisma do góry nogami.

- Tak, by odbić dziadka Johna z rąk ondyn - mruknąłem. - Ale co ty dzięki temu zyskasz?

- Odnajdę Bramę.

Speszyłem się. Pierwszy raz słyszałem takie określenie w jej ustach, chociaż... nie, nie byłem pewny. Już kiedyś o niej wspominała. Wtedy, gdy uratowała mnie z rąk Ofelii.

- Bramę? - ściszyłem głos.

- Przecież jakoś musiałam się dostać do waszego wymiaru, prawda? - nie patrzyła na mnie, wwiercając wzrok w szybę. - Tak działają Bramy. Można wchodzić i wychodzić - powiedziała.

- A do czego jest ci potrzebna?

Autumn zacisnęła usta.

- Do czegoś.

Ukrywała coś, to było dla mnie jasne. Uciekła z tego jakiegoś królestwa. Wszyscy byli na nią wkurzeni, a najbardziej ten Boreasz. Łamała jakieś prawa, by się tu dostać. Byłem pewny, że nie tylko je.

Tu nie chodziło tylko o wolną wolę.

Co zmusiło sylfidę, by porzucić takie życie? Dlaczego nie mówiła wszystkiego? Czemu akurat ja ją znalazłem?

Czemu istniała w moich snach pod imieniem Lilidh - Kwiat Lilii? Czemu miałbym ją chronić? Co oznaczał ten mrok?

Autumn odwróciła głowę i patrzyła na mijane krajobrazy Wester Ross. Kamieniste wzgórza Gór Kaledońskich spowijała lekka mgła, a słońce powoli chowało się za chmurami. Zapowiadało się na deszcz, a Autumn wiedziała dlaczego.

Po półgodzinie wysiedliśmy na przystanku w Kinlochewe. Z szarego nieba mżyło. Natychmiast nałożyłem kaptur na głowę, by nie zmoknąć. Violet trzepnęła mnie w głowę i rozłożyła parasol.

Nie wiedziałem, czemu była w tak złym humorze. Widocznie zwykły brak płatności za bilet może uświadomić człowiekowi, jak naprawdę jest stary, chociaż teraz uznałem to za ironię losu. Autumn była starsza od nas o przynajmniej trzy stulecia.

- Czego szukamy? - spytałem.

- Dużego, białego domu na peryferiach, z okazałym ogrodem.

Skrzywiłem się.

- Dobrze wiem, gdzie to jest. Po prostu... idźcie za mną - powiedziała wyraźnie zirytowana Violet.

Ruszyła żwawym krokiem przed siebie. Autumn splotła ręce za plecami i podążyła za nią. Nie chowała się przed deszczem. Coś mi mówiło, że gdybym ją spytał, czy chce wejść pod parasol, uśmiechnęłyby się, odpowiadając przecząco.

- Hamish to dość... ekscentryczna osobistość, dzieci - powiedziała Violet. - Nie mogliśmy go wcześniej odwiedzić, ponieważ przebywał w Hebrydach Zewnętrznych. To nie tylko folklorysta i lingwistyk, ale także utalentowany fizyk. Amator, ale zna się na rzeczy.

Szliśmy za nią chodnikiem. Violet westchnęła.

- Proszę, niech tylko was nie zrażą jego niewybredne żarty. Czasami myślę, jak to się stało, że nie zapomniał głowy na którejś ze swoich wypraw.

Zatrzymała się przy drewnianej furtce. Już dawno minęliśmy zabudowy wsi i teraz, jeśli wytężyłbym wzrok, dostrzegłbym pośród drzew okazały biały dom z niebieskim dachem.

Chciałem pchnąć furtkę, ale Violet znów trzepnęła mnie w głowę.

- Jesteś w gorącej wodzie kąpany, Bernardzie. Miej trochę ogłady.

Spiorunowała mnie wzrokiem, a ja usłyszałem, jak Autumn cicho się śmieje. Natychmiast wrócił mi humor.

Świat byłby piękniejszy, gdyby jakaś sylfida uśmiechała się częściej.

Chociaż miałem jej wiele za złe, nie potrafiłem się na nią gniewać. Zastanawiałem się czemu. Po prostu nie potrafiłem.

Idiota.

- Witam. Czy zastałam profesora? - Violet wcisnęła domofon.

- Tak. Kto mówi? - odezwał się wysoki kobiecy głos z irlandzkim akcentem.

Na twarzy mojej babki pojawił się złośliwy uśmiech. Nie wróżył nic dobrego.

- Pani Violet Melinda Enbatch-Meadow, panna Autumn Hawthorne oraz pan Bernard Charles Oaken. Byliśmy umówieni na spotkanie z profesorem Hamishem Shermanem Angusem.

Autumn podniosła jedną brew, a mnie замуrowało. Skąd Violet знаła moje drugie imię? Nikomu go nie zdradzałem. Nigdzie się nim nie podpisywałem, chociaż doprowadzało to moich rodziców do białej gorączki, uważali takie zachowanie za niedopuszczalne.

Zapomniałem, chiromancja. Wiedziała o mnie wszystko, co mnie trochę żenowało.

- Pani Enbatch-Meadow? - spytała zmęczonym głosem kobieta. Zapewne nikt nie przedstawiał się swoim pełnym imieniem, szczególnie takim tonem. Violet onieśmieliłaby samą królową Elżbietę II.

Przez domofon usłyszałem jakieś trzaski przypominające nieudolne śpiewanie.

- Już panią wpuszczam, ale uprzedzam, profesor Angus jest dziś w wyjątkowo dobrym humorze.

Przepuściłem Autumn i moją babkę. Zamknąłem za sobą furtkę i usłyszałem ciche kliknięcie.

- Charles to twoje drugie imię? - spytała szeptem Autumn.

Kamienista, kręta alejka prowadziła między sosnami i klonami tak, że deszcz już na nas nie padał. Jeśli Violet słyszała naszą rozmowę, nie dawała po sobie tego poznać.

- Po dziadku od strony taty - odpowiedziałem. - A ty? Masz jakieś drugie imię?

Skrzywiła się.

- Nie - odwróciła wzrok.

Kłamała.

Postanowiłem jej nie naciskać. Nie znałem się na dziewczynach, ale sądziłem, że fakt, iż przyznała się do bycia ponad trzystuletnią sylfidą to naprawdę duże osiągnięcie. Może reszta przyjdzie sama. Żadnych osądów.

Zapatrzyłem się na nią i wpadłem na Violet. Ta trzasnęła mnie (już po raz kolejny) parasolem po głowie.

- Patrz, gdzie idziesz! - syknęła.

Uśmiechnąłem się do babki.

- Przepraszam.

Violet zapukała do drzwi, które prawie natychmiast się otworzyły. Stała w nich niziutka, szczupła starsza pani o śnieżnobiałych włosach i w białym fartuchu. Jej niebieskie oczy ześlizgnęły się na Autumn i mnie. Widocznie prócz Violet nikt nie odwiedzał profesora.

- Witaj, Rían - powiedziała wyniośle Violet.

- Witaj, Violet. Hamish jest w ogrodzie - wyszeptała. - Ale...

W tym samym momencie usłyszeliśmy głośny trzask.

- Idźcie do niego szybko - powiedziała Rían. - I życzę powodzenia.

Wpuściła nas do domu i błyskawicznie zamknęła drzwi. Nie minęła kolejna sekunda, gdy znikła.

- Co to było? - spytałem.

Violet uśmiechnęła się pod nosem.

- Hamish, Bernardzie.

Ruszyła szybko przed siebie, tak, że nie mieliśmy nawet czasu, by przyjrzeć się wnętrzu domu. Echem dochodziły do nas dziwaczne odgłosy. Im dalej zagłębialiśmy się w labirynt pokoi, tym głośniejsze były echa i tym bardziej nerwowa robiła się Autumn. Kiedy byliśmy już w salonie z wielkim oknem wychodzącym na ogród, zrozumiałem, skąd pochodziły te dziwne dźwięki.

L'amour est enfant de bohème, Il n'a jamais, jamais connu de lois...

Doświadczyłem naprawdę wielu dziwnych rzeczy, na przykład widziałem, co uczniowie potrafią upchnąć pod klapę sedesów szkolnych albo dowiedziałem się prawdy o Duchach Żywiołów. Jednak nie przygotowało mnie to na taki widok.

Tuż przy rabatce z kwiatami klęczał w zielonych, podwiniętych do kolan ogrodniczkach starszy już mężczyzna z długą siwą brodą, lekkim brzuszkiem, kaszkietem na głowie i w grubych na co najmniej pół centymetra prostokątnych okularach. Wyglądał jak Gandalf w wersji hipsterskiej.

W dodatku śpiewający jakąś arię operową.

Jeśli to coś można by nazwać śpiewem. Nawet wycie psów w środku nocy wydawało mi się bardziej melodyjne.

Podniósł głowę, usłyszawszy nasze przybycie. Na jego pełnej, ogorzałej twarzy pojawił się uśmiech.

- Violet! - krzyknął, wstając.

Trzymał w rękach sekator. Z gramofonu stojącego na szerokim tarasie nadal płynęły dźwięki jakiejś arii. Podeszedł do panelu.

- Nic się nie zmieniłaś - powiedział mężczyzna, wyłączając muzykę.

Jego oczy przypatrywały się nam zza okularów. Były bystre, pełne życia. Profesor pokazał nam rząd wiklinowych krzeseł stojących przy zawalonym papierami stole. Cały czas nie odrywał spojrzenia od Autumn. Poczujęm się trochę urażony jego poufałością.

- Więc to prawda - powiedział, siadając na krześle i zakładając jedną nogę na drugą. Zauważyłem, że do czarnych japonek miał nałożone dwie różne skarpetki: czarną w kolorowe paski oraz błękitną w chmurki. - Nie mogę uwierzyć własnym oczom, Violet. Mówiłaś prawdę.

- Nie widzę sensu w okłamywaniu cię, Hamishu.

Mężczyzna zdjął okulary, po czym ponownie je założył.

- Nie, mój Wzrok jednak nie szwankuje. Widzę tutaj Ducha Powietrza. Jesteś sylfidą, prawda?

Autumn zacisnęła ręce leżące na kolanach.

- Tak.

- Zwykle widzę twoich pobratymców w astralnych postaciach. Niezwykle widzieć prawdziwą istotę twojego gatunku. Ale jestem niewychowany! Jestem Hamish Angus. Profesor Hamish Sherman Angus.

- Violet już nam o panu opowiadała - wtrąciłem się.

Staruszek po raz pierwszy spojrział na mnie. Przez okulary

jego oczy sprawiały wrażenie kilkakrotnie większych, nadając mu wygląd wariata.

- To twój wnuk, Violet? Ma twoje oczy - powiedział.

- Tak. Hamishu, poznaj Bernarda Charlesa Oakena - przewróciłem oczami, słysząc swoje pełne imię.

- Dobrze... Jak sądzę, wie to i owo o Duchach?

- Tak. Posiada Wzrok.

Spojrzeliśmy na siebie z Autumn. Pewnie nie tylko mnie irytowało to, że mówiono o nas, jakby nas nie było.

- A sylfida?

- Nazywa się Autumn. Autumn Hawthorne - syknąłem. - Au!

Poczułem, jak coś wbija mi się w stopę, jednak Violet wywróciła tylko oczami. Za to Autumn przybrała niewinny wyraz twarzy i odgarnęła sobie włosy za uszy.

- Zachowuj się - powiedziała Violet, ledwo poruszając ustami.

Angus przypatrywał się naszej dwójce, nic nie mówiąc.

- A to ciekawe... jesteś więc sylfidą... Autumn? - zaczął grzecznie. - W Królestwie Natury odbyło się już Święto Róży?

Piękna, fioletowa róża. Połamana i unosząca się na wodach Loch Shildaig. O to chodziło?

- Tak, proszę pana - odpowiedziała sylfida.

- Jak udało ci się przedostać przez Bramę? Prawa by na to nie pozwoliły...

Autumn zagryzła wargę i spojrzała na Violet. Ta niedostrzegalnie kiwnęła głową.

- Nie złożyłam Przysięgi. W czasie gdy odbywała się

ceremonia, wymknęłam się i przedostałam przez Bramę – powiedziała.

Angus wyprostowała się na krześle, a jego twarz wyrażała zaskoczenie.

- To zadziwiające. Przepraszam, ale myślałem, że to zagubiony Duch – wstał. - A tu mamy uciekinierkę. Musimy wejść do środka. Gnomy szczególnie upodobały sobie mój ogród, a wolałbym, by nikt nas nie podsłuchiwał.

Pchnął nas do środka domu. Zamknął szklane drzwi i spuścił rolety.

- Rían! - krzyknął. - Potrzebuję swoich dokumentów!

W drzwiach pojawiła się gospoia. Wzięła się pod boki. Wyglądała na styraną życiem.

- Których, proszę pana?

- Wszystkich! Moich obliczeń, legend, tablic!

Profesor rozejrzał się po całym salonie, podskakując z radości. Po chwili powysypywał pod oknami biały proszek, na co gospoia wzniosła oczy do nieba. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że to sól. Widząc to, Autumn skrzywiła się.

- Przyniosę je za chwilę, profesorze.

Profesor nagle padł na podłogę i odsunął róg dywanu.

- Rían?

- Tak, proszę pana?

- A mogłabyś zrobić nam trochę herbaty? - spytał z uchem przytkniętym do podłogi, pukając w panele.

- Oczywiście.

Gospoia odeszła, a staruszek natychmiast podniósł głowę.

- Są pod domem, ale wątpię, czy nas podsłuchują - jego oczy zrobiły się jeszcze większe. - Wyczuwam, że są tobą szczególnie zainteresowane. Jesteś pewnie teraz dość kontrowersyjną osobistością, sylfido, jako dezertier. Nie martw się, dom jest zabezpieczony. Żaden niezaproszony przeze mnie Duch tu nie wejdzie.

Autumn zbladła. Angus usiadł w fotelu. Jego oczy wędrowały po naszej całej trójce. Złożył ręce w piramidę jak Sherlock Holmes.

Gandalf Hipster Konsultujący Detektyw.

Super.

- Nie złożyłaś Przysięg. Sprytnie. Jak udało ci się uaktywnić Bramę? - spytał.

- W każdą pełnię Księżyca Brama jest otwarta - odpowiedziała cicho Autumn. - Nikt nawet nie myślał, że ktoś chce się wymknąć. Nie było nikogo.

Przysłuchiwałem się, nie mając pojęcia, o czym mówią. Musiałem się wiele nauczyć.

Bardzo wiele.

- Proszę - Rían weszła do salonu, balansując ze stertą pudeł.

Bezwiednie wstałem i pomogłem jej bezpiecznie położyć dokumenty na stół.

- Dziękuję, młodzieńcze - posłała mi wdzięczny uśmiech. - Szkoda, że brakuje tu takich dżentelmenów - dodała, patrząc na Hamisha. - Za chwilę przyniosę herbatę.

Gospoia odeszła, a staruszek pokazał jej język.

- Wracając do tematu - rozłożył jakiś plik. - Nie złożyłaś

Przysiąg. Jak ci się to udało?

Autumn zerknęła na mnie.

- Bern... Bernard nie ma takiej wiedzy o świecie Duchów, jak my. Może... powinniśmy wyrażać się jaśniej?

Mężczyzna popatrzył na mnie.

- Dobrze. Mamy chyba wystarczająco dużo czasu. Chłopcze mój, słyszałeś kiedykolwiek o Danugai?

Danu... czym?

- Nie.

Hamish westchnął.

- Mówiłaś, że coś tam wie, Violet.

- Bo coś wie. Nie każdy poświęcił życie badaniu wymarłych dialektów, Angusie - rzuciła Violet.

Hamish otworzył usta, ale od razu je zamknął.

- Więc musimy zacząć od początku.

Autumn rozprostowała parokrotnie palce i ponownie zacisnęła je w pięść. Ich końcówki natychmiast oplotło płynne zimno, mieniające się tęczą kolorów.

Substancja po chwili wspięła się do góry i zawisała nad dłonią sylfidy. Autumn przez chwilę podziwiała jej piękno, myśląc o swoim przekleństwie.

Darze.

„Jesteś przeklęta” powiedziała jej matka, gdy miała trzynaście lat. Autumn nie wierzyła jej. Dopóki nie zdołała nad tym zapanować.

„Jesteś służebnicą, córką diabła!” – słyszała. Choć od śmierci osoby, która to wypowiedziała, minęło trzysta sześćdziesiąt osiem lat, nic nie boli bardziej niż napiętnowanie przez własną rodzinę.

Moc, którą posiadała sylfida, była silniejsza od niej. Nieokiełznana i nieznana. Autumn wiedziała, że z każdym dniem chciała przejąć nad nią władzę. Ona sama była tylko... przechowalnią. I to na dodatek tymczasową. Dopiero po

staniu się sylfidą odzyskała ukojenie.

Niestety, klątwa odezwała się w niej, uśpiona, odurzona. Autumn nie miała pojęcia, czy jej ucieczka z Królestwa Powietrza to wynik świadomego myślenia czy działania pod wpływem tej niezrozumiałej siły.

Niezwiązana Prawami i Przysięgą mogła zrobić krzywdę ludziom, a tego zawsze chciała uniknąć. Nawet teraz, kiedy łamała najważniejsze z Praw, krzywdzenie człowieka wydawało jej się największym świętokradztwem.

Autumn nie chciała skrzywdzić Bernarda.

Jak ktoś taki jak on nie bał się, nie brzydził się jej? Była przecież jedną z najbardziej egoistycznych, zadufanych w sobie istot, jakie chodziły po tej planecie na przestrzeni tysięcy lat. Nie potrafiła kochać, współczuć, nic.

Przecież nic nie czuła.

Sylfida była pewna, że kiedy Bernard dowie się, kim, czym ona naprawdę jest, spojrzy na nią swoimi jasnymi oczyma z niesmakiem i potrze bliznę, a następnie odejdzie, zostawi ją. Jak zrobili to członkowie jej rodziny.

Jak robił każdy, kto naprawdę ją znał.

On zaś zamiast tego powiedział:

„No i co z tego?”

- Jestem potworem - wyszeptała Autumn, a substancja zasyczała wściekle, jakby w reakcji na jej słowa.

Kimże była, że ci ludzie zasłużyli na spotkanie czegoś takiego? Sylfida wiedziała, że ma mało czasu. To kiedyś wybuchnie i nie będzie miała nad tym władzy. A nie wiedziała nawet, dlaczego taka jest.

- Potworem - powtórzyła i zgięła palce. - Zasługuję na to, by obrócić się w Eter.

Uśmiechnęła się smutno, a substancja znikła, wchłaniając się w jej ciało.

[1] W Szkocji emeryci po sześćdziesiątym roku życia mają darmowy dostęp do środków komunikacji.

7 Sierpnia

Opowieści nie do końca morskie

- W każdej historii o powstaniu Wszechświata mamy twórcę. W chrześcijaństwie jest nim Bóg, w greckiej mitologii Gaja, w celtyckiej Danu...

- Danugaia - wyszeptała Autumn, a Hamish westchnął.

- Pozwólcie mi na coś wykorzystać te „zmarnowane” lata. Chcę wam pomóc - popatrzył wyczekująco na Autumn, ale potem się zreflektował. - Jednak masz rację. Danugaia.

Zamilkł, a po chwili kontynuował:

- Kiedyś, parę tysięcy lat temu, nim nastąpiła epoka rządów mężczyzn, czczono kobiety. Kult ten zanikł, nad czym osobiście dziś ubolewam. Jednym z zapomnianych dziś bóstw jest właśnie nasza twórczyni, Bogini-Matka, Danugaia. Przez lata zgłębiałem stare podania z różnych części świata, które doprowadziły mnie do wniosku, że większość bogiń to jedna i ta sama istota. Im więcej zdobywałem na to dowodów, tym bardziej byłem pewny istnienia Duchów Żywiołów.

Trudno jest opisać złożoność tego świata, który istnieje równoległe, niezauważalny dla ludzi. Duchy egzystują tuż

obok nas, opiekując się nami. Rządzą nami siły potężniejsze, niż moglibyśmy przypuszczać. Szczycimy się osiągnięciami technologicznymi, ale zapomnieliśmy o tym, kim naprawdę jesteśmy.

Słuchałem go jak zaczarowany.

- Legenda, na którą natknąłem się w północnej Szkocji mówiła o tym, że Danugaia stworzyła ludzi, lepiąc ich z gliny i wody.

- Jak Prometeusz - wtrąciłem się. Pamiętałem tę postać z lekcji historii.

- Jak Prometeusz - zgodził się Hamish. - Jednak zamiast wykraść ogień bogom, by nadać im duszę, Danugaia wykradła i wykorzystwała materię, której istnienia nie można dowieść do dzisiaj. Wspominał o niej samej Arystoteles.

- Eter? - spytałem, a twarz Hamisha rozjaśnił uśmiech.

- No, chyba nie jest źle. Będą z niego ludzie, Violet.

Babka rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Nawet o tym nie myśl, Angusie.

- Ale... - westchnął. - Pewnie nie interesujesz się lingwistyką, co?

Zaprzeczyłem.

- No cóż, nie można wymagać wszystkiego od młodzieży.

Profesor przysunął nam pod oczy plik dokumentów. Oboje z Autumn pochyliliśmy się nad rysunkiem wykonanym kredkami. Przedstawiał on smukłą kobietę w długiej sukni z motywem gwiazd, trzymającą w rękach mieniącą się tysiadcem barw kulę. Po chwili uświadomiłem sobie, że nie ma ona twarzy.

- Według Arystotelesa Eter był połączeniem wszystkich czterech Żywiołów - usłyszałem głos Hamisha. - Jednak naprawdę to... to materia powstała z Ciemności i Światła, idealnie je równoważąca - powiedział, a ja poczułem złowrogi dreszcz. - Legenda mówi, że Danugaia za swój eksperyment zapłaciła surową cenę. Dając ludziom duszę, dała im wolną wolę.

Wolna wola.

- To chyba nie jest złe? - wyszeptałem, widząc jak Autumn odsunęła się od wizerunku bogini.

- Dla nas to dobrze, ale wiesz... bogom nigdy się nie podobało to, że ludzie robili, co chcieli. Jacy z nich królowie, skoro nikt ich nie słucha? Dlatego Danugaia była portretowana jako bóstwo bez twarzy: ludzie nigdy nie widzieli, co naprawdę myśli. Czym się kierowała, tworząc ich? Miłością czy tyranią?

- Nie możesz tak mówić - odezwała się Autumn. - Matka nie jest tak zła, jak twierdzisz! Znałam ją. To dobra, szlachetna władczyni.

- Mówisz tak, ponieważ nadal masz takie postrzeganie wtłoczone w swoje wychowanie, sylfido.

Autumn zmarszczyła brwi.

- Wiem, co mówię, proszę pana. Będąc w Królestwie Natury, widziałam więcej niż pan w całym swoim życiu. Zepsucie dotyka nie tylko ludzi, ale także Duchy. Władców Żywiołów zaślepiła pycha. Jednak Danugaia ma czyste serce. To sprawiedliwa królowa. Gdyby nie ona, świat już dawno by upadł.

- Więc czemu stworzyła Was, Duchy Żywiołów? - spytał.
Autumn zamrugała.

- Ponieważ mamy opiekować się ludźmi. To nasz obowiązek.

- I...?

- Opiekujemy się nimi! - krzyknęła Autumn, zaciskając rękę. Przez jej skórę przebił się lekki złoto-czarny blask, a oczy zabłysły. - Przepraszam.

- Nie musisz - powiedział głucho Hamish. - To fascynujące. Zrobiłabyś to jeszcze raz?

Rzuciłem mu gniewne spojrzenie, a Violet prychnęła.

- Może doszedłbyś wreszcie do sedna, Angusie?

- Masz rację. Przepraszam cię. Więc... Danugaia stworzyła ludzi, dając im duszę z Eteru, dzięki czemu zyskali wolną wolę. Jednak okazali się niegodni tego daru. Wszczynali wojny, niszczyli przyrodę i tym podobne, bla bla. Zbyt wiele jest mitów na ten temat, by je tutaj wam przytaczać. Koniec końców Matka zdecydowała zakończyć ich ekscesy. Ponownie podjęła się stworzenia nowych istot, które opiekowałyby się nieświadomymi tego ludźmi, jednakże tym razem nie ulepiła ich z gliny. Stworzyła je z czystego Eteru.

Tak powstały Duchy Żywiołów.

Danugaia nie poprzestała na tym. Gdy stanęły przed nią jej twory, w każdym z nich obudziła moc panowania nad określonym Żywiołem. Pierwszymi Duchami byli synowie Danugai, władcy, tetrarchowie każdego z Czterech Królestw Natury: Geb, Cesarz Ziemi, Arar, Książę Wód, Adeh, Pan Ognia oraz... Boreasz, Król Powietrza.

Istoty były idealne. Matka jednak, by uniknąć podobnej sytuacji jak w przypadku ludzi, postanowiła stworzyć jeszcze Prawa oraz Przysięgę.

Podsunał nam kolejny obrazek. Danugaia stała w samym środku kręgu, a otaczały ją pierścienie ziemi, powietrza, wody i ognia. Czterej władcy, jej synowie, jaśnieli złotym blaskiem.

Usłyszałem, jak Autumn gwałtownie nabiera powietrza.

- Popraw mnie, sylfido, jeśli się mylę, ale co roku, w pierwszą lipcową pełnię Księżyca odnawiane są Przysięgi. Nazwano to wydarzenie Świętem Róży. Dlaczego je odnawiacie?

Gdy tylko usłyszałem „Róża”, w myślach zobaczyłem połamaną, piękną fioletową różę unoszącą się na wodach Loch Shildaig. Coś zakręciło mnie w żołądku.

Autumn także zbladła.

- Przysięga... nie łamiemy Praw.

Hamish uśmiechnął się pod nosem.

- Prawda jest taka, że odebrano wam wolną wolę. Dzięki temu Danugaia znalazła sobie oddanych poddanych. Czymże różni się to od dyktatury?

Autumn opuściła głowę, a włosy opadły jej na twarz. Usłyszałem westchnięcie Violet.

Jakimś sposobem czułem smutek sylfidy. Ścisnąłem jej rękę, mając nadzieję, że dodam jej otuchy.

- Co skłoniło Ducha Powietrza do ucieczki? - spytał nagle Hamish.

Wpatrywał się w Autumn z nieukrywaną fascynacją. Przez chwilę miałem ochotę uderzyć go w twarz.

- Pan chyba tego nie rozumie. Autumn była człowiekiem. Kiedyś. Dawno temu - powiedziałem.

Mężczyzna otworzył usta ze zdziwienia.

- Rían! Nie podsłuchuj! - krzyknął, wpatrując się oszołomiony w sylfidę.

Do pokoju weszła czerwona na twarzy gospoia i postawiła na stole tacę z herbatą.

- Wiem, że i tak słyszałaś większość naszej konwersacji. Usiądź.

Rían usiadła obok Violet, która nie odrywała wzroku od naszej dwójki. Jej jasnoniebieskie oczy wpatrywały się w nasze splecione ręce.

Przez chwilę czułem, że powinienem puścić dłoń Autumn, lecz inny głos nakazywał mi ją trzymać. Głupio było mi się do tego przyznać, ale bałem się.

Bałem się ciemności w oczach Autumn.

- Byłaś człowiekiem? - spytał cicho Hamish.

- Tak.

- Przemieniono cię?

Autumn kiwnęła głową.

Profesor Angus pokręcił głową.

- To znacznie udziwnia całą sprawę. Spotkałem się z takimi przypadkami w podaniach, ale...

- Dość, Angusie. Tracimy czas - odezwała się Violet. - Mamy do ciebie dwie sprawy.

Hamish wpatrywał się w Autumn.

- Czego chcecie?

- Chcemy wiedzieć, jak odnaleźć Bramę przed następną

pełnią Księżycyca – powiedziała Violet.

- To trudne, aczkolwiek wykonalne. A druga?

- Chcę odzyskać mojego męża.

Autumn zacisnęła usta.

- Mówiłam, ondyńy go nie porwały, pani Meadow.

- Zawarłyśmy układ, młoda damo. Przy okazji, *pani Enbatch-Meadow*.

Przeniosłem wzrok z babki na sylfidę. Uświadomiłem sobie, że Rían musi mieć taką samą minę jak ja: nie miała pojęcia, co się właściwie tutaj dzieje.

- Do czego jestem więc wam potrzebny?

- Wiem... że opracowujesz pewną metodę, algorytm pozwalający przewidzieć zderzenie mas Eteru w pełnię. Opowiadałeś mi o niej – oznajmiła Violet.

Hamish kiwnął głową.

- Tak, pracuję nad tym. Projekt jest w fazie zaawansowanej, lecz brak mi wielu informacji. Cholerny Zakon Edynburski!

Violet wzięła z tacy jeden z kubków z herbatą.

- Autumn je posiada.

Sylfida wyprostowała się i utkwiała wzrok w Angusie.

- Chętnie się z panem nimi podzielę.

Hamish zmarszczył brwi. Zdawał się coś rozważać.

- Dobrze, załóżmy się, że przewidzę, gdzie zderzą się masy Eteru – powiedział. – Co to ma do Bramy? To potężny obiekt magiczny. W ułamku sekundy wytwarza ilość energii nieporównywalną do wszystkich elektrowni atomowych na świecie. Po co ci Brama, jeśli uciekłaś z Królestw? Nie

zamierzasz tam chyba wracać, co?

- Mam swoje powody, profesorze - odpowiedziała sylfida.
- Tak samo jak nie pytam, czemu fałszował pan, właściwie sprofanował *Habanerę* z *Carmen*.

Angus skrzywił się. Tak mi się zdawało, że skądś znam tę arię.

- Masz dar przekonywania, Autumn. Zgadzam się. Przyjadę do was w sobotę - zwrócił się do Violet.

- Dlaczego dopiero w sobotę? - nastroszyła się.

- Muszę się jeszcze rozpakować po podróży - tłumaczył się mężczyzna, na co moja babcia przewróciła oczami.

- Przynajmniej nie kłamiesz. Zbierajmy się, dzieci, niedługo przyjedzie nasz autobus.

Autumn wstała, a moja ręka boleśnie odczuła brak jej dotyku. Obie z Violet mierzyły się przez chwilę spojrzeniami, jakby rozmawiając telepatycznie.

Może tak robiły. Co ja tak naprawdę wiedziałem o świecie?

Nic. I na razie wychodziłem na największego frajera.

- Uważajcie na gnomy! - krzyknął za nami Hamish i tuż przed tym, jak wychodziliśmy, złapał Autumn za ramię. Natychmiast zobaczyłem, jak dziewczyna zamiera.

Nie podobało mi się to.

- Jestem zaszczycony, mogąc pracować z sylfidą - powiedział Hamish.

- A ja nie - odpowiedziała chłodno Autumn. - Ale proszę się nie przejmować. Tu chodzi tylko... o przysługi.

Jej wzrok padł na Violet, która położyła rękę na moim

ramieniu.

- Masz rację. Tylko o przysługi - usłyszałem wyniosły głos babki i poczułem, jak jej palce zaciskają się na moim barku. - Nic innego nie ma znaczenia, młoda damo.

Spojrzenie dziewczyny stwardniało, kiedy jej oczy spoczęły na mnie. Przez chwilę poczułem, jak coś wbija mi nóż w serce. To uczucie było jakby zamglone, przytłumione, jednak mocne. Nie należało do mnie.

Wiedziałem, co czuje Autumn?

- Tak - odpowiedziała cicho sylfida. - Tylko to się liczy.

Przez całą drogę powrotną próbowałem poukładać w głowie informacje o Autumn, Duchach Żywiołów, Danugai i tych Bramach. Przed moimi oczami przewijały się co rusz krajobrazy Gór Kaledońskich, kolejne małe miasteczka, a w głowie brzmiały słowa Autumn: „Mam swoje powody.”

Popatrzyłem na odbicie Autumn, ledwo dostrzegalne w szybie autobusu. Sylfida była milcząca, pełna powagi, jednak tak samo jak wtedy, gdy ją odnalazłem na brzegu morza, jej oczy zdradzały wszystko: strach i zagubienie.

Oraz niespotykaną siłę.

Zacząłem zachodzić w głowę, jak ktoś tak delikatny może być jednocześnie niezłomny niczym stal. Odpowiedź była prosta: taki jest wiatr. W jednej chwili łagodnie owiewa twój twarz, w drugiej może wyrwać drzewa z korzeniami.

Taka sama była Autumn. Sama w sobie była żywiołem.

Niekontrolowanym. Sama decydowała o sobie.

Pomyślałem, że kimkolwiek był ten Paralda i jak ją przemienił, dobrze, że stała się akurat Duchem Powietrza. Żaden z pozostałych żywiołów nie pasowałby do niej, chociaż... nie mnie było o tym decydować.

Zaczęło się ściemniać i zanosilo się na kolejną burzę. Autobus w końcu zatrzymał się na przystanku i pomogłem wysiąść Violet, a następnie Autumn.

- Do soboty pozostały trzy dni - powiedziała sylfida, gdy szliśmy w kierunku domu.

Zauważyłem, że wody Loch Shildaig były wzburzone. Natychmiast poczułem niepokój.

Trudno mi to opisać. Popatrzyłem na Violet i Autumn, a potem wyrwałem do przodu. Kierował mną jakiś impuls, ten sam, który kazał mi zabrać z brzegu Autumn, ochronić ją.

Coś się wydarzyło.

- Bernardzie! - usłyszałem za sobą podniesiony i zaniepokojony głos Autumn, jednak z bólem musiałem ją zignorować.

Zbiegłem w dół zbocza, mało się nie wywracając, do kamienistego brzegu plaży na granicę podwórka Violet, gdzie wzburzone fale obmywały coś, co sprawiło, że zamarłem.

Na brzegu Loch Shildaig leżał nieprzytomny Will Atkins.

Matko...

Podbiegłem do niego i znów poczułem, jak przez moje ciało przechodzi dreszcz.

Na piersi rybaka leżała fioletowa róża.

- Bernardzie, Bernardzie... - Autumn podbiegła i, widząc

mnie klęczącego nad ciałem Atkinsa, zaniemówiła. - Nie... to nie możliwe - zdołała wydukać. - Skąd...?

Nie spojrzałem na nią, ale natychmiast sprawdziłem puls mężczyzny. Był ledwo wyczuwalny. Will był cały biały, ale jego usta nie przybrały siniego koloru. To dobrze.

- Masz - podałem sylfidzie różę. - To chyba należy do ciebie.

Autumn dotknęła róży ostrożnie, jak potłuczonego szkła. Oderwałem od niej wzrok i znów pochyliłem się nad Williamem.

No cóż, w końcu w szkole mieliśmy szkolenie z pierwszej pomocy. Poświęcę się.

Zacząłem uciskać klatkę piersiową tak, jak kazano mi to robić na kursie. Po trzydziestu razach pochyliłem się i zrobiłem sztuczne oddychanie.

Fuj. Podziwiam tych ratowników. Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że czułem od Atkinsa smród alkoholu. Znów wróciłem do uciskania klatki piersiowej.

- Wezwij karetkę - powiedziałem do Autumn, która stała jak sparaliżowana. Ktoś dotknął mojego ramienia.

- Już to zrobiłam, Bernardzie - usłyszałem głos babki. Do dużej, czerwonej torby chowała telefon komórkowy.

Przy dwudziestym trzecim ucisku rybak się zakrztusił. Nagle otworzył oczy i wypluł wodę. Uczepił się mnie i wymamrotał:

- Syreny...

Kątem oka zobaczyłem, jak Violet posyła chmurne spojrzenie Autumn. Ta uklękła obok mnie.

- Teraz ja, Bernardzie.

Podwinęła rękawy kurtki i przycisnęła dłonie do skroni rybaka, który ponownie omdlał. Jej palce wydawały się wnikać w jego ciało. Czy właśnie tak wyglądało wymazywanie pamięci?

Pod skórą Autumn zaczęło jaśnieć złotawe światło, a włosy unosiły się wokół twarzy. Cały zabieg nie trwał nawet dwudziestu sekund, lecz, gdy sylfida skończyła, zobaczyłem na jej twarzy wyczerpanie. Blask znikł, a dłonie Autumn opadły bez życia.

- Matko... - wymamrotała, zakrywając sobie usta dłonią.

- Wszystko będzie dobrze - próbowałem ją pocieszyć.

Opanował mnie smutek. Miałem wrażenie, że dopuściłem się czegoś okropnego, niegodziwego. W tym samym czasie Violet krążyła wokół nas z rosnącym podenerwowaniem.

Pięć minut później przyjechało pogotowie. Zabrano Atkinsa na noszach. Violet dopilnowała sanitariuszy, opisała sytuację i stan zdrowia rybaka.

Pominęła tylko kwiat.

Karetka odjechała błyskawicznie i zobaczyłem, jak Violet, wcześniej doskonale ukrywająca swoje emocje, atakuje Autumn.

- Co mi na to powiesz? - spytała szorstko, pokazując na kwiat, który sylfida trzymała w dłoni.

- To róża - odpowiedziała Autumn.

- Taka sama jak wtedy - Violet nie dawała za wygraną.

- Co jak wtedy? - zmarszczyłem brwi, nie rozumiejąc.

Nasze twarze owionął wiatr. Nie wróżyło to nic dobrego.

- Chcę powiedzieć, że posłaniec Boreasza albo się myli, albo kłamie - Violet niemalże syknęła z mściwą satysfakcją. - Ktoś prócz ciebie łamie Prawa, młoda damo. I obie dobrze wiemy kto. Pytanie tylko czemu i dlaczego nikt jej powstrzymuje.

Zmrużyłem oczy, próbując sobie przypomnieć Jej imię. Pojawiło się błyskawicznie w mojej głowie, wypalone żelazem, świecące niczym neon.

Wydrapane paznokciem na skórze.

- Ofelia - powiedziałem i usłyszałem daleki chichot w falach Loch Shildaig.

9 Sierpnia Nieudana wyprawa

Wypadek Williama Atkina wywołał...

Właściwie, co?

Burzę, skandal, oburzenie, strach? Nie mogłem dokładnie tego opisać. Z huczących we wsi plotek, którymi uraczyła mnie Amanda Torre, gdy następnego dnia poszedłem po zakupy, dowiedziałem się, że Atkins wypłynął rankiem na ryby. Przypuszczano, że pewnie upił się w trakcie połowu, co spowodowało jego kąpiel w zatoce. Nie odnaleziono łodzi i głośno spekulowano o tym, co mogło się z nią stać.

„Nie odnaleziono łodzi”. Tak samo jak w przypadku mego dziadka.

Jednak William przeżył, co nie dawało mi spokoju.

Mieszkańcy Shildaig nie wiedzieli, co naprawdę wydarzyło się na wodach zatoki Loch Shildaig. Atkins nie pamiętał niczego: ani tego, że go ocuciłem, ani tego, że widział ondyny.

Autumn doskonale sobie poradziła, chociaż coś mi mówiło, że nienawidziła wymazywać pamięci ludziom. Była przybita,

chodziła ze spuszczoną głową. Martwiłem się o nią, jednak nie mogłem z nią porozmawiać. Chmurne spojrzenia, którymi raczyła nas Violet sprawiały, że sylfida natychmiast uciekała i zamykała się w dawnym pokoju mojej mamy.

Czemu Ofelia zostawiała Autumn akurat fioletowe róże? Czemu działała wbrew Prawom i porwała rybaka, mnie, jednak nas nie zabijając? Jaki miała w tym interes? Im bardziej próbowałem zrozumieć motywy ondyny, tym bardziej byłem przekonany o tym, że Duchy mogły porwać dziadka Johna. Mimo wszelkich obowiązujących ich zasad wydawały się do tego zdolne.

Musiałem także poważnie przemyśleć swoje uczucia do Autumn. Mimo to, że znałem ją od blisko trzech tygodni, byłem pewny, że żadna dziewczyna mnie już nie zainteresuje. Nie byłem kochliwy, serio. Jednak moje uczucia do Stacy Watson wydawały się dziecinne (i były dziecinne) w porównaniu z tymi, które żywiłem do Autumn.

W trackie dwóch dni od wyjazdu do Kinlochewe i rozmowy z profesorem Hamishem Angusem między nami wiele się zmieniło. Przynajmniej z mojej strony. Budząc się po raz setny w ciągu nocy z twarzą Autumn przed oczyma, musiałem wreszcie przyjąć coś do wiadomości.

Chłopakom trudno wyznawać uczucia. To prawda. Nie jesteśmy wylewni. I tak sądziłem, że jestem wyjątkiem, zbyt uczuciowym, żalonym wyjątkiem, jednak każdy by taki był, gdyby wychował się z rodzicami geologami, miał systematyczny kontakt z muszlą klozetową oraz czytał kryminały.

Nie mogłem dłużej lekceważyć snów, dziwnych sensacji w żołądku i chęci spędzania czasu TYLKO z Autumn. Musiałem wreszcie stanąć twarzą w twarz z tym demonem.

Zakochałem się w sylfidzie.

Uświadomienie sobie tego dużo mnie kosztowało. Nie wiedziałem, czy ona coś do mnie czuje. Co ja mogłem wiedzieć o dziewczynach? *Nic*. Panna Marple^[1] nie była moją rówieśnicą, więc lektura o jej śledztwach nie dawała mi żadnego doświadczenia. W dodatku ta dziewczyna nie była w zupełności dziewczyną, tylko prawie czterystuletnią sylfidą, co znacznie utrudniało sprawę.

Mój pech może i zaprowadził mnie do Shildaig, jednak, wbrew swym początkowym obawom, nie umarłem tam z nudy. Wakacje te były najciekawsze spośród tych, jakie kiedykolwiek przeżyłem. Nie równały się nawet z tymi, na których byłem z rodzicami we Włoszech po trzęsieniach ziemi.

Wszystko za sprawą tej dziew... sylfidy.

Wątpiłem, czy były jakieś podręczniki typu: *Jak wyznaczyć miłość sylfidzie* lub *Moja dziewczyna jest Duchem Powietrza*, które mogłyby mi pomóc.

Tak czy inaczej, naprawdę nie wiedziałem, co myśleć.

- Więc jutro przyjeżdża Angus? - spytałem Autumn przy śniadaniu. Byłem tak podenerwowany przebywaniem z nią, że prawie nic nie jadłem, co było do mnie niepodobne.

Sylfida przestała uderzać palcami w blat stołu. Przez

ostatnie dwa dni nie zamieniliśmy ze sobą prawie ani słowa. Także Violet milczała jak zakłeta.

Może po prostu wszyscy przeżywaliliśmy szok po tym, co się wydarzyło.

- Tak - odpowiedziała cicho Autumn.

Wmusiłem w siebie kolejną łyżkę płatków, chociaż nie byłem głodny. Sprawa Ofelii, Bramy i odnalezienia dziadka martwiła mnie, ponieważ już na pierwszy rzut oka można było dostrzec, jak cała ta sytuacja wpływała na Autumn. Lecz nawet jeśli sylfida czuła się fatalnie, próbowała to ukryć.

- Może wybralibyśmy się na spacer? - rzuciłem.

Sylfida popatrzyła na mnie zdumiona.

- Co powiedziałaś?

- Może spotkamy jakiegoś gnoma - dodałem.

Na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Co na to twoja babka? - jej głos był słaby.

- Co? - spytałem. - A co Violet ma tu do rzeczy?

Autumn zmieszała się.

- Nic.

Mimowolnie potarłem bliznę przy ustach. Kolejną rzeczą, która mnie zaniepokoiła, było to, że moja babka wyszła dziś sama na zakupy, a nie posłała mnie. Zwykle nie przepuszczała okazji, w której mógłbym zaznajamiać się bliżej z mieszkańcami Shildaig.

- Więc jak? - dopytywałem się. - Idziemy?

Sylfida przygryzła wargę i wykręciła palce. Widziałem, jak nad czymś poważnie rozmyśla. Serce biło mi coraz szybciej.

- Dobrze. Chyba nic się nie stanie - w końcu się zgodziła.

Pięć minut później przykleiłem do drzwi kartkę z wiadomością dla Violet, dokąd idziemy. Autumn rozglądała się nerwowo dokoła, jakby w każdej chwili spodziewała się ataku.

Nie mogłem jej o nic posądzać. W końcu, jakby nie patrzeć, ściągnęła na siebie cały gniew natury.

Szliśmy w milczeniu, kierując się w stronę kamienistych wzgórz za wsią. Po dziesięciu minutach minęliśmy znak z napisem SHIELDAIG. Szedłem tą drogą w trakcie swoich wycieczek po okolicy w pierwszych dniach spędzonych u Violet, przed znalezieniem Autumn. Szkocja była naprawdę ładna, zupełnie różna od płaskiego jak stół Cambridgeshire, w którym się wychowałem. Zaczynała mi się nawet podobać.

Po jakichś pięciu minutach Autumn przystanąła i zaczęła przyglądać się górze wznoszącej się stromo nad miasteczkiem. Wyraz jej twarzy zmienił się.

- Pójdźmy tam - powiedziała i nim zdołałem coś powiedzieć, pobiegła przez pole w stronę wzniesienia. Była bardzo szybka.

- Autumn! - krzyknąłem.

Dziewczyna obejrzała się za siebie i machnęła na mnie ręką.

- Chodź!

Szybko do niej dobiegłem. Z daleka góra wydawała mi się mała, jednak była naprawdę imponująca. Jakimś *dziwnym* sposobem omijałem ją na swoich wyprawach po okolicy.

Tak naprawdę nie chciałem się na nią wspinać. I nie chciałem teraz.

- To Ben Shildaig - usłyszałem szept Autumn. Wpatrywała się w górę z podziwem. - Wiedziałeś, że pobliskie Wzgórza Torridon należą do najstarszych w Europie?

Podeszła jeszcze bliżej, pochłaniając wzrokiem górę. Uklękła na ziemi i przyłożyła do niej rękę.

- Słyszysz? - spytała, przymykając oczy.

- Co?

Kucnąłem i położyłem rękę na mchu.

- Wsłuchaj się w pieśń Natury, Bernardzie. Ona jest obecna wszędzie.

Przymknąłem tak samo jak ona oczy, jednak nic nie słyszałem. Zmarszczyłem brwi.

- Nie denerwuj się - wyszeptała.

Otworzyłem jedno oko, jednak Autumn nadal miała przymknięte oczy. Na jej twarzy pojawił się spokój. Spróbowałem się rozluźnić.

Nagle na mojej ręce poczułem jej dłoń. Sylfida przycisnęła ją mocniej do ziemi.

- Nie bój się. Duchy Ziemi nic nam nie zrobią. Przynajmniej tobie.

Zaśmiałem się nerwowo. Jej bliskość trochę mnie paraliżowała.

- To ma mnie uspokoić?

W odpowiedzi Autumn ścisnęła mocniej moją rękę. Chyba nie lubi przerywać ciszy.

Nie mam pojęcia, jak długo klęczeliśmy obok siebie, wsłuchując się w odgłosy wiatru, nielicznych przejeżdżających samochodów, aż w końcu...

Wyczułem *to*.

Leciutkie bicie serca. Było to dla mnie takim zaskoczeniem, że poderwałem się z ziemi jak poparzony. Autumn zanosła się śmiechem.

- Powinieneś widzieć swoją minę, Bernardzie.

Nadal przyglądałem się ziemi, wbijałem wzrok w trawę. Czułem bicie serca. Czułem. Bicie. Serca.

- Wiem, co sobie myślisz - usłyszałem.

- To niesamowite - zdołałem wydukać.

Autumn wstała i wygładziła sukienkę. Jej kasztanowe włosy falowały na wietrze.

- Myślę, że spodobałoby ci się w Królestwie Powietrza - wymamrotała, patrząc w dal.

Przełknąłem ślinę.

- Jak tam jest?

Autumn przekrzywiła głowę na bok, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Trudno to opisać. Wszystko... jest energią. Jako opiekun zwykle podróżowałam astralnie pomiędzy światem ludzkim i Królestwami. Królestwo Powietrza przypomina... - sylfida szukała odpowiednich słów. - Chmury.

- *Chmury?* - zdziwiłem się.

Autumn kiwnęła głową.

- Tak. Wielkie, kłębiące się chmury, mieniające się kolorami, o jakich istnieniu byś nie pomyślał. Są tam wielkie góry, przewyższające stukrotnie te w waszym ludzkim świecie. Ogromne, mieniające się złotem połacie pól. Gdybyś tam był, pewnie doceniłbyś to piękno lepiej niż ja.

- Wątpię.

Autumn uśmiechnęła się smutno.

- Jestem dość egoistyczna.

- Według mnie nie.

Sylfida zacisnęła usta.

- Więc mnie nie znasz, Bernardzie. Królestwo Powietrza jest przepiękne, oszałamiające, jednak... jest ulotne. Nietrwałe. Wystarczy jeden podmuch wiatru, a wszystko się zmienia. To smutne.

- Jest efemeryczne - mruknąłem i szybko zapytałem: - A inne Królestwa?

Autumn zastanawiała się przez chwilę.

- Królestwo Ziemi przypomina wielkie drzewo - zaczęła. - Wszędzie widać korzenie i czuć zapach czarnoziemiu. Królestwo Ognia... no cóż, jest tam dość gorąco. Rzadko który Duch Żywiołu, prócz płomieniaków lub salamander, tam wytrzyma. Ich Pan, Arar, znany jest z tego, że jest dość... temperamentnym władcą, co nie podoba się Matce. Zaś Królestwo Wody...

Na jej twarzy pojawił się ból.

- Wody iskrzą się tysiącem barw. W głębinach można odnaleźć ciągnące się przez tysiące kilometrów jaskinie. Uważam, że to najpiękniejsza kraina spośród całego Królestwa Natury.

- Rozumiem - nie byłem na tyle głupi, by wspominać jej o Ofelii. Wiedziałem jednak, że to nie jest zamknięty rozdział w jej życiu.

Sylfida włożyła ręce do kieszeni swetra i popatrzyła na

górze. Wiedziałem, że nie wyciągnę z niej już więcej informacji.

- Chciałbyś wejść na szczyt?

Zerknąłem kątem oka na Ben Shildaig. Ile może mieć wysokości? Dwa tysiące stóp? Chyba mniej...

- To byłaby dość długa wędrówka - stwierdziłem. W rzeczywistości nie miałem najmniejszej ochoty, by się wspinać.

Autumn przygryzła wargę.

- Wiesz... jestem sylfidą. Potrafię to i owo.

Podła mi rękę. Nie mogłem powstrzymać śmiechu i pokręciłem głową.

- A jeśli ktoś to zobaczy? Latającą dziewczynę? Chcę przypomnieć - to teren zamieszkały.

Autumn wzruszyła ramionami.

- Mogę sprawić, że będziemy niewidzialni dla ludzkich oczu. Oczywiście, prócz tych posiadających Wzrok, co należy do rzadkości. To trochę ciężkie, ale dam radę.

Jej ręka nadal była wyciągnięta w moją stronę.

- Twoja męska duma będzie urażona, jeśli zostaniesz podwieszony przez dziewczynę?

- Nie mam żadnej męskiej dumy - mruknąłem. - Skąd ta myśl?

- Wpatrujesz się w moją dłoń jak wrona w kość. Nie daj się prosić.

W końcu przełamałem własny upór. W momencie gdy dotknąłem jej dłoni, poczułem, że jestem lekki, lżejszy, niż mógłbym przypuszczać. Było to uczucie tak oszałamiające, że spojrzałem z zachwytem w niebo.

Autumn ciągnęła mnie w górę, a słońce wychodzące zza chmur oświetlało jej postać, sprawiając, że otaczała ją świetlista aureola. Jej skóra jarzyła się złotawo, a oczy błyszczały neonowym fioletem. Wyglądała jeszcze piękniej niż wtedy w moim śnie, tuż po tym jak uratowała mnie od Ofelii. Teraz naprawdę była aniołem.

Moim aniołem.

Usłyszałem jej śmiech i poczułem, jaką radość sprawiło jej wykorzystywanie sylfidzkiej mocy. W ciągu ostatnich dni utrzymywała ją na wodzy, co stanowiło niemałe wyzwanie dla kogoś takiego jak ona. Jednak coś mąciło jej szczęście...

Wgląd, jaki miałem w jej umysł, nagle znikł. Próbowałem znów tam trafić, jednak oddzielał nas gruby mur.

- Już jesteśmy?

Czyżbym był rozczarowany?

Autumn opuściła mnie łagodnie na szczyt Ben Shioldaig.

- A czego się spodziewałeś? To malutka góra.

Rozejrzałem się szybko po okolicy i zamarłem, widząc u stóp wieś i zatokę. Obok mnie natychmiast pojawiła się Autumn.

- Tu jest pięknie - powiedziałem.

- Właśnie dlatego nie zgadzam się ze słowami profesora Angusa - wyszeptała sylfida. - Jeśli Danugaia nie kochałaby ludzi, nie stworzyłaby tak cudownego świata.

Podeszła do samotnego kamienia i usiadła na nim po turecku. Po chwili dołączyłem do niej, siadając na ziemi obok kamienia. Widziałem melancholię, która kryła się w jej niezwykłych oczach. Nurtowało mnie to niezmiernie.

Sylfida wzięła głęboki oddech i podparła głowę rękoma.

- Twoja babka nie pochwała tego, że się spotykamy - powiedziała nagle.

- My... *co?*

Autumn zamrugła.

- Wiesz... jako przyjaciele. Znajomi - zreflektowała się.

Kiwnąłem głową.

- Czemu?

- Uważa, że nie jestem... zbyt dobrym materiałem na... przyjaciela.

- Ma uprzedzenia - byłem wkurzony na Violet. Nie miała prawa jej osądzać. - Nie jesteś przecież ondyną. I wyglądasz jak człowiek - dodałem. - Nie masz żadnego ogona i błon, a to już coś.

Autumn pokręciła głową.

- Wygląd to nie wszystko, Bernardzie. Może to cię dziwić, ale my... Duchy... nie odczuwamy wszystkiego w sposób typowy dla ludzi. Jestem wyjątkiem, ponieważ byłem człowiekiem, jednak czasami czuję... że emocje oddalają się ode mnie. Zanikają.

Byłem wstrząśnięty. Podświadomość podsuwała mi chwile, w których byłem święcie przekonany, co dzieje się w umyśle Autumn. Wspomnienia są zatarte, jednak wyczuwam kłębiące się w nich emocje.

Są zwiewne, ulotne, a zarazem tak mocne, że natychmiast poczułem, jak całe spektrum złości, samotności, szczęścia, odrzucenia powoduje zawrót głowy.

- Więc nic nie czujesz? - udało mi się wykrztusić.

- Czuję emocje, ale mówię tu o czymś innym - Autumn nie patrzyła na mnie. Czułem, jak było to dla niej trudne. - Ja nie czuję... fizycznie.

Nie zrozumiałem.

- Co?

- Nie... czuję. Dotyku.

Potarłem bliznę. I kolejny raz.

- Ale jak? Więc jak... Nic? Nic?! - próbowałem to sobie jakoś uświadomić. - Jakby samochód cię walnął, też byś tego nie poczuła?

Sylfida pokręciła głową.

- Prędzej samochód by to poczuł. Nic by mi się nie stało - Autumn uśmiechnęła się smutno. Nie wiedziała, co się ze mną dzieje. - Często udaję, że czuję - zaczęła. - To bardzo pomaga. Wiesz... ciepło, dotyk... Tęsknię czasami za nim. Jako sylfida jestem... po prostu pustym naczyniem. Dość twardym pustym naczyniem.

Nie słuchałem już jej, nie mogąc pojąć tego, co mi wyznała. Więc wtedy, gdy pocałowała mnie w policzek, gdy dotykałem jej ręki, by ją pocieszyć...

Nic nie czuła? Nic?!

- Bernardzie? Słuchasz mnie?

- Autumn.

Sylfida pochyliła się w moją stronę. Była wyraźnie spięta.

- Coś zrobiłam nie tak?

- Nie, nie. Coś ty - zaprzeczyłem. Zbyt szybko. Pomiędzy jej brwiami pojawiła się zmarszczka.

- Więc... - ponownie podjęła temat. - Wiesz o tym, że

byłam opiekunką Shildaig. Panowałam nad wiatrami w tej okolicy. Odganiałam chmury i tym podobne. Nic ciekawego. Chyba ci o tym nie wspominałam.

- To jest bardzo ciekawe - odpowiedziałem szybko, starając się nie okazywać szoku.

- Nawet nie masz pojęcia, jak świat zmienił się przez ostatnie kilkaset lat - dodała cicho.

Dopiero te słowa pozwalały mi na nią spojrzeć.

- Postęp to normalna rzecz.

- W Królestwach Prawa są stałe. Niezmienne.

- To niedobrze. Takie coś prowadzi do... stalgacji - powiedziałem, starając się zachować swobodny ton. - Albo innego stalagmitu.

Autumn westchnęła. Coś się popsuło między nami. Nie twierdziłem, że moje żarty były jakieś śmieszne, ale dopiero teraz się ośmieszyłem.

- Stagnacji. Masz rację, Bernardzie. Paralda opowiadał mi o tym, jak wielkie imperia upadały przez nią. Lecz to postęp zaprowadzi ludzi do upadku. A oni w to nie wierzą.

Zaśmiałem się nerwowo.

- To zastanawiające, że czasami mówisz o sobie jako o Duchu, a czasami jako o człowieku. Trudno mi się w tym połapać.

Autumn odwróciła wzrok.

- Mnie także - przyznała.

Podciągnęła kolana pod brodę i oplotła je ramionami. Między nami znów zapadła cisza. Siedzieliśmy tak w milczeniu przez chwilę, gdy Autumn powiedziała:

- Uwierzysz mi, że byłam obecna tutaj, gdy zakładano Shialdaig?

- Serio? Kiedy?

- W 1800 roku. Miało być miejscem szkolenia żołnierzy brytyjskich przeciwko Napoleonowi. Moi przyjaciele... - zamrugła parokrotnie - Inne Duchy opiekujące się tym miejscem nie były zadowolone z takiego obrotu spraw. Potem okazało się, że nie dojdzie do realizacji tych planów. Za to na wyspie zasadzono sosny. Kaledońskie. Słyszałam też, że w dniu śmierci Napoleona sama Danugaia zeszła na wyspę, biorąc to miejsce pod swoją wieczną opiekę. To sanktuarium. Podobno ma wielką moc.

Patrzyłem się na Autumn, naprawdę nie wiedząc, co o niej myśleć. Serce biło mi coraz bardziej nierówno.

- Mówiłaś, że miałaś brata. Grał na dudach, tak?

Moje niespodziewane pytanie lekko wytrąciło ją z równowagi. Zamrugła.

- Roland - jego imię dziwnie zabrzmiało w jej ustach. - Był starszy o dwa lata. Miałam także młodszą siostrę, Rosalind.

- Co się z nimi stało?

Autumn spojrzała na mnie spod nastroszonych brwi.

- Nie żyją, co nie jest zaskoczeniem, Bernardzie - jej głos był zaskakująco chłodny.

- Przepraszam, głupie pytanie. Po prostu... nie wiem o tobie za dużo.

- Ja także nie wiem o tobie za dużo.

- We mnie nie ma nic ciekawego.

- Wy, ludzie, nie wiecie, jak piękne jest wasze życie.

Prychnąłem.

- Może zostawmy ten temat.

- Dobry pomysł.

Siedzieliśmy w milczeniu, jednak brzmiało to jak cisza przed burzą. Autumn znów podparła głowę rękoma. Mógłbym patrzeć na nią godzinami, jednak coś nie dawało mi spokoju.

- Czemu uciekłaś?

Sylfida zacisnęła usta.

- Miałam swoje powody - powtórzyła.

- Mogłem się tego spodziewać - burknąłem, nie wytrzymując. - Nikomu nie zaufasz, prawda?!

Dziewczyna wzdrygnęła się i popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- O czym ty mówisz?

- Mam dosyć tego, że... kłamiesz! Jednego dnia rozmawiasz ze mną, następnego odpychasz. Wymazujesz pamięć. Pragniesz pomocy, ale nie dajesz niczego w zamian. Odpowiesz mi wreszcie na pytanie, kim jesteś?!

Autumn zerwała się, a oczy pałały jej gniewem. Płynnym ruchem odgarnęła włosy z oczu. Też wstałem.

- Jak śmiesz wydawać osąd w sprawie, o której nie masz najmniejszego pojęcia. Myślisz, że jak się czuję? - włosy uniosły się wokół jej twarzy, naelektryzowane.

- Ty przecież nie czujesz! - krzyknąłem. - *Nic!*

Autumn, drżąc, odsunęła się. Wpatrywała się we mnie przez chwilę, lecz wyraz jej oczu sprawił, że miałem wrażenie, iż wpatrywała się całą wieczność.

Ból. Odrzucenie. Nienawiść.

- Nie masz pojęcia, co sprawiło, że stałam się taka - wypowiedziała te słowa z namacalnym bólem, wstrętem. - Nie masz pojęcia, co czuję.

Przełknąłem ślinę.

- Uwierz mi, że wiem - odpowiedziałem.

Autumn przymknęła oczy.

- Tak? To niech pan Bernard Charles Oaken powie mi, co naprawdę czuję. Jestem wielce ciekawa - wycedziła.

Skrzyżowała ręce na piersiach, a pomiędzy kosmykami rudych włosów zaczęły się pojawiać różnokolorowe błyskawice. W tamtej chwili wyglądała tak groźnie, że zaniemówiłem. Na jej twarzy pojawił się złowrogi uśmiezek, a z jej oczu zniknęły jakiegokolwiek emocje.

- Proszę, brakuje ci słów. Co ty możesz o mnie wiedzieć? No co? - podeszła do mnie. Jej opanowanie było gorsze niż gdyby krzyczała na mnie. - Przemieniono mnie wbrew mej woli. Jakbyś się czuł, gdybyś pewnego dnia obudził się jako ktoś zupełnie inny? *Jak?*

Mimo to, że szeptała, jej głos odbił się echem po okolicy. Zamarłem. Nie miałem o tym pojęcia.

- Jak myślisz, że się czuję? Jak? Czy wy się tak czujecie? Każdego dnia? - w jej oczach niespodziewanie pojawiły się łzy. Natychmiast poczułem się, jakbym parokrotnie dostał w twarz. - Rozdarci między tym, czego chcecie, czego pragniecie, a tym co powinniście!?

Przełknąłem ślinę.

- To, że nie czuję, nie znaczy, że nie jestem człowiekiem - powiedziała.

- Jesteś sylfidą - wyszeptałem.

Oczy Autumn, i tak już ciemne i zimne, jeszcze bardziej się zaszklily, gdy wrzasnęła. Po jej policzkach popłynęły łzy. Odruchowo cofnąłem się. Przez niebo przebiegła błyskawica.

- Jak mogłam być taka głupia, myśląc, że mnie zrozumiesz! Myślałam, że jesteś inny. A ty jesteś taki sam jak inni ludzie, Bernardzie!

Autumn wyprostowywała się i uniosła głowę. Jej twarz przybrała kamienny wyraz. Mogłem przysiąc, że jej oczy nie były już fioletowe.

- Nie odzywaj się do mnie.

Były czarne niczym noc.

Odwróciła się.

- Autumn... - zacząłem.

Prychnęła.

- Nie nazywaj mnie tak. Mówiłam ci, że nic o mnie nie wiesz - jej głos, zwykle niski i chrapliwy, w tamtym momencie został zniekształcony przez trzaski. - Nikogo także nie potrzebuję. W szczególności... ciebie.

Zakryłem twarz przed potężnym podmuchem wiatru, który omal mnie nie przewrócił.

Kiedy opadł kurz, Autumn już nie było.

Usiadłem na kamieniu, gdzie wcześniej siedziała sylfida. Widziałem w myślach tylko jej oczy, z tego dawnego snu, kiedy były zatruwane przez czerń. Może mi się to tylko przywidziało? Nie byłem pewny.

- Jestem idiotą - powiedziałem sam do siebie.

Potarłem mimowolnie bliznę, gdy nagle usłyszałem cichy

głos:

Ocal Kwiat Lili, Bernardzie.

Powrót do domu Violet zajął mi więcej czasu, niż mógłbym przypuszczać. Kiedy w końcu pchnąłem wejściowe drzwi, było już dawno po południu. Byłem wściekły na samego siebie, na Autumn. Na głupie głosy w mojej głowie.

- Gdzie się podziewałeś?!

Odwiesiłem kurtkę i zdjąłem kaptur z głowy. Napotkałem wzburzone spojrzenie babki. Stała w końcu holu w wojowniczej pozie, z rękoma położonymi na biodrach.

- Gdzie ona jest?

Violet pokręciła głową.

Wziąłem głęboki oddech i minąłem ją jakby nigdy nic. Wbiegłem po schodach na górę, przeskakując po parę stopni na raz, nie zwracając uwagi na protesty Violet.

Autumn mieszkała w dawnym pokoju mojej mamy, w końcu korytarza. Z bijącym sercem podszedłem do drzwi i zapukałem.

- Autumn - powiedziałem. - Jest mi naprawdę przykro. Nie powinienem.

Usłyszałem jakiś szmer i kroki. Mogłem przysiąc, że słyszę jej oddech. Czekałem na jakąś odpowiedź, która jednak nie nadeszła.

- Autumn.

Nacisnąłem klamkę. Bezskutecznie. Drzwi były zamknięte

na cztery spusty. Po raz kolejny poczułem, jak coś wbija mi nóż w serce.

Położyłem dłoń na drewnie i oparłem czoło na drzwiach.

- Wiedz, że jest mi przykro. Możemy o tym porozmawiać. Nie będę krzyczeć. Zejdź... jeśli będziesz gotowa.

Byłem pewny, że stała po drugiej stronie. Słyszałem jej oddech.

- Po prostu... chcę byś wiedziała, że możesz na mnie liczyć. Ufać. To... to wszys-stko. Se-erio.

Zamilkłem, wiedząc, że zaczynam się jąkać. Potarłem bliznę, czując, jak żołądek skręca mi się ze zdenerwowania. Odwróciłem się szybko, niemalże wpadając na Violet.

Blade oczy babki wpatrywały się we mnie. Wwiercały. Instynktownie schowałem ręce za plecy. Nie miałem ochoty, by przeczytała, co stało się parę godzin temu.

Lub poznała moje uczucia.

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

Kiwnęła na mnie palcem, nakazując iść za sobą. Zatrzymała mnie na schodach, stając na wyższym stopniu, tak, żeby nasze oczy były na tej samej wysokości.

- To nie ma sensu, Bernardzie.

- Co? - skrzyżowałem ręce na piersi.

Violet prychnęła.

- Oboje wiemy „co”. To nie ma przyszłości. Pogódź się z tym.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - skłamałem. Miałem i jej słowa mnie bolały.

Violet westchnęła.

- Wychowywałam twoją matkę. Byłam nauczycielką. Znam cię lepiej, niż myślisz. Znam młodzież.

Zacisnąłem usta.

- Nie sędzę.

- Na pewno? Twój dziadek rzadko mówił, co czuje. Zdradzały go jego czyny. I oczy. One mówią wszystko. Są zwierciadłem duszy.

Wyciągnęła w moją stronę rękę i poprawiła mi kaptur. Z jej oczu znikła wrogość i pojawiła się troska.

- Zależy mi na tobie, Bernardzie - powiedziała. - Nie wiem, co jest ci pisane, ale... na pewno nie ona.

Zesztywniałem. Blizna zaczęła swędzieć mnie tak strasznie, że się skrzywiłem. Jej słowa brzmiały sztucznie, fałszywie.

Jednak je wypowiedziała.

- Mylisz się, babciu - odpowiedziałem, a głos miałem niższy niż zwykle. Nie bez powodu przyjechałem do Shildaig. To właśnie ja miałem odnaleźć Autumn.

Miałem ją chronić.

- Każdy z nas decyduje o sobie - dodałem nieswoim głosem. - Każdy pisze historię własnego życia.

Na twarzy Violet pojawiło się zaskoczenie. Przypatrywała się mi przez chwilę, zapewne czekając, aż w końcu wybuchnę. Ale to nie nastąpiło.

- Zmieniłeś się, Bernardzie - powiedziała i zeszła ze schodów, zostawiając mnie kompletnie skołowanego.

Sylfida chodziła nerwowo po pokoju. Moce burzyły się w niej, buntowały. Wymykały się spod, i tak wątlej, kontroli.

„Użyj nas, będzie ci lżej, tylko trochę...”

„Zawsze byłaś zdeprawowana”.

Autumn zacisnęła ręce, przywołując wspomnienie rozmowy z Bernardem. Jak mógł jej coś takiego powiedzieć? Jak?!

Nienawidziła siebie. I zawsze będzie nienawidzić.

Dlaczego nie mogła go tak po prostu zostawić? Pętał ją. Gdyby nie jego głupia propozycja wyjścia na spacer, zaklęcia Violet chroniące dom powstrzymałyby i ją. Nie wypowiedziałyby tych słów, nie użyłyby mocy. Nie dawałyby sobie złudnej nadziei.

Była przecież potworem. Potworem Frankensteina. Nigdy nie miała żadnych szans. Nie powinna nic czuć, a czuła.

Była rozdarta.

„Użyj nas...”

Podstępnie ta siła znów pojawiła się w jej głowie. Razem

z zimnem ponownie muskała końcówki jej palców. Autumn pomyślała, jak byłoby cudownie, gdyby pozwoliła mocy kierować sobą, zapomnieć, kim naprawdę jest, tak samo jak robiła to w przeszłości...

Nie. Zimno oplatające jej palce wchłonęło się w skórę. Co mówił Paralda?

Kontrola. Zapomnienie o samym sobie. Duchy służą większemu dobru. Jesteś nieważny. Jesteś tylko jednym z wielu sług. Nie jesteś nikim wyjątkowym.

„Jesteś przeklęta”.

Autumn uniosła drżącą rękę przed twarz, widząc, jak pojawia się na niej lodowata substancja, mieniająca się paletą barw. Przypominała miniaturowe kosmiczne mgławice. Syczała, ruszała się bezustannie, a na jej niestałej powierzchni rozchodziły się malutkie błyskawice.

Pieprzone przekleństwo.

- Autumn. Jest mi naprawdę przykro. Nie powinienem.

Drgnęła, słysząc głos Bernarda. Nie wyczuła w nim śladów wcześniejszej złości.

Wręcz przeciwnie. On ją przeproszał. Za co? To ona, wszystkie istoty powinny przeproszać go za swoje istnienie. Ona była wszystkiemu winna.

„Egoistka”.

Autumn podeszła do drzwi i położyła dłoń na drewnie. Nie była pewna, co się z nią dzieje. Przez całą swą egzystencję sylfidy wpajano jej, że Duch nie powinien nic czuć, nie, że nic nie czuje. Ale jak było naprawdę?

Ofelia? Jej była najlepsza przyjaciółka wielokrotnie

peszyła Autumn okazywaniem jej swych uczuć, wręcz zażyłością niespotykaną u Duchów, co budziło wstręt w oddanej opiekuńczej misji sylfidzie. Autumn nigdy nie potrafiła odgadnąć, czy ondyną kieruje przyjaźń czy coś więcej. Sylfida trudno nawiązywała relacje. Pętały ją. Niszczyły.

Ona niszczyła zaangażowanych.

- Autumn - powtórzył Bernard.

Usłyszała chrzęst klamki.

- Wiedz, że jest mi przykro. Możemy o tym porozmawiać. Nie będę krzyczeć. Zejdź... jeśli będziesz gotowa.

Autumn oddychała coraz ciężiej. Matko, moja kochana Matko, czemu on to robi, spytała siebie w myślach. Uciekaj, póki możesz...

- Po prostu... chcę byś wiedziała, że możesz na mnie liczyć. Ufać. To... to wszys-stko. Se-erio.

Chłopak zająknął się. Autumn zacisnęła usta.

Musiała wybrać. Pomiędzy tym czego chciała, czego pragnęła i tym, co powinna.

Pozostawało tylko jedno pytanie: czy naprawdę miała teraz wolną wolę? Kto powiedział, że jej myśli należą tylko do niej, a nie do kogoś innego?

[1] Panna Jane Marple - detektyw-amator, postać stworzona przez Agathe Christie. Panna Marple była trochę wścibską, osiemdziesięcioletnią starą panną mieszkającą w małej angielskiej miejscowości St. Mary Mead.

9 Sierpnia

Nocne podchody

Oficjalnie mogłem przyznać się, że zdobyłbym tytuł największego kretyna na świecie. Ewentualnie nagrodę Darwina, ale zdawało mi się, że przyznawana jest za wyjątkowo głupią śmierć.

Nie powinienem śmiać się z głupoty.

Ale i tak byłem idiotą.

Spędzenie całego popołudnia pod drzwiami pokoju Autumn włączało mnie w ich poczet. Może z racji tego, że się zakochałem coś poważnie poprzestawiało mi się pod sufitem. Nie mogłem wykluczać takiej możliwości.

Zakochanie to beznadziejny stan.

Violet nie skomentowała słowem mojego zachowania. Około czwartej przyniosła mi talerz z kanapkami z bananem (moimi ulubionymi, co mnie zdziwiło) i miętową herbatę. Nie byłem jednak głodny.

W ciągu następnych czterech godzin tylko raz opuściłem swoją wartę, idąc do swojego pokoju po laptopa. Próbowałem coś pisać, jednak mi nie szło.

Ochroń Kwiat Lili.

Ale czemu? Dlaczego Autumn nazywana była Lilią? Przed czym miałbym ją chronić?

Obrazy z moich snów nie dawały mi spokoju. Im więcej o tym myślałem, tym mniej wiedziałem.

- Bernardzie - o dziesiątej, w głębi korytarza zobaczyłem Violet. - Idę spać. Nie siedź za długo.

Kiwnąłem głową, widząc, jak znikła w swoim pokoju. Gdy tylko usłyszałem chrzęst zamka, zerwałem się z podłogi.

Violet bardzo szybko zasypiała, tak samo jak mama. Czasami razem z tatą musieliśmy siłą wyswobadzać z jej rąk pilota, ponieważ usypiała na reklamach filmów.

Podszedłem najciszej jak potrafiłem do drzwi Violet i odczekałem parę minut w napięciu. Na mojej twarzy pojawił się uśmiech, gdy usłyszałem głośnie chrapnie babki.

Nie tylko kobiety w tym domu miały jakieś plany.

Odwróciłem się i spojrzałem na ukryte w cieniu drzwi do sypialni Autumn.

Mogłem się spodziewać, że sylfida nie wyjdzie z pokoju przez cały dzień. Nie miałem pojęcia, czy teraz śpi, chociaż wątpiłem w to. Przecież nie istniały podręczniki o zwyczajach Duchów Żywiołów.

Nie byłem również osobą, która porzucała swój zamiar. Zamierzałem porozmawiać z Autumn, chociażby wbrew jej woli.

Ale na początku po dobroci.

- Autumn?

Zapukałem w drzwi najdelikatniej, jak tylko mogłem,

oczekując jakieś reakcji.

- Czy nadal się na mnie gniewasz?

Cisza.

- Autumn, jesteś tam?

Potarłem bliznę i dotknąłem klamki. Drzwi nadal były zamknięte.

- Cholera.

Wpadłem w popłoch. Czyżby mnie aż tak znienawidziła?

- Jesteś? Autumn, nie wygłupiaj się...

Cisza. Ta okropna cisza.

Uspokój się. Przemyśl to.

Wyprostowałem się zaskoczony. Słyszałem w głowie swój własny głos. Teraz już na serio musiałem sobie kupić bilet do wariatkowa.

Musisz wejść do jej pokoju.

- Nie.

Coś mną szarpnęło i klęknąłem przed drzwiami.

- Super - mruknąłem. Teraz już wolałem nie przeciwstawiać się samemu sobie.

Przyjrzałem się zamkowi. Nawierzchniowy. Zamykany od środka. Jako dziecko często je rozkręcałem, by zobaczyć, jak działają. Zamykany na spust.

Jeśli dostatecznie się zaprę, zdołam go otworzyć od zewnątrz.

Informacje wskakiwały mi do głowy, jak w jakichś szalonych dedukcjach Holmesa z BBC. Niepokój o Autumn skutecznie je napędzał.

Ująłem w palce wybrzuszenie pod klamką. Zapewne

gdybym miał ze sobą nóż, byłoby mi łatwiej.

Skrzywiłem się, próbując przesunąć gałkę. Boże, dzięki ci, że Violet kazała mi na początku przyjazdu naoliwić i posprawdzać wszystkie zamki, chociaż, gdyby ktoś mi powiedział, że kiedyś się z tego ucieszę, roześmiałbym się.

- No, dalej - warknąłem, siłując się z klamką.

W końcu udało mi się odkręcić gałkę. Usłyszałem charakterystyczne kliknięcie i drzwi się otworzyły.

Wszedłem do pokoju, rozglądając się na boki.

W pomieszczeniu było idealnie czysto, jakby nikt tu nie mieszkał. Nie paliła się żadna lampa. Na białych ścianach wisiały plakaty z The Cure. Uświadomiłem sobie, że Violet zapewne nic nie zmieniała, odkąd mama wyjechała na studia.

Jednak nie przyszedłem tutaj wspominać rodzinnych historii.

Włączyłem światło, ale nawet ono nie mogło ukryć przykrewnej prawdy.

Autumn tu nie było.

Nie uciekła. Jest blisko - znów usłyszałem w głowie. - Pytanie: gdzie dokładnie?

Opuściłem ręce wzdłuż ciała.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałem.

Rusz głową.

Skrzywiłem się. Cudownie, teraz kłóczę się sam ze sobą. Czuję się jak Watson w towarzystwie Sherlocka. Nie jestem przecież idiotą (choć czasami miałem takie wrażenie), ale nie zamierzałem być poniżany przez samego siebie.

Potarłem bliznę. Wspomnienie Holmesa podsunęło mi

pewien pomysł.

W serialu *Hannibal* Will Graham, profiler FBI, potrafił wcielić się w postać mordercy, oczywiście psychicznie. Odtworzyć jego zachowanie, uczucia kierujące nim w trakcie popełnienia zbrodni, by móc go ująć. Może też powinienem tak zrobić?

- Co bym zrobił... będąc Autumn? - zadałem sobie pytanie.

Na pewno nie stałbyś pośrodku tego pokoju jak kołek. I nie porównywał jej do psychopatycznych morderców.

Prawda.

Przymknąłem oczy, próbując jednak postawić się na miejscu sylfidy. Natychmiast zalały mnie sprzeczne uczucia: smutek, radość, samotność...

Przeniosłem się daleko, dalej niż przypuszczałem. Jak we mgle zobaczyłem czerń nocy, dalekie światła Shildaig odbijające się w wodach zatoki. Jakimś sposobem byłem połączony z Autumn.

I wiedziałem, gdzie jest.

Rzuciłem się do okna, otwierając je na oścież. Do ziemi było co najmniej cztery metry, ale czego się nie robi... z wiadomo czego.

Postawiłem nogę na parapecie i spojrzałem w dół. Miałem szczęście, ponieważ nie padał deszcz. W Loch Shildaig odbijał się także coraz grubszy sierp Księżycy.

Złapałem się chwiejnej framugi okna i powoli opuściłem na dół. Udało mi się wymacać trampkiem oparcie i sukcesywnie schodziłem na dół, przytrzymując się rynny, aż w końcu poczułem pod nogami miękką ziemię.

Nie miałem pojęcia skąd, ale wiedziałem, gdzie jest sylfida. Widziałem w myślach, jak idzie brzegiem zatoki z dala od Shildaig, od domu Violet. Na spotkanie.

Ale z kim?

Bez zastanowienia zacząłem biec przed siebie, dając się wieść temu instynktowi. Co rusz unikałem skręcenia sobie kostki na zdradliwych kamieniach. Przyspieszałem i przyspieszałem, czując w powietrzu chłodny, suchy wiatr idący znad morza. Księżyc oświetlał wyspę u wybrzeży i z każdym następnym oddechem czułem, że się do niej zbliżam.

Zatrzymaj się.

Złapałem szybko oddech. Ile mil przebiegłem? Trzy? Dwie? Było to niewiarygodne, ale sądziłem, że gdyby chodziło o nią, przebiegłbym nawet więcej.

Ona tu jest i muszę wiedzieć dlaczego.

Moją uwagę zwrócił jakiś cień i czym prędzej schowałem się pośród kamienistych wzgórz. Przekonałem się, że dobrze zrobiłem.

To Autumn.

Minęła miejsce mojego ukrycia i skierowała się w dół wybrzeża, do skalistej plaży. W blasku Księżyca wyglądała na niemalże przezroczystą. Cała jej postać lekko falowała i emanowała złoto-czarnym blaskiem. Dziwiłem się sobie, że kiedyś mogłem myśleć, że jest człowiekiem.

Ktoś taki nie mógł nim być.

Sylfida zatrzymywała się na krawędzi brzegu. Choć dzielili nas odległość dziesięciu metrów, widziałem, że jest

boso.

- Jestem - usłyszałem jej niski i chrapliwy głos. - Tak jak ci obiecałam.

Klęknęła powoli przy wodzie i uniosła ręce nad taflą. Nawet z takiej odległości wyczułem, jak powietrze się oziębia.

Woda zasyczała gniewnie w odpowiedzi i z czarnej toni wydostał się głos, który zmroził krew w moich żyłach:

- Witaj, zdrajczyni.

Autumn spotkała się z Ofelią.

Szok, jaki wywołało we mnie to odkrycie, spowodował, że przestałem nawet oddychać.

Dlaczego?

Z wody powoli wynurzyła się głowa ondyny i zobaczyłem, jak jej ludzko-rybie oczy w kolorze morskiej zieleni skupiły się na sylfidzie.

- Miło jest widzieć twarz tak bliskiej osoby - zaczęła z okrutnym uśmiechem.

Autumn nie zareagowała. Nie widziałem jej twarzy, jednak docierały do mnie jakieś przebłyśki emocji.

Żal?

- Nic nas już nie łączy, Ofelio - usłyszałem jej głos. - Dowiodłaś tego poprzez swe czyny. Dobrze wiesz, czego od ciebie chcę.

- Zabraniasz mi zabawy, Autumn?

- To nie jest zabawa. Mogłaś zabić człowieka. Łamałaś

Prawa.

- Trudno mi uwierzyć, że słyszę to akurat z twoich ust.

Sylfida westchnęła. Coś podpowiadało mi, że muszę podejść bliżej. Niemalże płaszcząc się na ziemi i korzystając z ochrony, jaką dała mi noc, podczołgałem się możliwie najbliżej, jak mogłem.

Obserwowałem teraz rozmowę dwóch Duchów z boku. Autumn klęczała przy wodzie, a jej twarz od oblicza ondyny dzieliła odległość paru centymetrów. Ofelia wpatrywała się w nią tak intensywnie, że przeszło mi przez myśl, że przyjaciółki, nawet te byłe, tak na siebie nie patrzą.

- Ja nie złożyłam Przysięgi - głos Autumn jeszcze bardziej schrypł.

Ofelia uderzyła ogonem w wodę.

- Tak, wiem to. Nie musisz wszystkim tego opowiadać. Wszędzie mówią o twoim wyczynie. Wszyscy żądają twojej zeeteryzacji.

Ofelia teatralnie podparła głowę i jej ogon z zadowolenia kołysał się z boku na bok. Wiedziała, jak jej słowa wpływają na Autumn.

Ta zamilkła.

- Boreasz jest wściekły. Znaczący był... ale po tym jak odprawiłaś z kwitkiem jego posłańca, Camrelę, wpadł w szal. Na spotkaniu Władców próbował wszystkich przekonać, że trzeba cię usunąć i posłać w Eter. Wszyscy się zgodzili, nawet Arar.

Autumn wydawała się kamiennym posągiem. Jeśli miałem być szczery, Ofelia z równym skutkiem mogłaby mi wydrapać

serce. Czułbym się tak samo.

- To... znaczy, że... nie zламаłam Praw. Nie dotyczą...

- Nie panikuj. To, że władcy i inne Duchy dostały świra, nie znaczy, że już nie żyjesz. Danugaia nie przyjęła ich werdyktu.

Autumn zaniemówiła.

- Nie... przyjęła? Broniła mnie?

Ondyna uderzyła ogonem w wodę.

- Nie, nie broniła. Po prostu nie zezwoliła na twoją egzekucję. To różnica. Nikt nie może cię tknąć do czasu następnej pełni. Za to Paralda bronił cię zażarcie.

Autumn wstała i splotła ręce za plecami.

- Dlaczego mi to robisz? - spytała.

- Co?

- Dlaczego porwałaś tego rybaka?

Ondyna westchnęła.

- Nie byłaś taka liberalna, kiedy sama podglądałaś ludzi.

Autumn splotła ręce na piersi.

- Masz przestać! On... mogła stać mu się krzywda! Musiałam mu wymazać pamięć. Wiesz, jak tego nienawidzę.

- O kim teraz mówisz? O tym rybaku czy o ludzkim chłopaku?

Autumn zamrugała parokrotnie. Sam wstrzymałem oddech.

- Nie... nie rozumiem - odpowiedziała zbita z tropu.

- Ten wysoki, przystojny, piegowaty brunet z jasnymi oczami. Słyszałam od skrzatów, że spędzasz z nim dość dużo czasu.

Autumn zacisnęła ręce na krawędzi sukienki. Więc nigdy nie byliśmy tak naprawdę sami. Zawsze i wszędzie widziały nas Duchy, w tej swojej odrażającej, astralnej postaci.

- Masz ich nie porywać, rozumiesz? To złe.

- Nie stała im się krzywda, Autumn.

- Ale... mogła - wycedziła. - Mogłaś go wysłać w Zaświaty.

Ondyna nagle zniknęła pod wodą, a przestraszona sylfida zaczęła mącić rękoma wodę.

- Ofelio! Ofelio!

Spod wody doszedł chichot i chwilę potem wyłoniła się ręka.

Trzymająca fioletową różę.

- Powinnaś mu to dać. O ile ktoś taki jak on zrozumie, co to oznacza.

Autumn wpatrywała się w różę z napięciem. Ondyna machała jej kwiatem przed oczyma.

- Piękna, prawda? To dlatego uciekłaś? - spytała, rzucając jej kwiat. Próbuję zignorować zazdrość w jej głosie. - Dla miłości?

Autumn delikatnie wzięła różę w dłonie. Wiatr zarzucił włosy na jej twarz tak, że nie dostrzegłem, co działo się w jej oczach.

- Znasz powody mojej ucieczki, Ofelio. Jego w to nie mieszaj.

Ofelia prychnęła.

- Uważasz się za taką wyjątkową, ponieważ jako człowiek miałaś zdolności parapsychologiczne. A teraz? Panujesz nad Powietrzem, Autumn. To więcej niż telekineza i telepatia

razem wzięte. Dlaczego nie możesz się pogodzić z Przemianą?
Ja tak zrobiłam.

Autumn uniosła brodę.

- Nie jestem taka jak ty. Nie potrafię zapomnieć.

- Ty nie chcesz zapomnieć. Na tym polega twój problem.

Żyjesz przeszłością, nie myśląc o „teraz”.

- Duchy nie mają „teraz”.

Ofelia zamilkła.

- Wydajesz się inna. Co mnie naprawdę dziwi, a znam cię przecież długo. Jednakże nie potrafię zrozumieć twojego postępowania. Tak samo jak twojego układziku z tą czarownicą.

„Czarownicą?”

- To przysługa za przysługę, nic więcej.

- Na pewno? Mnie wydawałaś się... zaangażowana.

- Skończ z tym - Autumn odpowiedziała zaskakująco chłodno. - Mnie i Bernarda nic nie łączy. Koniec historii.

Jej słowa odbijały się echem w moim umyśle.

Pewnie, jak mogłem być aż tak głupi? Dlaczego akurat ta mądra, inteligenta i piękna dziewczyna (sylfida) chciała by zwrócić swoją uwagę na mnie? Byłem zwykłym chłopakiem. Niezdarą, pechowcem mającym wypaczone poczucie humoru.

Śmiertelnikiem.

- Bernard? Tak zwie się ten rycerz w srebrnej zbroi?
Mnie się wydaje, że...

Autumn odgarnęła włosy z oczu.

- Mówiłam, nie mieszaj go do tego - wtrąciła się.

- Dziwne, że chce z tobą rozmawiać po tym, jak

dowiedział się, kim jesteś.

- Zostaw go! - Autumn zerwała się z ziemi, a delikatny złotawy blask na chwilę mnie oślepił. - On... nie ma tu... nie gra żadnej roli. Wiesz, czemu uciekłam.

Skrzywiłem się, słysząc jej słowa. I tak jestem frajerem, więc mogę się przyznać, że gdybym mógł, rozpłakałbym się. Jak dziecko. Jestem żaloszny.

Wzięłem się w garść i zmusiłem do wsłuchania się w rozmowę Duchów.

Ofelia przypatrywała się sylfidzie w milczeniu. Przez chwilę miałem wrażenie, że jedno z jej oczu spojrzało na miejsce, gdzie się ukrywałem. Usłyszałem:

- Nie będę już tego robiła. Opuścę, ze względu na starą przyjaźń.

Na twarzy Autumn pojawia się ulga.

- Dziękuję.

- Nie robię tego ze względu na ciebie. Żal mi... mieszkańców miasteczka - jej ogon znów uderzył w wodę. - Jednak, jak sądzę, nie chodzi tu tylko o... te wypadki. Ta czarownica czegoś chce? Zgodziłaś się, tak?

O kim one mówią?

Potarłem bliznę i nagle mnie olśniło.

„- Jestem zaszczycony, mogąc pracować z sylfidą - powiedział Hamish.

- A ja nie - odpowiedziała chłodno Autumn. - Ale proszę się nie przejmować. Tu chodzi tylko... o przysługi.

- Masz rację. Tylko o przysługi - usłyszałem lodowaty głos Violet. - Nic innego nie ma znaczenia, młoda damo.

- Tak - odpowiedziała cicho sylfida. - Tylko to się liczy”.

Autumn uciekła z nieznanego mi bliżej powodu (nie wierzyłem w jej gadkę o wolnej woli) z Królestwa Powietrza, by odnaleźć Bramę, portal o ogromnej mocy. Jakimś cudem odnalazłem ją nad brzegiem Loch Shildaig i zaniósłem do domu Violet, która od blisko siedemnastu lat była wdową po dziadku Johnie. Babka posiadała Wzrok i dar chiromancji. Być może nawet specjalnie wzięła mojego laptopa, by sprowokować mnie do wyjścia na dwór. Violet jest święcie przekonana, że dziadek John został porwany przez ondyny, jedne z Duchów Wody. Gdy zobaczyła Autumn, poznała od razu, że jest ona sylfida. Pomyślała więc, że Autumn będzie mogła jej pomóc w odzyskaniu męża. Dziewczyna w zamian oczekiwała pomocy w odnalezieniu Bramy.

Tu na scenę wchodzi Profesor Hamish Angus, przyjaciel babki.

Hamish, dzięki pomocy Autumn, dokończy rozpoczęte badania nad zderzeniami mas Eteru, będzie mógł więc przewidzieć, gdzie powstanie następna Brama. W dodatku szansa pracy z sylfida dla kogoś takiego jak Angus jest jedyną szansą w życiu i pokusą nie do odparcia.

Przysługi. Wszystko sprowadzało się do nich.

Jaką więc rolę odgrywałem w tym całym kramie? Nie miałem nic do zaoferowania. Byłem zbędny. Byłem obciążeniem i babka była tego świadoma. Od początku nie miałem szans u kogoś takiego jak Autumn. Z góry byłem skazany na porażkę.

Czemu jednak czułem się za nią odpowiedzialny? Dlaczego

śniłem o niej? Czemu ten głos kazał mi ją chronić?

Nie miałem pojęcia.

- Więc nie zmienisz zdania, prawda? - usłyszałem dochodzący z daleka głos Ofelii. Przeoczyłem dość ważne sprawy, budując w głowie dedukcję godną Holmesa. - Chcesz to zrobić?

Co zrobić? Co? Założyłbym się, że Violet wiedziała. Wiedziała, dlaczego Autumn szukała Bramy.

Autumn przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

- Za wszelką cenę?

- Tak.

Ofelia westchnęła.

- Mogłam się tego spodziewać. Jeśli tak, życzę ci powodzenia.

Na twarzy Autumn pojawił się wąty uśmiech. Ondyna jednak ze śmiertelnie poważną miną dodała:

- Ale nie myśl, że tobą nie gardzę, Lilidh.

Otworzyłem szeroko oczy.

Czy ona powiedziała Lilidh?

- Ofelio... - zaczęła sylfida. Ondyna spytała:

- Więc jak mam cię nazywać? Autumn, Fómhar, Lilidh?

Sylfida pokręciła głową.

- Po prostu... przestań. Nie przesadzaj.

Lilidh?

- Nie nazywaj mnie tak, Ofelio - powiedziała cicho Autumn.

Déjà vu. W ciągu tych trzech tygodni doświadczyłem go więcej razy niż przeciętny człowiek. Tak samo odpowiedziała

dziś, gdy nazwałem ją...

- „Wiemy, czym jesteśmy, ale nie wiemy, co się z nami stanie” - powiedziała ondyna. - Skąd to?

Twarz sylfidy spochmurniała.

- *Hamlet*, akt czwarty. Zawsze cytujesz swoją imienniczkę.

- Nigdy nie była moją imienniczką, „bezimienna”. Ale sprawiłam, że tak się stało. Musisz pozwolić przeszłości odejść. To się źle skończy, naprawdę.

Autumn odwróciła się od niej.

- To moja decyzja.

- A co z mottem twojej rodziny? *Virtue mine honour...* nie postępujesz zgodnie z jego znaczeniem.

- Mówisz, że mam zapomnieć o przeszłości, a sama wtykasz mi pamiątki rodzinne - usłyszałem, jak głos Autumn się łamie. - Nawet nie wiesz, jak żałuję tego, że jestem sylfidą. Oddałabym wszystko, by tak nie było. Nienawidzę każdego dnia, żyjąc w tej postaci! - wysyczała. - Nie waż się mieszać do tego mojej rodziny, Ofelio.

- Może po prostu boisz się ją wspominać, Lilidh Elise Maclean?

Sylfida zamarła. Zacisnęła ręce w pięści.

- Odejdź stąd, nim wyślę cię w Eter. Odejdź.

- Jak chcesz... *Lilidh*. Bardziej kierujesz się okrzykiem wojennym swojego klanu prawda? *Bàs no Beatha*.^[1] „Życie albo śmierć”. Tak. Nie zmieniłaś się jednak tak bardzo.

Odpłynęła od brzegu.

- Wiesz, dlaczego ich porywałam?

Autumn spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi.

- Odejdź - warknęła.

- Łamałam Prawa, Przysięgę, jednak nic mi nie jest. Jak tego dokonałam?

Autumn wyprostowała się.

- No jak? Wiem, że pragniesz podzielić się ze mną tą nowiną.

Ondyna westchnęła.

- Jak zwykle trafiasz w sedno. Boreasz mi na to zezwolił. On naprawdę cię nienawidzi. Tak samo jak ja.

Ondyna zanurzyła się powoli w wodzie, zostawiając Autumn samą. Sylfida wpatrywała się przez chwilę w kręgi na wodzie. Jej twarz przypominała białą ścianę.

Zmusiła się do podniesienia ręki. Wykonała skomplikowany ruch dłonią i po chwili zniknęła, rozplywając się w powietrzu. Moją twarz owiał chłodny podmuch wiatru, pachnący jesiennymi liśćmi i wrzosami.

Odwróciłem się i oparłem o chłodny kamień. Miałem mętlik w głowie. Kłótnia z... sylfidą, rozmowa z Violet, a teraz niezbyt przyjacielskie spotkanie Autumn z Ofelią.

Autumn niebędącą Autumn.

Czułem gorycz, chociaż powinienem być na to przygotowany. Sylfida kłamała. Kłamała we wszystkich kwestiach: jak się nazywa, kim jest, kim była.

Nie kłamała w sprawie tego, co dla niej znaczę.

Nic nas nie łączyło. Nawet mnie nie lubiła.

Violet miała rację: nie miało to żadnej przyszłości.

Rankiem byłem zakochany w Autumn. Chciałem spędzić

z nią każdą minutę, wsłuchiwać się w każde jej słowo. Być z nią.

Teraz ją kochałem. Całym cholernym sercem. Nie chciała mnie, to pewne. Jednak mi to nie szkodziło. Byłem gotów chować w sobie wszystkie te uczucia, udawać niezainteresowanego, jeśli jej nie obchodziłem.

Moja mama, kiedy miałem może pięć, sześć lat powiedziała mi, że jest różnica między zakochaniem a kochaniem. Dopiero dekadę później pojąłem sens jej słów.

Jeśli kogoś kochasz, pozwól mu być szczęśliwym, jeśli nawet oznacza to brak twojej osoby w jej życiu.

- Jutro - powiedziała Violet.

Autumn uniosła brodę, widząc, jak kobieta siada naprzeciw niej. Odłożyła *Przygody Sherlocka Holmesa* na bok, próbując przestać się zastanawiać, co takiego widzi w nich Bernard. Jako sylfida była świadkiem wielu ludzkich dziwactw, jednak trwająca od blisko stu laty fascynacja tym detektywem była dla niej niezrozumiała.

Miała jednak nadzieję, że Bernard nie zauważył, że wzięła jedną z jego książek.

- Jutro?

Violet kiwnęła głową. Podała jej szarą teczkę.

- Hamish przekazał mi, że prace są na ukończeniu. Dopełnij swojej części umowy.

Autumn przełknęła ślinę, patrząc na mapę Wester Ross. Czowała się brudna. Ile tajemnic Duchów zdradziła temu człowiekowi? Ile Praw złamała, by osiągnąć to, czego chciała?

Lecz nie tego teraz pragnęła.

Żadna matematyka, fizyka, chemia i inaczej ponazywane

przez ludzi „nauki” nie miały przed nią tajemnic. Autumn wiedziała dużo. Bardzo dużo. Posiadając moc, rozumiała i widziała świat inaczej niż ludzie. Dostrzegała alegorie. Podobieństwa. Prawie czterystuletnia egzystencja pozwoliła jej na poszerzenie wiedzy.

Pomogła profesorowi Angusowi, zdradzając tajemnice swego ludu. Sekrety, których zdobycie stanowiło dla niej życie albo śmierć. Kartę przetargową.

Teraz musiała się odpłacić.

- Zrobię to.

Violet zmrużyła oczy, przypatrując się sylfidzie.

- Wiesz, że nie będzie odwrotu.

- Odwrotu nie było, kiedy uciekłam z Królestwa, pani Enbatch-Meadow. Znałam i znam cenę. Uczynię wszystko, by odzyskać pani męża.

Violet odwróciła od niej wzrok. Serce biło jej tak szybko, że z trudem mogła się opanować. Szybko upiła łyk miętowej herbaty.

To tylko trzy dni. Potem zniknie. Nie będzie jej w życiu Bernarda. Tamta wizja nie powtórzy się, a ona odzyska Johna.

Violet natychmiast zobaczyła twarz Johna z czasów, kiedy spotkała go pierwszy raz. Siedzącego nad książką w uniwersyteckiej bibliotece w Edynburgu. Co by powiedział na jej zachowanie?

„Tylko Bóg ma prawo do decydowania o ludzkim losie, Violet”.

Kobieta mocniej zacisnęła palce na fioletowym kubku.

Szkoda, że wszystko jest inne, niż przypuszczałeś,

pomyślała gorzko.

[1] Z historią klanu Maclean, prócz motta *Virtue mine honour* (z angielskiego: „Cnota mym honorem”), są także związane dwa okrzyki wojenne (ang. slogans) - *Bàs no Beatha* (ze szkockiego gaelickiego: „Życie albo śmierć”) i *Fear eile airson Eachuinn* („Kolejny za Hectora”).

18 Sierpnia Zbyt ciche dni

- Uspokój się, Mistral. To nie twoja wina...

Dziewczyzna wrzasnęła, a jej krzyk odbił się echem po ścianach starej kamienicy. Jej ręce były pełne jej własnej krwi. Umierała...

Ed wiedział, że nie miał innego wyjścia. Jego siostra, prawdziwa siostra, kryła się gdzieś głęboko w środku tej istoty, ale nadal tam była. Lecz nie mógł powstrzymać Wiatru Północy przed krzywdzeniem ludzi. Przed krzywdzeniem jej siostry. Podjął trudną decyzję, której będzie żałować do końca swojego życia.

- Przepraszam cię, Ed - usłyszał nagle. - Za wszystko. Chciałam być Bogiem, a nie jestem nawet człowiekiem - wyszeptała.

Auburn nie przestawał tamować jej rany.

- Jesteś.

Mistral zamrugła.

- Kocham cię, braciszku, wiesz?

Po chwili jej powieki opadły.

- Wiem - odpowiedział cicho detektyw.

Moje palce zawisły w bezruchu nad klawiaturą. Wiedziałem, że nie ma to już sensu. Nie napiszę już niczego. Nie dzisiaj. Nie pomoże nawet kolejna paczka chipsów czy Dr. Peppera. Przełknąłem ślinę i zamknąłem plik, nawet go nie zapisując. Wyłączyłem jednym ruchem laptopa i spojrzałem za okno.

Znów padał deszcz.

Od rozmowy Autumn (czy nadal mogłem ją tak nazywać?) z Ofelią minęło dziewięć dni, w ciągu których nic się nie wydarzyło.

Prócz wizyty Hamisha.

I snów, w których traciłem ją bezpowrotnie, biegnąc, upadając. Zawsze i tak pochłaniała ją ciemność. Nie mogłem jej uratować.

Oraz jej próby rozmowy ze mną, podczas których traktowałem ją tak oschle, jak tylko potrafiłem. Ranienie jej było równoznaczne z ranieniem samego siebie. Z trudem próbowałem sobie wmówić, że robię to dla jej i własnego dobra.

Idiota.

W takich momentach zastanawiałem się, czy przypadkiem Sherlock Holmes nie miał racji co do tego, że miłość jest chemicznym defektem ludzkiego mózgu. Uczuciem przegranych, niebezpieczną wadą. Nie mogłem jeść, spać, w ogóle funkcjonować. Chciałem zapomnieć o niej, a jednocześnie myśl ta przerażała mnie.

Kobiety narzekają na facetów, że są za mało uczuciowi. Może i nie jemy ton lodów po rozstaniu, ale nie znaczy to, że nie mamy jakiejś wrażliwości. Po prostu nie lubimy, jak wie o tym cały świat. Niektóre rzeczy lepiej zatrzymać dla siebie.

- Bernardzie...

Błyskawicznie odwróciłem się na krześle i zamarłem.

Pomiędzy jej brwiami pojawiła się znajoma zmarszczka. Martwiła się. Fioletowe oczy wpatrywały się we mnie z oczekiwaniem. W ciągu tych pięciu dni, kiedy ja traciłem chęć do życia, Autumn balansowała na granicy.

Czasami widywałem ją szczęśliwą.

Potem smutną.

Następnie podekscytowaną.

Pełną nadziei. Podenerwowaną.

Całe spektrum emocji.

- Czego chcesz? - mój głos nie był tak odpychający, jakbym chciał. Odchrząknąłem.

- Wychodzimy z Violet... załatwić pewną sprawę. Chciałam ci przekazać, że jeśli chcesz...

- Co chcesz?

- Z kimś porozmawiać, to na dole zastaniesz Hamisha. Dokonałiśmy już znaczących postępów w jego projekcie.

Kiwnąłem głową.

- To dobrze.

Autumn oparła rękę na framudze.

- Przepraszam.

Podniosłem głowę.

- Za co?

- Za kłótnię. Wtedy... na Ben Shieldaig.

Uśmiechnąłem się krzywo. Kłamała czy mówiła prawdę?

- Nic takiego. Wiesz... to norma dla mnie.

„Mnie i Bernarda nic nie łączy.”

Nie spytałem, co zamierzają zrobić razem z Violet. Po co? Przecież i tak nie wyznałaby mi prawdy.

- Możesz już iść - odwróciłem od niej wzrok i potarłem bezwiednie bliznę. Zmarszczka między brwiami Autumn jeszcze bardziej się pogłębiła i po chwili usłyszałem, jak sylfida zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Odczekałem piętnaście minut po tym, jak Violet z Autumn wyszły z domu. Kierowały się w tę samą stronę, co ja pięć dni temu, gdy śledziłem sylfidę. Nie miałem jednak pojęcia, czemu tam poszły.

Gdy znikły z pola widzenia, zdecydowałem się zejść na dół, do salonu. W „swoim” fotelu zastałem Hamisha.

- Pan Bernard Charles Oaken. Jakże miło pana widzieć - jego olbrzymie oczy skierowały się na mnie.

Pospiesznie rzucił na stół jakąś teczkę. Założył jedną nogę na drugą i dostrzegłem, że dziś znów miał na nogach czarne japonki i skarpetki nie do pary. W kaczuszki i w pionowe paski.

Widocznie geniuszom wszystko wolno.

- Nie wygląda pan za dobrze - dodał, gdy usiadłem na kanapie.

Zwykle nieskazitelnie czysty stolik kawowy Violet został

zawalony dziwaczными obliczeniami, tabelami, wykresami oraz księgami. Przełknąłem ślinę.

- Problemy ze snem, sądząc po pańskich cieniach pod oczami.

- Trafił pan w dziesiątkę - dałem za wygraną.

- Au. A co się panu śni?

Szybko wziąłem ze stołu byle jaką kartkę. Po chwili zauważyłem, że to meteorologiczna mapa Wester Ross.

- Autumn - wymówiłem jej imię z trudem - wspominała mi, że badania są już na ukończeniu.

- Tak. Dzięki jej pomocy w ciągu dwudziestu czterech godzin będę mógł przewidzieć następane położenie Bramy dwudziestego pierwszego sierpnia.

- Jak pan tego dokonał? Obliczeń, które wskażą, gdzie może powstać Brama?

- To fizyka... ale nie będę ci tego tłumaczył. Za dużo zachodu. Nie obrażam twojej inteligencji, ale... jesteś trochę za młody.

- Nie obraził jej pan - burknąłem.

Odłożyłem kartkę na stół. Zauważyłem, że Angus patrzył na mnie z zainteresowaniem.

- Bramy to niezwykle potężne zjawiska, panie Oaken. Całkowicie uzależnione od Eteru. Zderzenie się cząsteczek tej substancji wytwarza olbrzymią, nieokiełznaną energię. Rozprasza czas.

- Mówiąc prostym językiem, mamy do czynienia z tunelem czasoprzestrzennym, tak?

- W pewnym sensie tak. Jesteś bystry.

- Więc czemu Autumn szuka Bramy? Chce cofnąć czas czy coś?

- Wydaje się pan gorąco zaangażowany w sprawę tej sylfidy.

Wzruszyłem ramionami.

- Jestem ciekaw.

Hamish zmrużył oczy.

- Nie mam pojęcia. Nie wtrącam się w sprawy Duchów.

- Przysługa za przysługę, tak?

- Coś w tym rodzaju.

Autumn się martwi.

Pokręciłem głową. Niech sama sobie z tym poradzi, powiedziałem sobie w myślach. W ciągu tych dziewięciu dni próbowałem wszystkiego, by tylko o niej nie myśleć: przeczytałem wszystkie książki, które ze sobą przywiozłem, jednak nigdzie nie mogłem znaleźć *Przygód Sherlocka Holmesa*. Pewnie zostawiłem ją w domu. Szkoda, lubiłem ją.

- Twoja babka mówiła mi, że znalazłeś Autumn nad brzegiem morza, tak? - spytał mnie Hamish.

- Dwudziestego drugiego lipca - odpowiedziałem.

- W dniu pełni Księżyca, w Święto Róży. Badając ruch Eteru, trzeba go uwzględnić - mruknął pod nosem. - Następna pełnia wypada za sześć dni.

Coś skręciło mi się w żołądku.

- Violet i Autumn poszły do ondyn, prawda? - spytałem. Dopiero teraz to sobie uświadomiłem.

Hamish się skrzywił.

- Autumn obiecała pomóc Violet w odzyskaniu męża.

Aczkolwiek uważam, że to niemożliwe. Ale Violet jest uparta. Przypominasz mi ją

- Nauczył pan ją chiromancji.

- Częściowo. Pomogłem, ale do dziś Violet czyta tylko przeszłość i miewa przebłyski przyszłości. To trudna sztuka.

Zacisnąłem usta. Nadal myślałem o Autumn. Widocznie moje zmartwienie musiało być widoczne, ponieważ usłyszałem:

- Coś pana męczy, panie Oaken?

- Nic. Serio. Nic.

Profesor rozsiadł się głębiej w fotelu i podrapał się po brodzie.

- Słyszał pan o Strażnikach?

Wyprostowałem się.

- Strażnikach?

Na twarzy profesora pojawił się szeroki uśmiech.

- Widzisz... pamiętasz legendę o Danugai, ludziach i Duchach, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Posiadasz Wzrok. To rzadki dar, niewielu ludzi go ma. Otrzymać go można tylko na dwa sposoby: albo urodzić się z nim albo... nabyć.

- Nabyć? W jaki... sposób?

- Pan, panie Oaken, nabył Wzrok poprzez pocałunek. Chociaż i tak myślę, że to tylko przyspieszyło jego ujawnienie, ponieważ jest pan osobą sensytywną - takie informacje przekazała mi pańska babka. Pocałunki Duchów to wielka rzadkość. Są niespotykane. Jakaś sylfida obdarowała pana

wielkim zaufaniem, panie Oaken.

Zaufanie? Zmarszczyłem brwi. Wątpiłem w to, że Autumn lub Lilidh może nim kogokolwiek obdarzyć.

Ona przecież zawsze kłamała.

Jednak i tak ją kochałem.

- Ale... jak to się ma do tych Strażników? - spytałem.

Hamish przypatrywał mi się z uwagą.

- Wracając do nich... Są ludzie, których przeznaczenie związane jest ściśle ze światem Duchów. Bywa czasami, że jakiś Duch zagubi się, straci kontrolę nad samym sobą. Wtedy pojawiają się Strażnicy. To przewodnicy.

Uświadomiłem sobie, że mam suche gardło.

- Wydaje się, że jest pan mocno związany z panną Hawthorne - Hamish wyjął z kieszeni spodni papierosa i zapalił. - Jednak Strażnicy to wyjątki, osobliwości. Od tysięcy lat nie spotkano żadnego. Posiadają ich tylko Duchy, których nadejście odmienia świat. Mówi się, że ich pojawienie się to zwiastun ogromnych zmian.

Spojrzałem w bok.

- To bardzo ciekawe - powiedziałem. - Serio.

Za żadne skarby nie opowiem mu o snach. Nigdy. Ani o tej dziwnej, nie-telepatycznej więzi pozwalającej mi na odczuwanie emocji Autumn.

Nie.

- Mam pewną teorię - usłyszałem głos Hamisha. Zacisnąłem usta. - Zakochał się pan.

Wypuściłem głośno z siebie powietrze. Czy naprawdę wszyscy muszą mi to wytykać?

- Wnioskuje, że to potwierdzenie.

Spiorunowałem go wzrokiem.

- Nie dziwię się panu, panie Oaken. Ta sylfida to piękna istota.

- Kłamliwa - burknąłem.

Hamish zaniósł się śmiechem.

- No cóż, każdy ma własne przymiotniki.

Wpatrywałem się tępo w stół, rozmyślając o słowach Angusa odnośnie Strażników.

Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami. Niepokój, jaki pojawił się w moim ciele, zamienił się paniką. Przeniosłem się daleko od własnego ciała, płynąłem gdzieś niezrozumiałym dla mnie prądem.

Do Autumn.

- Kiedy wreszcie pani zrozumie, że one tego nie zrobiły?! Zgodziłam się pomóc odnaleźć pani męża, ale tutaj go NIE MA. Umarł.

- Łżesz, sylfido.

Obraz wyostrzył się i wreszcie przestało kręcić mi się w głowie. Stałem nad brzegiem Loch Shildaig: szare chmury kłębiły się nad wsią, a morze było wzburzone. Niecałe trzy metry ode mnie stały, kłócąc się ze sobą, Autumn i Violet.

- Hej! - krzyknąłem. - HEJ!!!

- Nie okłamuję pani. Jestem uczciwa. Pani mąż nie żyje. Ondyny nie kłamały. Jest po Drugiej Stronie, w Zaświatach.

- One go porwały. Nie można im wierzyć. Szczególnie po tym, co zrobiła Ofelia.

- Ona nie...

Podszedłem do nich. To było niemożliwe, bo jak?

- Autumn - powiedziałem.

- Jest...

Sylfida otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Obejrzała

się wokół, jednak jej wzrok prześlizgnął się przede mną, jakbym nie istniał.

- Co jest?

Autumn wzdrygnęła się i znów popatrzyła na babkę.

- Nie kłamię, pani Enbatch-Meadow. Jaki miałabym w tym cel?

Podniosłem rękę do twarzy Autumn i próbowałem jej dotknąć. Dziewczyna znów zamarła, lecz stała się rzecz jeszcze dziwniejsza: moja dłoń przeszła przez nią.

Boże, byłem duchem?

Zamachałem Autumn ręką przed oczyma. Czułem mieszaninę emocji, jakie się w niej kłębiły: konsternację, żal.

Co się ze mną działo? Na początku dziwne sny, później odczuwanie jej uczuć, głosy, a teraz to?

- Myślę, że jakiś byś miała. Wykorzystałaś mnie. Zawsze byłaś kłamliwa. Egoistyczna.

- Nie przeczę, jednakże nie okłamałabym pani.

- Ile warte są przysięgi? Sama jesteś tego świadoma. Są składane po to, by je łamać.

Autumn skrzywiła się.

- Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy, by odnaleźć pani męża. Użyłam czarów zakazanych przez mój lud, by wydobyć te informacje. Twierdzi pani, że ją okłamuję?

- Tak.

Włosy sylfidy uniosły się wokół jej twarzy, a oczy zajaśniały ciemnym, ciemniejszym niż kiedykolwiek fioletem. Ten widok był straszliwy.

- To już pani problem. Nasze drogi rozchodzą się tutaj.

Violet złapała ją za rękę. Autumn spojrzała na nią zaskoczona.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedziała. - Chcę swojego męża. Z powrotem. Oddaj mi go!

- Ale jego nie ma! - w oczach Autumn dostrzegłem panikę i współczucie. - Nie żyje. Nie ma go tu.

Violet puściła jej dłoń. Autumn zaczęła się cofać.

Babka wyciągnęła przed siebie rękę.

- Chcesz, bym wypowiedziała te słowa? Chcesz usłyszeć ostatnią modlitwę w swoim życiu? Skończyłabym twoją eskapadę do naszego świata. Może nie jestem *ban-draoidh*, ale znam odpowiednie formuły, by posłać cię w Eter, Duchu.

- Niech pani tego nie robi!

Sylfida padła na kolana, zakrywając sobie uszy dłońmi.

- Pani mąż nie żyje! Nie mogę sprowadzić go z powrotem!

- Ale sama chcesz cofnąć się w czasie, prawda? Jesteś egoistyczną dziewczuchą, myślącą tylko o sobie!

Przez twarz Autumn przeszedł grymas bólu. Byłem bezsilny, bezużyteczny. Tak pragnąłem coś zrobić, jednak mogłem tylko stać.

Wtedy Violet wypowiedziała niezrozumiałe dla mnie słowa. Sylfida nie broniła się, trzymając ręce na karku, jakby była skazana na śmierć. Zrozumiałem, że pogodziła się z tym, co ma nadejść.

Jednakże ja nie mogłem. Nie mogłem pozwolić, by zmieniła się w Eter.

Chciałem zwrócić na nią swoją uwagę, gdy niespodziewanie Autumn podniosła nienaturalnie głowę

i otworzyła szeroko oczy.

Były całe czarne.

Wszystko stało się w ułamku sekundy.

Podmuch wiatru, jaki wyszedł od niej okręgiem, powalił na kolana Violet, omijając mnie. Ręce sylfidy, bezwładne jak u marionetki, rozchyliły się na boki. Autumn zaczęła unosić się ponad ziemię, a wokół niej, jak kiedyś kruki, coraz szybciej zaczęło krążyć powietrze z kolorowymi błyskami. Oczekiwałem, że całe jej ciało jak zwykle zajaśnieje złotoczarnym blaskiem, lecz tak się nie stało.

Przez Autumn przenikała tylko czerń.

Natychmiast wiedziałem, że coś jest nie w porządku.

- AUTUMN! - krzyknąłem. - AUTUMN!

Odgłosy wiatru wzmożyły się jeszcze bardziej, ale nie ustawałem. Musiało mi się udać.

Musiało. Ona jakoś wyczuwała moją obecność.

Jako że istniałem w jakiejś niematerialnej postaci, nie działał na mnie żaden żywioł. Minąłem omdlałą Violet i ruszyłem ku epicentrum kataklizmu - Autumn.

Siła, jaka od niej biła, była tak potężna i straszliwa, że nie można było tego opisać. Poprzez mrok, jaki wydzierał się z jej ciała, z trudem mogłem ją odnaleźć.

Kim naprawdę była Autumn? Dziewczyną zamienioną wbrew woli w sylfidę? Czy kimś innym?

Huragan przybrał na sile, wrywając kawałki ziemi. Autumn unosiła się coraz wyżej i wyżej...

- To nie jesteś ty! - wrzasnąłem.

Autumn może była kłamliwa. Może i była egoistyczna, ale

kochałem ją.

Musiałem ją ochronić.

Przed samą sobą.

- Nie pozwól się temu kontrolować!

Spojrzałem w górę. Może i mi się zdawało, ale wiatr jakby zwolnił.

- Proszę cię, Autumn! Jesteś przecież opiekunką tego miejsca! Niszczysz je!

Mrok zaczął się cofać w ciało dziewczyny.

- Sama mówiłaś, że nienawidzisz być sylfidą! To ty sama decydujesz o sobie!

Wtedy wszystko ucichło.

Autumn leżała pośrodku kręgu wyrwanej ziemi, ciężko oddychając. Podbiegłem do niej, próbując pomóc jej wstać, ale nadal nie mogłem jej dotknąć. Czułem jednak bijące od niej lodowate zimno. Dostrzegłem znikającą w jej ciele różnobarwną substancję.

Czym była?

Dziewczyna podniosła głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Z jej wielkich oczu znikła czerń i znów miały one odcień głębokiego fioletu.

- Bernardzie... - wyjąkała słabo, zmieszana.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałem, próbując dotknąć jej twarzy. Z jej oczu popłynęła łza - Wszystko.

Potem znów pochłonęła mnie ciemność.

- Oaken! Obudźże się wreszcie, chłopaku!

Poderwałem się, czując na twarzy uderzenie. Obraz znów się wyostrzył i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była broda Hamisha.

- Obudźże się! - zaczął mną potrząsać.

Zamrugalem, próbując się przyzwyczaić do nagłej jasności i pisku w uszach. Wszystko wokół mnie wirowało.

- Niech pan przestanie - jęknąłem.

Angus puścił mnie i zwałem się na podłogę. Cała ta podróż poważnie mnie nadwyrężyła.

- Autumn - powiedziałem.

- Co? Zemdlełeś i teraz bredzisz o tej sylfidzie?

Zerwałem się i pobiegłem na górę, ignorując krzyki Hamisha. Pchnąłem drzwi i poczułem, jak moją twarz owionął zimny wiatr.

Okno było otwarte na oścież i z trudem uświadomiłem sobie, co leży na moim laptopie.

Fioletowa róża.

- Co ci strzeliło do głowy, młodzieńcze?!

Ze ściśniętym gardłem podszedłem do komody i wziąłem różę w rękę. Była identyczna jak tamta, którą widziałem, gdy oboje z Autumn siedzieliśmy na werandzie.

Nie miała kolców.

- Musi pan znaleźć moją babcię - powiedziałem. - Jest nieprzytomna, potrzebuje pomocy.

Odwróciłem się. Hamish rozłożył ręce.

- Tak po prostu? Skąd to wiesz?

Przewróciłem oczami. Nadal czułem się osłabiony.

- Powiedzmy, że... hipotetycznie... miałem wizję - powiedziałem, ściskając skronie. Pojawił się w nich zimny ból. Nie wróżyło to nic dobrego.

- Ty...

- Nie mamy czasu! - krzyknąłem. - Jaki jest z pana, do cholery, pożytek?! Niech pan robi, co mówię!

Spojrzałem na niego spod nastroszonych brwi. Byłem wściekły. Na babkę, na Angusa, na Autumn.

- A ty? - spytał cicho. - Co zamierzasz w tym czasie zrobić?

Drgnęła mi powieka i popatrzyłem na różę. W trakcie tej podróży dowiedziałem się więcej, niż chciałem. Już wcześniej miałem wskazówki przed oczyma, jednak dopiero teraz uświadomiłem sobie, co chce uczynić sylfida.

- Muszę powstrzymać Autumn przed otwarciem Bramy.

18 Sierpnia Rozmowy

- Na pewno potrafisz to prowadzić? To dość stara maszyna.

Przełknąłem ślinę. Wielki, niewygodny kask utrudniał mi widzenie, lecz Amanda spojrzała mi w oczy.

- Jesteś podenerwowany.

- Naprawdę dziękuję, ale muszę jechać. To pilne.

- O co chodzi?

Zacisnąłem ręce na gazie. Nie mogłem dłużej czekać. Hamish już pewnie dawno przyprowadził Violet do domu, lecz Autumn była zupełnie innym przypadkiem.

Ona mnie potrzebowała, chociaż o tym nie wiedziała.

Nie potrafiłem wytłumaczyć całej sprawy Hamishowi: nie opowiedziałem mu o snach, głosach ani uratowaniu Autumn. Musiał jednak odczytać z moich oczu coś, co nakazało mu działać zgodnie z moimi wskazówkami.

- O Autumn - odpowiedziałem szczerze. - Mogę jechać?

Nie czekając, wcisnąłem gaz w motorze. Amandzie ledwo udało się uskoczyć mi z drogi.

Jechałem tak szybko, że cały obraz po bokach zamazał się

w jednej chwili. Ucieszyłem się, że zwykle drogi Wester Ross są praktycznie nieużywane.

Mijałem nieliczne samochody, przekraczając dozwoloną prędkość. Może to był przypadek, ale nie spotkałem żadnej policji. Zależało mi tylko na jednym – dostać się do Kinlochewe.

Autumn zmierzała tam, by zdobyć informację, dla której uciekła z Królestwa Powietrza – o lokalizacji Bramy. Tej jedynej, której potrzebowała do osiągnięcia swojego celu.

A ja wiedziałem jakiego.

Mówiła o tym cały czas. Zauważyłbym to, gdybym nie był tak głupi. Powiedziała to, rozmawiając z Ofelią.

Autumn najbardziej na świecie chciała ponownie być ze swoją rodziną.

Brama była potężnym obiektem magicznym, tunelem czasoprzestrzennym w pewnym sensie. Mając pojęcie, co się wydarzy, Autumn mogła zmienić własne przeznaczenie.

Do czego nie mogłem dopuścić.

Nie chodziło tu tylko o moje uczucia do niej. Nie. Musiałem jej bronić przed nią samą. Musiałem ochronić ją przed uczynieniem czegoś, co mogłoby sprowadzić na wszystkich zagładę.

Skręciłem, widząc w oddali tablicę informującą o wjeździe do Kinlochewe. Cały dystans osiemnastu mil przejechałem w dwadzieścia minut.

Motocykl zawył wściekle. Po raz pierwszy w życiu podziękowałem szkole za kursy nauki prowadzenia pojazdów.

Minąłem dom Hamisha. Głośno zahamowałem. Dopiero

teraz uświadomiłem sobie, że słyszę bicie własnego serca.

Cisnąłem motor na krawężnik i, nie zawracając sobie głowy domofonem, przeskoczyłem furtkę, ściągając kask.

- Autumn! - wrzasnąłem, biegnąc w stronę domu.

Nikt mi nie odpowiedział.

Nacisnąłem klamkę, jednak drzwi były zamknięte. Zacisnąłem usta.

Zrób to.

Wziąłem głęboki oddech i odsunąłem się. Po chwili naparłem na drzwi ramieniem. Wyważenie zaboląło, jednak poskutkowało.

- Autumn! Wiem, że tu jesteś!

Przystanąłem. Cisza, jaka panowała w domu, była złudna. Ona tu była. Wiedziałem to.

Wiedziałem to, co jest zatajone.

Wszedłem do salonu, zastając w fotelu nieprzytomną gosposię Hamisha, Rían. Natychmiast sprawdziłem jej puls. Był wyraźny. Kobieta pogrążona była w głębokim śnie i wystarczyło tylko na nią spojrzeć, by się przekonać, że to sprawka Autumn.

Zostawiłem Rían, instynktownie spoglądając na górę.

- Mam cię - wymamrotałem.

Ruszyłem na piętro wąskimi, dębowymi schodami, czując, jak z każdym następnym krokiem powietrze się oziębia. Teraz, kiedy znałem motyw ucieczki Autumn (Lilidh), na jej osobę padło zupełnie inne światło.

Ale nadal nie mogłem wybaczyć jej tego, że mnie okłamywała.

Zimno przenikało mnie na wskroś. Był to wystarczający dowód na to, że tu jest. Obejrzałem rząd zamkniętych drzwi, wiedząc, że mam tylko jedno podejście na odnalezienie tych właściwych.

Zacząłem chodzić pod drzwiami, przypatrując im się w milczeniu. Autumn przebywała gdzieś tutaj. Była blisko.

Na końcu korytarza dostrzegłem lustro. Zobaczyłem w nim wysokiego, zbyt piegowatego oraz chuderlawego chłopaka z ciemnobrązowymi, lekko kręconymi włosami i niebieskimi oczami. Jednak odbicie nie było wyraźne. Coś je zniekształcało.

Podszedłem do lustra, przypominając sobie słowa mamy: „Patrząc w lustro, nie dostrzegasz prawdy. Dostrzegasz upięszony fałsz. Prawdę widzi tylko ludzkie serce”.

Stałem przed lustrem. Zrozumiałem, czemu wydawało mi się inne. To właśnie stąd pochodziło całe zimno. Pokrywała je delikatna warstwa lodu.

Dotknąłem tafli lustra, a mój palec zostawił na nim ślad. Byłbym zaskoczony, gdyby profesor nie miał tajnego schowka na swoje rzeczy.

- Autumn - zacząłem. - Wpuść mnie. Widziałem, co się stało. Violet nic nie jest. Jednak ty... nie możesz otworzyć Bramy. Nie zmienisz biegu czasu. Ani swojego przeznaczenia.

Na krawędziach lustra pojawił się szron. Ukląknęłam.

- Proszę cię. Twierdzisz, że nikogo nie potrzebujesz. Wiem, że chcesz uchodzić za niezależną. Taka jesteś. Sam chciałbym taki być.

Odchrząknęłam.

- To, że przyjmiesz od kogoś pomoc, nie uczyni cię słabą. Kiedyś sam tak myślałem. Teraz wiem, że tylko silna osoba może ją przyjąć.

- Będę czekał tak długo, jak będzie trzeba - dodałem. - Musimy porozmawiać.

Pochyliłem głowę. Siedziałem tak z minutę, słysząc tylko bicie własnego serca.

- Lepiej się odsuń - usłyszałem jej głos.

Wstałem z klęczek i zobaczyłem, jak lustro się uchyła. W środku, w małym kwadratowym, zawałonym książkami pomieszczeniu siedziała Autumn. Ściany pokryte były grubym szronem, a w zimnym, suchym powietrzu unosiły się kryształki lodu.

- Więc widziałeś - powiedziała, oplatając się ramionami. Jej oczy były czerwone od płaczu.

- No i co z tego? - odpowiedziałem, używając tych samych słów, które wypowiedziałem, kiedy dowiedziałem się, że jest sylfidą.

Wpakowałem się do pomieszczenia, sadowiąc się na podłodze naprzeciw niej. Było mi przeraźliwe zimno, ale nie zwracałem na to uwagi.

Autumn była ważniejsza.

- Jestem potworem - wyszeptała. - Chcę umrzeć. Niech Boreasz mnie znajdzie i z powrotem zamieni w Eter. Świat będzie bezpieczniejszy beze mnie.

- Świat nie będzie bezpieczniejszy. Straci tylko wspaniałą osobę, która czyni go lepszym.

- Zrobiłam krzywdę Violet - wyłkała. - Ślubowałam, że

będę chroniła ludzi, a sama teraz...

- Proszę cię. Widziałem... co ona chciała ci zrobić.
Broniłaś się.

- A co się potem ze mną stało? Wytłumaczysz mi to? -
spytała.

Wzięłam głęboki oddech.

- To nie byłaś ty.

- Właśnie. Kiedyś czasami miewałam takie ataki, ale tylko
na krótkie chwile, tymczasem odkąd uciekłam... straciłam nad
nimi panowanie. Wiesz o tym, że nie śnię. Jestem tylko
materialną ułudą. Pustym... naczyniem. Tworzy mnie Eter.
Powinnam pozwolić mu wrócić do pierwotnej postaci.

- Nie mów tak.

- Kogo obchodzę? Jestem zła. Niebezpieczna.

- Mnie obchodzisz.

Autumn wzięła głęboki oddech.

- Wiem, dlaczego chcesz odnaleźć Bramę - powiedziałem.
- Chcesz stać się człowiekiem.

Sylfida zacisnęła oczy, z których popłynęły łzy. Kiwnęła
głową.

- Nie możesz tego zrobić.

Podniosła głowę, a w jej oczach pojawił się ból.

- Czemu? Co mi w tym przeszkodzi?

Serce biło mi coraz szybciej.

- Nic ci nie przeszkodzi. Jednak nie możesz tego zrobić.
To przeszłość. Tak musiało być.

- „Tak musiało być?!” Bernardzie... ja nigdy nie chciałam
być tym, czym jestem. Chcę umrzeć. Chcę umrzeć i się

uwolnić.

- Od czego? - jej słowa mnie bolały, ale nie dawałem tego po sobie poznać.

Autumn pochyliła głowę.

- Zawsze twierdziłeś, że kłamię. To nieprawda. Kłamałam... byś nie dowiedział się, kim jestem. Znienawidziłbyś mnie.

- Uwierz mi, nie potrafiłbym - wyznałem.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

- Nie nazywam się Autumn. Naprawdę...

- Nazywasz się Lilidh Elise Maclean, tak, wiem. Podśluchiwałem waszą rozmowę z Ofelią. Także mam wiele tajemnic, o których powinienem ci powiedzieć.

Usta Autumn ułożyły się w cienką linię.

- Nikt z nas nie jest święty, Autumn.

Odchrząknęła. Zauważyłem, że w pomieszczeniu zaczęło robić się cieplej.

- Dobrze... Widzisz... znasz szkockie klany?

Kiwnąłem głową.

- Urodziłam się latem 1631 roku jako drugie dziecko głowy klanu Macleanów, Sir Hectora.

Jako dziecko... byłam dość konfliktowa. Moje rodzeństwo, Roland i Rosalind, stroniło ode mnie, a członkowie klanu unikali. Nigdy nie rozumiałam czemu. Swobodnie czułam się tylko w towarzystwie swojej matki, Lady Elise.

Pewnej jesieni, gdy razem udałyśmy się na wędrowkę po okolicy, wyznała mi pewien sekret. Powiedziała, że jestem przeklęta.

Poczułem, jak zmienia się wyraz mojej twarzy.

- Od tamtego czasu zauważyłam, że często odpowiadam na pytania, których ludzie mi nie zadawali. Że siłą umysłu mogę przesuwac przedmioty. Zaczęłam odkrywać w sobie pokłady mocy, których nie posiadał żaden człowiek.

Autumn przełknęła ślinę.

- Matka prosiła mnie, bym nikomu o tym nie wspominała, nikomu nie pokazywała. Jednak ja byłam... zbyt dumna, byłam zadowolona z tego, że władam taką mocą. Nie uważałam, że to przekleństwo. Uważałam to za dar - wyszeptała tak cicho, że można było pomyśleć, że się to sobie wyobraziło. - Ludziom, którzy wcześniej wytykali mnie palcami, zaczęłam uprzykrzać życie. Nie, nie uprzykrzać. Zmieniałam je w piekło. Moc dawała mi władzę. Im częściej jej używałam, tym coraz trudniej było mi nad sobą zapanować. Stałam się samolubna, zarozumiała.

Kochałam i zarazem nienawidziłam samej siebie.

Pewnego dnia wszystko się zmieniło. Nasz zamek został zaatakowany przez Klan Campbellów.

Niewiele pamiętam. To... było straszne. Czasami nadal słyszę krzyki, ferwor walki, widzę moją ginącą rodzinę. Która mnie nienawidziła i vice versa, ale oni... byli moją rodziną.

Oddychała z trudem.

- Wtedy dostałam pierwszego... poważnego ataku. Nie miałam pojęcia, co się ze mną działo. Czułam tylko, że jakaś siła przejmuje panowanie nade mną. Nie mogłam myśleć, nie mogłam nic zrobić. Byłam bezradna. Nigdy nie wierzyłam matce, gdy ta twierdziła, że jestem przeklęta. Aż do tamtego

dnia.

- Co się stało? - wyszeptałem.

- A co myślisz mogło się stać? - spytała Autumn. - Sama nie mam pojęcia. Gdy się obudziłam, leżałam pośród poległych, a zamek leżał w gruzach. Nie wiedziałam, co stało się z moją rodziną i innymi członkami klanu. Przeze mnie Campbellowie prawie zdobyli Duart.

Zamilkła.

- Spanikowałam. Uciekłam.

Serce mi zamarło.

- Zrozum mnie, Bernardzie. Byłam, *jestem* zła. Widzisz to, co chcesz we mnie ujrzeć. Przyjęłam przekleństwo Szatana jako błogosławieństwo i Bóg zesłał na mnie karę. I ona trwa nadal - jej głos nie był już nawet szeptem, tylko odległym echem. - „Nie ma pokoju dla bezbożnych”^[1] jak napisał Izajasz. Była noc. Biegłam jak najdalej od zamku, wzdłuż brzegu morza. Gonili mnie Campbellowie. Zobaczyli mnie. Byłam tak przestraszona i ten jeden nieuważny krok...

Przymknęła oczy.

- Wpadłam do morza. Nie umiałam pływać. Reszty chyba możesz się domyślić.

Przełknęłam ślinę. Autumn kontynuowała.

- Niestety, nawet śmierć mnie od tego nie uwolniła - zaczęła kiwać się do przodu i do tyłu. - Gdy się ocknęłam, uświadomiłam sobie... że czuję się inaczej. Lżej. Potężniej.

I to mnie przeraziło.

Wtedy poznałam Paraldę.

Wyjaśnił mi, co się wydarzyło. Przechwycił moją duszę,

nim dostała się do Zaświatów. Przemienił, odbierając mi ją, zmieniając mnie w sylfidę.

- Czym są Zaświaty?

- To kraina zmarłych. Po śmierci idą tam wszystkie dusze. Piękne, cudowne, miejsce, którego nigdy nie będzie dane mi oglądać - żal w jej głosie był wyczuwalny. - Nie wiedziałam, co myśleć. Jeśli dostałabym się do Zaświatów, spotkałabym swoją rodzinę. Paralda, przemieniając mnie w Ducha, pozbawił mnie tej możliwości. Nie mamy tam wstępu, ponieważ nie posiadamy duszy. Zachowałam ludzką formę, lecz nie byłam już człowiekiem. Paralda wyznał mi, że jeśli będę odpowiednio się zachowywać, jeśli stanę się wzorową opiekunką, poświęcę się opiece nad ludźmi, moje grzechy pójdą w niepamięć. Jednakże przedtem musiałam coś zrobić.

- Co?

Autumn spojrzała w przestrzeń.

- Tuż po tym, jak złożyłam Przysięgę i skończyłam się szkolić na opiekuna, Paralda przekazał mi, że mój ojciec, matka oraz Rosalind... żyją. Roland został zabity. Byłam szczęśliwa, wiedząc, że nic im się nie stało, chociaż śmierć brata złamała mi serce. Do czasu, gdy dowiedziałam się, co muszę uczynić. Paralda powiedział mi, że, jeśli chcę zostać pełnoprawnym opiekunem i Duchem, muszę... muszę...

Złapała się za serce, a przez jej twarz przeszedł grymas bólu.

- Co musisz?

Spojrzała na mnie. Walczyła z sobą.

- Musiałam wymazać im pamięć - wyszeptała.

Zamilkłem.

Dlatego nienawidziła tego robić. Boże...

- Ty? Nie mógł zrobić tego żaden inny Duch?

Pokręciła głową.

- To był dowód mego oddania Matce. W sumie i tak żyło im się lepiej beze mnie. Przeklętej - przyłożyła sobie dłoń do ust. - Zrobiłam to - powiedziała. - Zabrałam im wszystkie wspomnienia o sobie. Lilidh Elise Maclean przestała istnieć.

Autumn westchnęła ciężko.

- Nie mam pojęcia, czemu Paralda mnie przemienił, chociaż pytałam go o to wielokrotnie. Nigdy mi nie odpowiedział. Nikt mi nic nie powiedział. Byłam samotna. Zaprzyjaźniłam się wtedy z Ofelią - ona także została przemieniona, przez Niksę. Była mi bliska, naprawdę. Obie służyłyśmy ludziom. Duchy, jeśli odpowiednio długo to robią, mogą awansować - powiedziała. - Mogłam stać się Aniołem.

- Aniołem?

- Tak. To Duch o najniższej randze. Nigdy nie zostałam awansowana z nowicjatu, zawsze byłam tylko *patronusem*. Chciałam stać się prawdziwym Duchem, a nie jego żalosną imitacją. Chociaż teoretycznie byłam jedną z nich, tak naprawdę nie należałam do tamtego świata.

Przypomniałem sobie jej świetlistą aureolę wokół głowy.

- Egzystowanie jako Duch Żywiołu było... dość dziwne. Myślałam, ale nie istniałam. Istniałam, ale tak naprawdę nie myślałam. To było jak... jak to nazywacie tutaj, na Ziemi? Narkotyk? Tak, narkotyk. Po Przemianie moje ataki ustąpiły. Związały je Prawa i Przysięga. Naprawdę chciałam być

Duchem Powietrza, nie zrozum mnie źle. Chciałam zapomnieć o rodzinie. Być pustym naczyniem, marionetką w rękach Boreasza. Inni nie odczuwali tego jak związania, na przykład Ofelia. Lecz, mimo szczerych chęci, buntowałam się. Przecież oni mnie nie pamiętali, więc czemu nadal za nimi tęskniłam, mimo że byłam... przez nich wyklęta?

Patrzyła nieprzytomnie w ścianę.

- Może tak naprawdę nie ja się buntowałam, ale coś innego we mnie. Moje przekleństwo.

Zamilkła.

- Trwałam, patrząc, jak zmienia się ludzki świat. Często podczas swoich astralnych podróży podglądałam ludzi, co takiego robią w wolnym czasie. Patrzyłam, jak czytają książki, jak rozmawiają, jak się starzeją. Mają kogoś bliskiego. Nic z tego nie mogłam mieć.

Uświadomiłam sobie, że ponownie chcę zostać człowiekiem, odzyskać rodzinę. Nie chciałam być sylfidą. Byłam gotowa oddać swoją wzorową posługę i szansę na bycie Aniołem. Rozmawiałam z Paraldą na temat mojego przypadku. Odprawił mnie, mówiąc, bym nie była głupia. Dostałam przecież szansę na nowe życie.

Wtedy jeszcze bardziej zapragnęłam zostać człowiekiem.

W Królestwie Natury, w Avalonie, najważniejszej i najlepiej strzeżonej części Dworu, znajdują się Sale. Sale to zbiór wiedzy dostępny dla każdego Ducha. Zaczęłam szukać w nim odpowiedzi na swoje pytania. Poszukiwania trwały długie lata, ponieważ Duchy nie mają zbyt wiele czasu dla siebie, ale wreszcie je znalazłam.

Autumn wzięła głęboki oddech. Zrozumiałem, że zimno znikło.

- Każdego roku w pierwszą lipcową pełnię odbywa się Święto Róży, podczas którego odnawiane są Przysięgi. Róża to symbol samej Danugai, jeden z dwunastu najświętszych kwiatów, razem tworzących Krąg Dwanaściorga. W Królestwach używamy kalendarza kwiatów - wyjaśniła. - Róża jest pierwszym z nich. Każdy miesiąc jest nazwany inną nazwą, jednakże u nas trwa od pełni do pełni Księżyca. Lipiec, jak wy ludzie go nazywacie, u nas jest Różą, początkiem Nowego Roku, pierwszy dzień tego miesiąca jest najważniejszym dniem w roku, ponieważ wpływ Księżyca na Ziemię jest wtedy największy. To także jedyny dzień, kiedy Przysięga przestaje działać, więc mogłam się wymknąć.

Każdy Duch przybył na ceremonię. Nikomu nie przeszło nawet przez myśl, że mogłam się nie pojawić. Miałam mało czasu. Mogłam przejść tylko do zachodu Słońca. Później Brama zamknęłaby się, a ja musiałabym czekać następny rok, by wykorzystać tę okazję.

Wykorzystałam swoją sylfidzką moc, by omamić strażników Bramy i ją otworzyłam. Jednak coś... poszło nie tak. Resztę już znasz.

Cisza. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

- Więc... ty...

- Chciałam wykorzystać energię Bramy do cofnięcia się w czasie. To było proste. Dziecinne proste. Miałam myśleć o rodzinie. Utworzyłam tunel czasoprzestrzenny i w niego weszłam, ale...

- Trafiłaś do Shieldaig.

- Tak. Do ciebie i Violet.

Popatrzyłem na sylfidę. Nigdy nie widziałem jej tak załamanej. Potrzebowała mojej pomocy, to było pewne. Dla niej otworzylibym wszystkie bramy tego świata, ale nie tę Bramę, której najbardziej potrzebowała.

- Chciałbym ci... pomóc, Autumn. Ale nie możesz cofnąć się w czasie.

- Mogłabym ocalić rodzinę, Bernardzie.

- Zmieniłabyś bieg wydarzeń, a czy na lepsze, czy na gorsze, nie wiadomo.

Autumn przełknęła ślinę.

- Jeśli dane było ci być sylfidą? Jeśli miałaś nią zostać?

- Bo zostałam przeklęta?

- Nie, by mnie spotkać.

Podniosła głowę.

- O czym ty mówisz?

- Widzisz... - zacząłem, ale umilkłem.

Nie mogłem jej wyznać tego, co działo się w moim umyśle. Sny, głosy, telepatia.

I nie tego, że ją kocham.

- Jesteś moją... przyjaciółką. Najlepszą i jedyną jaką kiedykolwiek miałem - mój głos był pusty.

Twarz Autumn spochmurniała. Przez chwilę poczułem, że sylfida jest...

Zawiedziona.

Nie, to niemożliwe.

- Też jesteś moim przyjacielem, Bernardzie. Nawet nie

wiesz, jaki jesteś wyjątkowy. Prawdziwy rycerz w srebrnej zbroi. Nie pasujesz do tych czasów. Jak na Anglika jesteś... spoko.

- Nie przesadzaj.

- Przerwałeś mój atak. Ale... jak? Jak pojawiłeś się tam, nad jeziorem?

Pokręciłem głową.

- Nie mam pojęcia. Co do przerwania... Po prostu powtórzyłem to, co kiedyś mówiłaś.

- A co takiego mówiłaś? - spytała cicho.

- Że sama o sobie decydujesz.

Nagle sylfida pojawiła się przy mnie, przyciskając zimne palce do moich skroni. Jej usta znalazły się przy moich i poczułem na skórze jej oddech.

To była iskra. Ulotna, groteskowo gorąca. Chociaż całowała mnie tylko przez tych kilka sekund, wiedziałem, że nigdy tego nie zapomnę.

Pachniała jesiennymi liśćmi, a jej dotyk przypominał muśnięcie wiatru. Przysunąłem ją bliżej do siebie, błędząc dłońmi w jej długich, falowanych, kasztanowych włosach. Czuję jej szczupłe, promieniujące chłodem ciało. Autumn wetknęła palce w moje włosy, zakręciło mi się w głowie. Nie mogłem myśleć. Wiedziałem tylko, że ją kocham i że zawsze będę.

- Masz rację, Bernardzie - powiedziała zachrypniętym głosem, odrywając się ode mnie. - I sama ponoszę konsekwencje.

Nim zrozumiałem, co miała na myśli. Wcisnęła palce

w moje skronie i świat znów rozmył mi się przed oczyma.

[\[1\]](#) *Biblia Tysiąclecia*, Pallotinum, Iz 48, 22

18 Sierpnia Lilia

- Obudź się!

Spadałem. Po raz kolejny nie zdołałem jej ochronić. Może i powstrzymałem ją przed atakiem, jednak na krótko. To coś, co się w niej znajdowało, było wściekłe.

Chciało się wydostać z więzienia.

- Bernardzie!

Poczułem uderzenie w twarz. Wziąłem głęboki oddech. Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą Violet, Hamisha oraz Rían.

Czy zawsze musiałem mieć takiego pecha?

- Gdzie jest Autumn? - nie mogłem skupić wzroku. Poruszyłem szczęką, czując, jak coś w niej strzyka.

Violet sapnęła i odepchnęła Hamisha. Z niebywałą siłą przygarnęła mnie do siebie, zaciskając wkoło mnie ramiona z siłą imadła. Zabrakło mi tchu.

- Babciu - sapnąłem, czując, jak w głowie mi się kołacze. - Chcę żyć.

- Bernardzie, dobrze się czujesz? - w jej bladych oczach

dostrzegłem panikę.

Dopiero teraz zrozumiałem, że leżę na kanapie w salonie Hamisha. Była noc: światła Kinlochewe, rozproszone przez zalegający na dworze deszcz uświadomiły mi, że leżałem nieprzytomny przez co najmniej dwanaście godzin.

Boże.

- Gdzie jest Autumn?! - próbowałem zerwać się z kanapy, jednak cała trójka przytrzymała mnie.

- Uspokój się - powiedziała Rían. - Chłopak chyba ma gorączkę.

Wiedziałem, że jestem zlany potem, ale nie z powodu temperatury. Sprawiała to wiedza o tym, co chce uczynić Autumn.

- Nie jestem chory! - krzyknąłem i poderwałem się. Potarłem bliznę. Nie umiałem oddzielić już swoich uczuć od uczuć Autumn. Byłem przestraszony, zdeterminowany. Zraniony. Samotny.

Zakochany.

Zły.

Musiałem się uspokoić. Przymknąłem oczy i zacisnąłem rękę. Wszystko bardziej się spieszy, jeśli nie zwrócę się w stronę logiki.

- Dobrze się czujesz, babciu? - spytałem spokojnie.

Uchyliłem powieki i zobaczyłem, jak Violet z zaskoczenia traci równowagę. Hamish przytrzymał ją przed upadkiem i pomógł usiąść na fotelu.

- Muszę zobaczyć pana obliczenia - zwróciłem się do Hamisha. Nadal kręciło mi się w głowie i mimowolnie oparłem

się o kanapę. - Niezwłocznie.

Hamish wziął głęboki oddech.

- Nie ma ich. Autumn je zniszczyła.

Przełknąłem ślinę. Spodziewałem się tego, ale i tak wiadomość ta nie była przyjemna.

Osunąłem się na podłogę. Miałem mętlik w głowie. Poczułem, jak Rían okrywa mnie kocem.

- Przygotuję wam herbatę - zaproponowała, ale Hamish pokręcił głową.

- Zostań.

Gospościa usiadła zaskoczona. Po chwili w pokoju zaległa cisza: słyszalny był tylko szum deszczu.

Spojrzałem na Violet. Jej bladoniebieskie oczy, zwykle pełne ognia, były przygaszone. Byłem na nią wściekły za to, że próbowała zranić Autumn, odprawić nad nią jakieś egzorcyzmy, ale z drugiej strony rozumiałem dlaczego.

Violet kochała dziadka Johna. Nie było niczego, czego by nie zrobiła, by go odzyskać.

Violet opuściła głowę, jakby słysząc moje myśli.

- To ja do tego doprowadziłam. Przepraszam, gdyby nie ja... może udałoby się nie dopuścić do jej ucieczki. Po prostu zawsze myślałam...

Dziadek John nie żył. Violet żyła z nadzieją na jego odzyskanie przez siedemnaście lat, poznanie prawdy musiało być dla niej silnym przeżyciem. Nic nie mówiąc, wstałem, zdjąłem z siebie koc i okryłem nim babkę.

- Dziękuję. Ale naprawdę...

- Nie przeczytałaś jej całej przeszłości, prawda?

Violet pokręciła głową.

- To praktycznie niewykonalne w przypadku Duchów. Wiedziałam, że uciekła z Królestwa Powietrza, że pochodziła z Klanu Macleanów, ale nic więcej. Tylko przebłyski. Coś ją chroniło. Autumn, kiedy ją znalazłeś na brzegu, była przerażona. Zamiast cofnąć czas, przeszła do naszego świata. Wykorzystałam to.

Chciałam odzyskać Johna. Zawsze byłam pewna, że porwały go ondyny.

- Skąd miałaś tę pewność? - spytałem.

Violet spojrzała na mnie wielkimi oczyma.

- Ponieważ Duchy zawsze mnie nienawidziły.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, coś się zmieniło: atmosfera w pokoju, gęsta, duszna, rozluźniła się.

- Od dziecka posiadałam Wzrok. Pewnie nie wiesz, ale twoi pradziadkowie, Trevor i Stephanie, prowadzili kiedyś katolicką szkołę w Blyth. Imienia świętej Klary - uśmiechnęła się smutno. - Byłam najmłodsza z trójki rodzeństwa. Leon umarł parę lat temu na raka, ale Vanda mieszka w Canterbury. Nie rozmawiam z nią za często. Nigdy nie miałam z nimi zbyt dobrego kontaktu.

Odkąd sobie uświadomiłam, że te piękne, zwiewne istoty, które widziałam w kwiatach, w krzakach, w wodzie nie są widzialne dla innych, przestałam o nich mówić mojej rodzinie. Leon i Vanda śmiali się ze mnie, twierdząc, że trzeba wysłać mnie do czubków, a rodzice bali się o mnie. Ignorowałam więc Duchy i zaczęłam szczerze ich nienawidzić za to, że istnieją.

Słowa mają ogromną moc, Bernardzie. Danugaia jest tego

świadoma.

Violet spojrzała na Hamisha. Mężczyzna ścisnął jej rękę.

- Uważałam Duchy za demony, których trzeba się pozbyć. Czułam ich obecność wokół siebie. Zawsze deptały mi po piętach, obserwując mnie. Zaczęłam podejrzewać, że jestem opętana, że Bóg zesłał na mnie karę.

Przełknąłem ślinę.

Historia Violet nie różniła się od tej Autumn.

- Chciałam zostać egzorcystką, uwolnić się od nich. Jednak było to niemożliwe. Odsunęłam się od rodziny i przed swoimi dwudziestymi urodzinami wyjechałam do Edynburga, tuż przed egzaminami kończącymi studium nauczycielskie.

Tam poznałam Johna.

Zakochaliśmy się w sobie. Dwoje młodych ludzi. Ukryłam przed nim prawdę o sobie, bojąc się, że nie zechce kogoś takiego jak ja.

Po roku pobraliśmy się i niedługo potem pojawiła się Clarice. Przestałam w tym samym czasie zwracać uwagę na Duchy. Przeprowadziliśmy się do Shildaig, gdzie John objął posadę pastora, a ja nauczycielki w miejscowej szkole.

Jednakże w Szkocji jeszcze bardziej odczuwałam Ich obecność.

Przez następne lata udało mi się jakoś wyłączyć. Było to trudne. Wzrok jest darem, ale również przekleństwem. Niewiedza jest zbawienna.

Niestety, John nie pomagał mi w tym. Wiesz o tym, że uwielbiał łowić ryby. Upraszałam go, by nie wypływał na wody Loch Shildaig. Miałam złe przeczucia. Słyszałam różne

historie o zatoce, o wyspie. Modliłam się do Boga, by go chronił. W międzyczasie Clarice dorosła, a ja nawet tego nie zauważyłam. Byłam wyrodną matką.

Dwa lata po tym, jak wyjechała na studia i poznała twojego ojca, John popadł w depresję. Coraz więcej czasu spędzał w kościele, na rybach. Bałam się o niego tak straszliwie, że zrobiłam coś, czego nie powinnam.

Poświęciłam wody Loch Shildaig.

Zakrztusiłam się.

- Co zrobiłaś?!

Hamish pokręcił głową. Usłyszałem, jak Rían bierze płytki oddech.

W oczach Violet pojawiły się łzy.

- Naprawdę nie miałam pojęcia, co mnie do tego podkusiło. Myślałam, że będę czuła się bezpieczniej, jeśli sprawię, że Duchy znikną z Loch Shildaig. Bezpieczeństwo Johna było ważniejsze.

- Ale jak to działa? Przecież to nie są... demony.

- Są. Istnieją Duchy, które odeszły od opieki nad ludźmi, panie Oaken - powiedział Hamish.

- Są złe?

- Zależy w jakim sensie pan szufladkuje zło. Światu potrzebna jest równowaga. Ciemność i Światłość od zawsze ze sobą walczą. Nic nigdy nie może wygrać. Są istoty Dobra i Zła.

- Wracając do tematu... wtedy po raz pierwszy odwiedziła mnie Niksa - powiedziała babka. - Opiekunowie Żywiołów to potężne istoty, główni doradcy Władców Królestw.

Archaniołowie. Niksa powiedziała mi, że naruszyłam święte Prawa Duchów. Oczywiście nie mogła mi zrobić nic złego ze względu na wiążącą ją Przysięgę, ale to nie mogło jej powstrzymać przed ukaraniem mnie.

Prawa zawsze były łamane. Traciły na wartości. Stagnacja doprowadzi każde imperium do upadku.

Miesiąc po jej wizycie John zaginął.

Rozumiesz, dlaczego oskarżałam ondyny o jego porwanie? Musiał żyć. Zabrały go ode mnie, nie mogąc go zabić.

Po jej twarzy popłynęły łzy.

- Boże, jakże się myliłam.

Znałem ten ból.

- Widząc cię z nią, bałam się, że cię zrani. Widziałam, jak z każdym dniem jesteście sobie coraz bliżsi. Jak się w niej zakochujesz.

Mówiła o mnie i Autumn.

- Byłam taka głupia. Wybacz starej kobiecie, Bernardzie - powiedziała. - Autumn zrobiła wszystko, co w jej mocy, by pomóc odzyskać mi Johna. Jednak miała rację: on jest martwy. Jest w Zaświatach.

- Autumn nie jest zwykłą sylfidą - powiedziałem.

Musiałem im powiedzieć. Musiałem.

- Jest Kwiatem Lili, cokolwiek miałyby to znaczyć.

Hamish pobladł.

- Powtórz to.

- Autumn jest Kwiatem Lili.

Mężczyzna zerwał się z krzesła i jednym skokiem pojawił się przy mnie.

- Skąd to wiesz?! Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?! - zaczął mną potrząsać, a Violet i Rían zaczęły oburzone krzyżeć. - Skąd to wiesz?!

Złapałem go za ręce.

- Śniłem o tym.

Hamish puścił mnie.

- Ty... ty...

Wzjąłem głęboki oddech.

- Autumn zamierza otworzyć Bramę przed pełnią - powiedziałem. - Chce cofnąć się w czasie... zostać człowiekiem. Nie mogę do tego dopuścić.

- Ona jest Lilią - wymamrotał.

- Jeśli to, o czym śniłem, jest prawdą, to tak.

Hamish usiadł zszokowany na kanapie obok Rían.

- Co w tym takiego zadziwiającego? Autumn jest Lilią. Nie o to się martwię. Jest w niej coś, czego nie mogę wyjaśnić. Kazano mi ją chronić przed nią samą - wysyczałem. - A teraz? Nie mam pojęcia, gdzie jest. Nie mam pojęcia, co zrobić!

Hamish spojrzał na mnie.

- Pan chyba nie rozumie powagi sytuacji, panie Oaken. Ta sylfida jest Lilią.

Wstał i podszedł do mnie. Jego wielkie oczy wwiercały się we mnie zza szkielek okularów.

- A pan jej Strażnikiem.

Zamrugąłem oczami.

- Pan chyba żartuje - roześmiałem się.

Profesor pokręcił głową. Odwrócił się do milczących Violet i Rían.

- Opowiadałem panu o nich jeszcze wczoraj. Mówiłem wtedy, że pana i pannę Hawthorne łączy szczególna więź. Myślałem, że jest pan tylko w niej zakochany, co wyjaśniałoby wszystko. Dopóki pan nie zemdłał. Czyta pan w jej myślach? - spytał.

- Nie. Czasami... wiem, co czuje - odpowiedziałem. - Ta wizja była pierwszą.

Hamish pokręcił głową.

- Toś się wpakował, chłopaku.

Podszedł do okna, po którym spływały krople deszczu.

- Lilia jest symbolem czystości i niewinności. Nowego życia. Ostatnim Kwiatem w kalendarzu Duchów. Kiedyś, prowadząc badania na Hebrydach Zewnętrznych, natknąłem się na wzmiankę o niej. Nie znam dokładnej treści tamtego przekazu, gdyż został ocenzurowany, jednak, jeśli panna Hawthorne jest Lilią... obawiam się, że źle się to dla nas skończy.

- W jakim sensie, Hamishu? - pierwszy raz od jakiegoś czasu odezwała się Violet.

Profesor skrzyżował ręce za plecami. W jego okularach odbijało się światło ulicznych lamp.

- Tu nie chodzi tylko o to, że zmieni bieg wydarzeń. Historii. Autumn, Lilia... Lilidh - poprawił się. - Tak brzmi jej prawdziwe imię?

Kiwnąłem głową. Na twarzy mężczyzny pojawiło się zrozumienie.

- Według tamtego przekazu Lilidh jest... nową Ewą, Danugaią. Początkiem lub końcem. Dzięki niej świat mógłby

wejść w nową erę pokoju lub, przeciwnie, spaść w otchłań ciemności i chaosu. A ty, Bernardzie – wydusił z siebie – nie możesz pozwolić, by skusił ją wąż.

- Jedno jest pewne: Autumn otrzymała już lokalizację powstania następnej Bramy – dwie godziny później Hamish z ołówkiem wetkniętym za ucho studiował mapę Wester Ross.

- Nie będzie czekała do pełni – powtórzyłem. – Otworzy ją przed czasem.

Docierały do mnie przebłyski jej uczuć, jednak nie mogłem domyślić się, gdzie jest. Pomiedzy nami był mur. Zimny i nieprzystępny.

Violet przysunęła do siebie jedną z map.

- Sylfida nie zdoła otworzyć Bramy przed pełnią. To niewykonalne, Bernardzie.

Odchrząknąłem.

- Zapomina pan, kim ona jest.

Hamish i Violet podnieśli głowy. Po raz pierwszy zdarzyło się, bym to ja znał odpowiedź na pytanie.

- Proszę – Rían położyła tacę z herbatą na stole. Wyglądała na zmęczoną.

- Jeśli przewidzi zderzenie mas Eteru, może je przyspieszyć – wytłumaczyłem.

- Eter nie da się przyspieszyć ani opóźnić, panie Oaken. To materia niepodlegająca fizyce ani Żywiołom.

- Autumn jest kimś więcej niż zwykłym Duchem.

Przyspieszy zderzenie - byłem tego pewny.

Ona była tego pewna.

- Jak?

Pokręciłem głową. Niepokoila mnie nieznana siła, która kłębiła się w sylfidzie i wnikająca w nią substancja. Widziałem ją już pierwszego dnia, patrząc w oczy Autumn.

- Nie mam pojęcia. Pytaniem jest, gdzie powstanie Brama - dodałem.

Hamish z frustracji potargał włosy.

- Właśnie! Gdzie powstanie. Boję się myśleć, do czego dojdzie. Taki niekontrolowany wybuch energii, niezneutralizowany wpływem Księżyca, narobi dużo szkód.

Zacisnąłem usta i mój wzrok padł na mapę Wester Ross. Coś zwróciło moją uwagę.

- Co oznaczają te krzyżyki? - spytałem.

- Co? Krzyżyki? To... przewidziane przeze mnie miejsca zderzenia Eteru. Nie możemy brać ich pod uwagę. Nie uwzględniłem wpływu Księżyca...

Przysunąłem do siebie mapę. Gardło ścisnęło mi się ze zdenerwowania.

- Autumn pomagała panu w tych obliczeniach?

- Oczywiście. Wydawać by się mogło, że nie ma pojęcia o kalkulacjach, ale tak naprawdę...

- Wiem, gdzie powstanie Brama - powiedziałem, wpatrując się w mapę.

Hamish roześmiał się.

- Nie, nie możesz wiedzieć.

Podsunałem do niego mapę i postukałem w krzyżyk przy

Shieldaig. W brzuchu czułem łaskotanie.

- To ta wyspa, prawda?

Hamish przytaknął zdeorientowany.

- Ma duże promieniowanie eteryczno-magnetyczne - powiedział. - Lecz chyba nigdy nie powstała tam Brama.

- To sanktuarium Danugai - potarłem bliznę, przypominając sobie rozmowę, kłótnię, z Autumn na Ben Shieldaig. - Jeśli Autumn będzie chciała otworzyć gdzieś Bramę, to tylko tam.

Hamish zmarszczył brwi.

- Nie możemy być tego pewni.

- Ma pan lepszy pomysł? Nie mamy obliczeń, a czas ucieka. Autumn w tej chwili może już tam być.

Hamish wyglądał na nieprzekonanego. Przewróciłem oczami.

- Znam ją - dodałem. - Wiem, co zrobi.

Hamish wyglądał na pokonanego.

- Dobrze, załóżmy, że ją znajdziesz - westchnął. - Jak powstrzymasz ją przed otwarciem Bramy?

Violet skrzywiła się i złapała Angusa za ramię.

- Hamish - skarciła go, ale ten patrzył na mnie wyczekująco.

- No, co pan zrobi, panie Oaken? - ponowił pytanie.

Opadłem na kanapę.

Co miałbym zrobić? Mój mózg pracował na najwyższych obrotach. Szukałem rozwiązania, odrzucając wszystkie możliwości, aż w końcu odpowiedziałem:

- Wyznam jej, co naprawdę do niej czuję.

Autumn stała na samym środku wyspy, unosząc dłonie w górę.

„Dziwaczka!”

„Służebnica, córka diabła!”

„Wynoś się stąd, szatanie!”

„Kocham cię, córeczko”.

Zimna materia wypłynęła z jej rąk i zawisała przed nią. Sylfida popatrzyła na swoje przekleństwo.

- Dziś wszystko się zmieni - wyszeptała. - Zapomnę.

Drżącą ręką uniosła różnobarwną kulę. Wiedziała, że wygrywa w niej to wszystko, co próbowała w sobie zdusić przez ostatnie kilkaset lat.

Jaki jest sens w łączeniu się z własną naturą? Była zła. Niebezpieczna. Egoistyczna.

Kłamliwa i nieufna.

Powinna się z tym pogodzić.

Kula zatrzymała się, a Autumn poczuła to. Na jedną chwilę całe niebo zajaśniało tęczą barw. Wielobarwna materia była wszędzie. W każdym atomie powietrza, wody, ziemi i ognia. Jej

ciało zajaśniało wewnętrznym blaskiem, a mroczna siła zamruczała gdzieś w głębi niej z zadowolenia. Mogła nad nim zapanować.

On mógł przejąć nad nią władzę. W końcu nie różniło to się niczym od tego, co zwykle robiła.

Otoczyły ją wielobarwne kule. To tutaj, pomyślała. Za chwilę wszystko się skończy. Niebo ciągle zmieniało swój kolor. Szkoda, że żaden śmiertelnik nie mógł tego zobaczyć.

Szkoda, że Bernard tego nie widział.

- Autumn!

Z daleka usłyszała wołanie chłopaka. Biegł w jej stronę. Na myśl o tym, że tu jest, coś ścisnęło jej serce.

- Autumn!

Poczuła, jak traci cały swój rezon. Siła kłębiąca się w niej zawarczała. Sylfida nie mogła na niego patrzeć. Gdyby na niego spojrzała, wszystko by runęło.

To co powinna uczynić - oddać się w ręce Boreasza.

To czego chciała - być z rodziną.

To czego pragnęła - jego.

W dodatku...

„Jesteś moją... przyjaciółką. Najlepszą i jedyną jaką kiedykolwiek miałem.”

Zniknie tak szybko, jak się pojawiła. Dotrzyma słowa Violet. Obietnice, przysięgi, zaśmiała się w myślach. Bernard nie zasługiwał przecież na kogoś takiego jak ona. Kiedy wreszcie to zrozumie?

- Znowu to robisz, Bernardzie? - spytała.

18 Sierpnia

Brama

Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy dojeżdżaliśmy starym vanem Hamisha do Shildaig. Na wschodzie jednakże dostrzegalna była słaba łuna świadcząca o tym, że do świtu pozostało niedużo czasu.

Byłem zdenerwowany. Autumn była zdenerwowana. Oboje byliśmy. Moje palce co rusz bębniły o szybę samochodu.

- Co teraz zrobimy? - spytał Hamish.

Oderwałem wzrok od mijanych krajobrazów i spojrzałem na profesora. Moją uwagę przykuła jednak Violet.

Była zbyt milcząca, a na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiej zadumy. Taki wyraz widziałem tylko raz: kiedy znalazłem Autumn nad brzegiem Loch Shildaig.

Coś planowała.

- Musimy ją odnaleźć. Autumn może w każdej chwili otworzyć Bramę - odpowiedziałem.

- Możesz sprawdzić, co się teraz z nią dzieje?

- Nie, nie mogę. To nie działa w ten sposób - burknąłem.

Byłem podirytowany jego ciągłymi pytaniami o więź

łączącą mnie z sylfidą. Opowiedzenie mu o mojej „duchowej” wycieczce i powstrzymanie ataku Autumn nie było zbyt dobrym pomysłem. Mężczyzna wydawał się jeszcze bardziej przekonany o tym, że jestem jej Strażnikiem.

- To by wyjaśniało twoją umiejętność odczuwania jej emocji - stwierdził.

Znów zaburczało mi w brzuchu, jednak byłem pewny, że nie przełknę kanapek przygotowanych przez Rían. Martwiłem się straszliwie.

Może wręcz przeciwnie, Autumn się martwiła.

- Zamierzasz po prostu powiedzieć jej, że się w niej zakochałeś? - Hamish przyspieszył.

Zacisnąłem usta.

- Że ją kocham. To różnica.

- To ją powstrzyma? Wątpię.

- Miejmy nadzieję.

Spojrzałem za okno na mijany Ben Shieltaig. Nagle poczułem w skroniach znajome zimno. Natychmiast spojrzałem w górę, na niebo.

Poczułem przyływ mocy. Coś pełzło pod moją skórą coraz szybciej i szybciej. Niebo rozjaśniło się, a następnie ściemniało. Po okolicy rozszedł się podmuch wiatru.

Autumn zaczęła wzywać Eter. Ale jak?

- Musimy się pospieszyć - wydukałem.

Z każdą sekundą zbliżaliśmy się do Shieltaig.

Strach. Władza. Nadzieja.

Wjechaliśmy do wsi. Van zatrzymał się z piskiem opon tuż przy brzegu kamienistej plaży z przycumowaną łódką.

Wyskoczyłem z samochodu, podbiegając do wód zatoki. Na jej tafli co rusz pojawiały się duże pierścienie, rozchodzące się od wyspy. Czułem promieniującą od niej moc.

Przy moim boku pojawiła się Violet.

- Pójdę sam - powiedziałem.

Spojrzałem na babkę. W jej bladych oczach dostrzegłem determinację.

Popatrzyła nieodgadnionym wzrokiem na mnie, a następnie na Loch Shielraig. W nielicznych oknach wsi paliło się światło, a lampy rozpraszały kończący się mrok.

Ci ludzie nie wiedzieli, co się naprawdę dzieje. Violet miała rację: najciemniej jest pod latarnią.

- Powiedziała ci kiedyś, że Autumn nie jest ci pisana. Kłamałam - szepnęła babka, przywracając mnie do rzeczywistości. - Pierwszego dnia, kiedy myłeś okna...

- Czytałaś moją przeszłość. Wiem - mruknąłem.

- Nie tylko. Miewam także przebłyski przyszłości, Bernardzie. Nie jestem wybitną chiromantką, jednakże... Widziałam cię z pewną dziewczyną. Rudowłosą, wysoką. Rozmawialiście.

Drgnął mi kącik ust.

- To była Autumn - powiedziała.

- Czemu mi to mówisz? - spytałem.

- Ponieważ jestem ci to winna. Zaslługujesz na to, by być szczęśliwy.

Coś ścisnęło mi gardło.

- To nie jest pożegnanie - stwierdziłem, a przez twarz Violet przeszedł cień.

Miałem złe przeczucie.

- Dobra, dosyć tych wzruszających wyznań - nagle Hamish pojawił się między nami. - Wskakujemy do łódki i płyniemy tam.

- Pan tam nie idzie.

- Ale...

- Sam pan mówił, panie profesorze. Jestem tym Strażnikiem. Dam sobie radę sam. To moje zadanie.

Niebo znów pojaśniało. Przez ułamek sekundy dostrzegłem niebieskawe punkciki szybujące w stronę wyspy.

- Wróć - powiedziałem, wchodząc do łodzi. - Nie martwicie się o mnie.

Oczy Violet ściemniały, a Hamish otoczył ją ramieniem. Miałem nadzieję, że dobrze się nią zaopiekuje.

Violet Melinda Enbatch-Meadow nie była złą do szpiku kości kobietą. Raczej doświadczoną przez los.

Widząc moje spojrzenie, odwiązała cumę.

- Uda ci się - nałożyła mi kaptur na głowę. - Wiem to.

- Do zobaczenia, panie Oaken - dodał Hamish.

Pchnął łódkę, którą natychmiast pociągnął za sobą prąd. Wyciągnąłem wiosło, starając się opanować bicie serca. Obejrzałem się za siebie, ujrzałem, jak babka i Angus znikają w czerni nocy.

Byłem zdany na siebie.

Zacząłem wiosłować, jednak łódka płynęła prosto na wyspę. Z każdym metrem, który pokonywałem, czułem obecność Autumn. Wiedziałem, że wszystko rozegra się właśnie tutaj: w Shildaig.

Tutaj był początek. Tutaj odnalazłem Autumn.

Tutaj także mógł być koniec. Nie tylko naszej znajomości, ale i świata, który znałem.

Wysokie sosny odbijały się w mrocznej toni zatoki. Przełknąłem ślinę. Było zbyt cicho.

- Więc to ty.

Łódka zatrzymała się może pięć metrów od brzegu wyspy. Znałem ten głos aż za dobrze.

- Ofelia - powiedziałem.

Nachyliłem się ku wodzie. Pod powierzchnią dostrzegłem jakiś ruch.

- Rycerz w srebrnej zbroi, tak?

Zacisnąłem ręce na brzegu łódki.

- Jeśli pytasz, to tak. Miło mi cię poznać, ale spieszę się.

- Jakbym nie zauważyła.

Łódka ruszyła o wiele szybciej niż poprzednio.

- Co ty robisz?

- Pomagam ci, gamoniu. Nie tylko tobie zależy na Fómhar.

Wiatr owionął moją twarz. Słyszałem plusk ogona ondyny bijącego o wodę.

- Dlaczego?

Cisza.

Łódka uderzyła o brzeg. Wskoczyłem z niej, natychmiast szukając wzrokiem ondyny. Poczułem kolejny podmuch, a masy Eteru rozbłysły na krótką chwilę na niebie.

Odwróciłem się i zobaczyłem gęstwinę drzew. W samym środku wyspy znajdowała się Ona.

- Nie jesteś jedyny, który dał się jej omamić.

Zamrugałem i spojrzałem nieprzytomnie na ondynę.

- Słucham?

Pod wodą coś zasyczało.

- Nie jesteś jedyny. Tylko to chciałam ci powiedzieć, rycerzu. Idź do niej, nim zrobi coś naprawdę głupiego - w jej głosie usłyszałem gorycz. - Idź.

- Ty...

Z wody wyłoniła się głowa Ofelii. Jej rybie oczy spojrzały na mnie.

- Ona cię kocha. Wiedziałam o tym od chwili, kiedy pierwszy raz was zobaczyłam, ale ona się boi. Nie chce nikogo skrzywdzić. Z miłości robi się głupie rzeczy, których się potem żałuje.

Patrzyłem oszołomiony na twarz ondyny. Jej rybio-ludzkie oczy skupiły się na mnie. Dostrzegłem w nich... zazdrość? Zrozumienie? Poczucie winy?

- Ty... - próbowałem z siebie wydukać.

Ofelia skrzywiła się.

- Jak możesz tracić na mnie czas? Ona za chwilę otworzy Bramę. Biegnij do niej!

Zamarłem.

- Głuchy jesteś?! - wrzasnęła wściekła.

Moją twarz opryskały małe krople wody, wyrrywając mnie z transu. Zacząłem biec w górę wyspy, przedzierając się między sosnami. W lesie było cicho.

Zbyt cicho. Opustoszałe.

Odepchnąłem myśli o Ofelii. Podejrzewałem ją o uczucia do Autumn już od tamtej rozmowy nad brzegiem zatoki.

Jednak teraz otrzymałem wystarczający dowód.

Duchy nie różniły się zbyt od ludzi. Nawet wśród nich zdarzają się osoby o odmiennej orientacji. Rozumiałem ją. W sumie sam kochałem Autumn, więc uczucie to nie było mi obce.

Wdrapywałem się po stromych kamieniach w górę wyspy. Ręce zdarłem już do krwi, a w głowie szumiało mi, jakbym oberwał kijem krykietowym, ale nie ustawałem.

- Autumn! - wrzasnąłem.

Niebo co chwilę błyskało feerią barw. Przypominało mi to noc piątego listopada^[1]. Gdybym nie był tak przestraszony, zapewne podziwiałbym piękno tego zjawiska. Jednak teraz musiałem dobiec do Autumn. Tylko ona się liczyła.

Przeskoczyłem przez powalony pień drzewa i zatrzymałem się.

Pomiędzy sosnami dostrzegłem jarzącą się na złoto postać. Wokół niej unosiła się, zataczając coraz większe koła, wielokolorowa materia.

Eter.

Danugaia ma cię w swej opiece - usłyszałem w głowie głos. - *Powstrzymaj Kwiat Lili.*

Bez zastanowienia ruszyłem ku sylfidzie. Będąc już niecałe dziesięć metrów od niej, przystanąłem.

- Autumn.

Świetlista postać nawet się nie poruszyła.

- Znowu to robisz, Bernardzie? - jej głos nie przypominał tego, który znałem: niskiego, zachrypniętego. Wydawał się trzaskiem, zwielokrotnionym stukrotnie wściekłym szumem

liści.

- Porozmawiajmy, Autumn. Błagam cię!

Od sylfidy rozszedł się blask. Zasłoniłem oczy ramieniem, by nie oślepnąć. Próbowła odsunąć mnie od siebie, lecz stopniowo, walcząc z oporem, zbliżałem się do niej. Każdy krok kosztował mnie dużo wysiłku. Powietrze było przesycone nieznaną mi energią, gęste, ciężkie. Tak zimne, że aż parzyło.

- Nie mamy o czym rozmawiać, Bernardzie - powiedziała.

Nagle otoczył mnie Eter. Przykleił się do mnie, rzucając na pień pobliskiego drzewa. Skrzywiłem się, uderzając o szorstką korę.

Próbowałem się poruszyć, jednak zostałem unieruchomiony. Podniosłem głowę i zobaczyłem taniec eterycznej materii z sylfidą.

Miałem rację. Wiedziałem, że Autumn nie jest zwykłym Duchem. To coś, co w niej istniało, było tak potężne, że mogło ją zniszczyć.

- Umiesz tkać Eter - udało mi się z siebie wydusić. - To o nim mówiłaś, tak? To twój dar, prawda?

Złoto w ciele sylfidy zmatowiało.

- TO PRZEKLEŃSTWO! - krzyknęła, a wraz z jej wrzaskiem przez całą wyspę przeszedł potężny, mrozący krew w żyłach podmuch wiatru. Serce mi zamarło.

Odwróciła się, zaciskając dłonie, a ja zobaczyłem, że jej oczy były czarne. Przypominały dziurę, otchłań bez dna, w której nie istniały żadne uczucia.

Niebo zajaśniało kolejnym pokazem świateł. Nie dawałem za wygraną.

- Twoi opiekunowie wiedzieli, co potrafisz?

Substancja podeszła wyżej, sięgając mi prawie do gardła. Promieniowało od niej lodowate zimno, a na jej powierzchni rozchodziły się malutkie wyładowania elektryczne. Podniosłem wyżej głowę.

- Jako człowiek posługiwałaś się telepatią i telekinezą. Ale to nie wszystko. Byłaś... przekłeta, ponieważ potrafiłaś panować nad Eterem.

- Nie będę nad nim panować, jeśli cofnę czas!

Eter zatrzymał się, a sosny wykrzywiły się w różne strony od ponownego uderzenia wiatru.

- Jesteś tego pewna, Autumn? - spytałem. Oddychałem coraz trudniej.

Przez twarz sylfidy przeszedł grymas.

- Dlaczego mi to robisz, Bernardzie?

Podniosła ręce do góry, a Eter przestał mnie pętać. Opadłem na ziemię. Zabolało.

- Wiem, co czujesz - powiedziałem, wstając. Coś strzeliło mi w boku.

- Tego nikt nie wie - blask osłabł. Wiedziałem, że Autumn z trudem utrzymywała swoje nerwy na wodzy. Oparłem się o drzewo, ciężko oddychając.

- Ja wiem.

Podszedłem do niej z trudem, mijając zawieszony w powietrzu masy Eteru, przypominające teraz miniaturowe drogi mleczne. Trudno było mi przyjąć do wiadomości, że takie coś istnieje.

Zatrzymałem się przed nią. Sylfida wyglądała na

kompletnie zbitą z tropu.

- Zastanawiałaś się, czemu nie mogłaś cofnąć się w czasie? Czemu trafiłaś tutaj? - spytałem.

Autumn uniosła głowę, by na mnie spojrzeć. Ciemność i złoto przenikało pasmami przez jej skórę, jednakże oczy nie były już czarne. Były fioletowe.

Milczała.

Wyprostowałem się. Musiałem popracować nad kondycją fizyczną, jeśli miałem ją chronić.

- Mówiłaś, że sama o sobie decydujesz - przypomniałem jej. - Więc zadaj sobie pytanie: czy naprawdę chcesz to zrobić? Nie ma niczego, co trzymałoby cię tutaj?

Autumn wpatrywała się we mnie, a jej oczy co rusz zmieniały kolory: raz były fioletowe, raz czarne. Mętlik, jaki panował w jej umyśle, był nie do wytrzymania. W skroniach czułem taki nacisk, jakby ktoś rozsadzał mi głowę od środka.

- Kim naprawdę jesteś? - spytałem cicho. - Kim?

Sylfida zamrugła parokrotnie. Mur, jaki nas odgradzał, znikł.

Ból. Nie do opisania. Teraz dopiero zrozumiałem jej słowa, kiedy krzyczała na mnie, pytając, czy ludzie zawsze się tak czują.

Rozdarci.

Autumn była rozdarta. Dosłownie i w przenośni. Ile sprzecznych emocji mogło kryć się w kimś takim?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia - wyznała, chowając twarz w dłoniach. Zmęczenie dopadło ją z taką siłą, że sam z trudem utrzymałem się na nogach.

- Wróć ze mną do domu - wyszeptałem, kładąc dłonie na jej szczupłych ramionach. Eter wokół nas rozbrzmiał wewnętrznym światłem.

- Ja nie mam domu - zachrypiała. - Jestem uciekinierką. Banitą. Potworem.

Wzięłem głęboki oddech.

- Moi koledzy ze szkoły zawsze mnie dręczyli. Przez prawie piętnaście lat wahałem zawartość kibla - wyznałem gorzko. - W końcu zebrałem się na odwagę i pokazałem, na co mnie stać. Widzisz? - wskazałem na bliznę przy ustach. - To zrobił mi Ethan Tatrowski.

- Gdy się denerwujesz, zawsze ją trzesz - powiedziała.

Uśmiechnąłem się lekko.

- Zauważyłaś.

Wszystko ucichło. Żadnej gry światła. Żadnego blasku. Autumn stała przede mną blada i wyczerpana, wyglądała jak normalna, zwykła dziewczyna, a nie jak prawie czterystuletnia sylfida z darem panowania nad najdziwniejszą materią we Wszechświecie.

- Nie boisz się mnie? - jej głos zniżył się do szeptu.

- Tego, że pošlesz mnie na drugi koniec świata? - na mojej twarzy pojawił się uśmiech. - Cały czas moczę majtki.

Twarz Autumn spoważniała.

- Nie. Tego, że cię zranię.

Spojrzałem jej odważnie w oczy.

- Nie zrobiłabyś tego - odpowiedziałem.

- A co się stało z moją rodziną? Z matką, Rolandem i Rosalind? Twoją babką? Nie rozumiesz mnie, Bernardzie.

Jestem potworem Frankensteina. Jestem niebezpieczna... *zła*.
Mogę cię zabić, nawet o tym nie wiedząc.

Przełknąłem ślinę.

- Wiem o tym. Ale nie zrobisz tego. A jeśli tak, mogę być zraniony. Zostać zabitym przez ciebie to też kusząca perspektywa.

Usta Autumn zadrgały.

- Nie mów tak! Nie... nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Boję się, że kiedy... kiedy wezmę oddech, stanę się tym potworem - wyjąknęła. - Że zapomnę to, kim byłem. Kim jestem. A zarazem pragnę tego, ponieważ nienawidzę siebie. Jestem rozdarta.

Też się tak czułem.

- Chcę się od tego uwolnić, Bernardzie. Chcę być ze swoją rodziną, a zarazem nie chcę ich znać. Gdyby... gdyby...

W jej oczach pojawiły się łzy.

- Chcę odejść. Dlaczego mi na to nie pozwolisz?

Odwróciła się ode mnie, a wiatr zarzucił jej włosy na plecy. W świetle świecącego Eteru nabrały metalicznego blasku. Jak ktoś taki mógł wyglądać tak silnie, a zarazem tak delikatnie?

Musisz jej powiedzieć. Głos w mojej głowie, był pewny, nieustępliwy. Potarłem bliznę. W końcu nadeszła chwila prawdy.

Musiałem.

- Bo cię, do cholery, kocham.

Odsunąłem się od niej, oczekując jakiegoś wybuchu energii, podmuchu wiatru, czegokolwiek, jednak nic nie nastąpiło. Cisza. Sylfida błyskawicznie obróciła się w moją

stronę.

- Co powiedziałaś? - na jej twarzy odmalował się szok.

Przełknąłem ślinę.

- Sły-yszałaś - zająknąłem się. - Ni-ie pow-wtórzę.

W wielkich, fioletowych oczach pojawił się strach. A może to ja się bałem?

Napięcie, jakie pojawiło się między nami, sięgnęło zenitu. Patrzyliśmy na siebie tak, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy w życiu, niezdolni nic zrobić.

Nie musiała nic mówić. Wiedziałem, co do mnie czuje, kiedy w moim ciele pojawiło się to dziwne rozdygotanie pod sercem.

Tylko ja nie pozwalałem jej odejść.

- Autumn... - zacząłem, gdy nagle rozległo się klaskanie.

Drgnąłem, rozglądając się na boki. Wśród drzew rozległ się niski, dudniący głos:

- Pięknie. Jakież to wzruszające. Człowiek wyznający miłość sylfidzie...

Autumn zbladła. Bezwiednie zasłoniłem ją własnym ciałem. Po kulach Eteru wiszących nad ziemią rozszedł się wstrząs.

- Jaka szkoda, że śmiertelnicy są tacy głupi.

Znałem ten głos zbyt dobrze. To on rozbrzmiewał w moich snach, kiedy razem z Autumn upadaliśmy w mrok. To on wykrzykiwał oskarżenia pod naszym adresem. Wiedziałem dokładnie, kim jest.

- Boreasz - wymamrotałem.

W kręgu światła pojawił się Boreasz. Spodziewałem się wszystkiego po Królu Powietrza: niesamowitej, strasznej, nieludzkiej postaci. Dzierżenia jakiegoś trójzębu, jak w przypadku Posejdona, czy czegoś w tym rodzaju.

Jak zwykle się myliłem.

Stał przed nami młody mężczyzna z czarnymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu, w szarym garniturze, z rękoma niedbale włożonymi w kieszenie.

- Fómhar. Zawsze byłaś buntowniczką, nieprawdaż? Nie trudno było cię wyśledzić - zaczął, idąc bezszelestnie, właściwie sunąc nad ziemią w naszą stronę.

Zacisnąłem ręce na nadgarstkach Autumn, zmuszając ją do cofnięcia się. Eter w jej ciele buntował się.

- W końcu jesteś jednym z Duchów. Byłaś - zaznaczył, zatrzymując się przy kuli Eteru. Wyciągnął bladą rękę, z długimi, przypominającymi odnóża pająka palcami i prawie dotknął jej tafli. Materia zasyczała ostrzegawczo.

- Nie powinnaś już istnieć. Moi bracia zgodzili się ze mną; uznaliśmy, że powinno się wysłać cię w Eter. Jednakże Matka - na jego twarzy pojawił się grymas - nasza kochana Danugaia, nie zezwoliła na to.

- Czego chcesz? - spytałem.

Odwrócił się do nas ze złowieszczym uśmiechem.

- Chyba nietrudno odgadnąć moje intencje. Czasami, by ocalić plony przed zarazą, trzeba wyrwać te zakażone. Widziałas, do czego jesteś zdolna, Fómhar.

Autumn pchnęła mnie nagle na ziemię.

- Uciekaj! - krzyknęła.

W tym samym czasie uderzyła w nią ostra fala wiatru. Sylfida odepchnęła ją, zasłaniając się Eterem.

Boreasz zaniósł się śmiechem.

- Więc jednak nie przyjmiesz kary z honorem. Może i pochodziłaś z klanu Macleanów, ale brakuje ci ich godności.

Przycisnąłem czoło do ziemi, czując w skroniach oszałamiający ból. Do kogo należał? Do mnie czy do Autumn?

Uniosłem lekko głowę, patrzyłem jak sylfida walczy z Boreaszem. Odpierała jego ataki, wykorzystując powietrze, posyłając w jego stronę Eter, jednak władca niewiele sobie z tego robił. Wydawał się rozbawiony jej walką.

- Jesteś słaba, sylfido! - krzyknął, gdy Autumn po raz kolejny chybiła. Straciła już wiele siły. Bała się, że przegra.

- Jak możesz przeciwstawiać się woli Matki?! - wysapała. Z trudem opanowywała moc, która się w niej tliła. Wiedziałem, że chce uniknąć utraty panowania nad sobą.

- Matka się myli!

Cisnął w nią kolejnym powietrznym pociskiem. Autumn zajaśniała na chwilę złotoczarnym blaskiem, jednak nie zdołała odeprzeć uderzenia. Odrzuciło ją do tyłu z taką siłą, że, gdyby była człowiekiem, byłby to śmiertelny cios.

Ból rozsadzał mi czaszkę. Widziałem Boreasza jednocześnie z boku i oczami Autumn. Chciałem się ruszyć, jednak byłem sparaliżowany.

Nagle wszystko ucichło. Przez ułamek sekundy widziałem Boreasza z perspektywy sylfidy. Pochylał się nade mną, celując

we mnie ręką.

- Śmiertelnicy - usłyszałem nad sobą jego głos. - Wydaje się wam, że jeśli kochacie, potraficie uczynić wszystko. Nawet uniknąć swojego przeznaczenia. Wszyscy i tak umieracie - wyszeptał przy moim uchu. - Nie rozumiem, czemu Matka was tak chroni. Jesteście plugawi, kłamliwi. Łamiecie prawa, odprawiacie na Duchach egzorcyzmy. Nie zasługujecie na to, by żyć.

Oddychałem z coraz większym trudem.

- Nie różnimy się zbytnio - powiedziałem. - Jednak pan pominął pewną kwestię.

Kątem oka zauważyłem, jak Autumn podnosi się z ziemi. W jej fioletowych oczach dostrzegłem przerażenie.

- A cóż takiego? - spytał Boreasz z przymilnym uśmiechem. - Cóż takiego pominąłem?

- Nie jestem zwykłym śmiertelnikiem - pokręciłem głową. - Jestem Strażnikiem.

Przez twarz Boreasza przeszedł cień.

- Kłamiesz.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Po raz kolejny ten dziwaczny instynkt podsuwał mi wyjście z sytuacji.

- Niech Danugaia nas osądzi - na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

Wbiłem wzrok w Autumn. Wstała na drżących nogach, z porwaną na udzie sukienką. Zrozumiała przekaz.

- Ciekawe, co powie na twoje zachowanie - dodałem.

Nim Boreasz zrozumiał, co się dzieje, Autumn podniosła rękę i wszystkie unoszące się kule Eteru zderzyły się ze sobą.

Błysnęło. Świat rozpadł się na kawałki. Przed moimi oczami pojawiły się tysiące wybuchających supernowych. Wszechświat. Ciemność i Światłość, zmieszane ze sobą, tkwiące w ciele Autumn.

Pełny Księżyc na niebie.

Energia, jaka uwolniła się w wyniku zderzenia, powaliła mnie na kolana, mimo że już znajdowałem się na ziemi. Eter jaśniał, unosząc się w zwolnionym tempie. Czułem, że zabiera nas daleko od Shildaig, Wester Ross, Wielkiej Brytanii.

Ludzkiego świata.

Nagle poczułem, jak z impetem uderzam w ziemię. Natychmiast zachrząściło mi niepokojąco w boku.

Chyba złamałem żebro.

Cholera.

- Bernardzie...

Zimne dłonie Autumn odgarnęły mi włosy z oczu. Zamrugalem, próbując skupić wzrok na jej twarzy.

- Boreaszu!

Oboje obróciliśmy głowy w kierunku głosu. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nam się udało.

Autumn wykorzystała Bramę, by przenieść nas do Avalonu.

Sylfida pomogła mi wstać. Skrzywiłem się, czując ból w boku. Autumn otoczyła mnie ramieniem, przytrzymując.

Znajdowaliśmy się w ogromnej, olśniewająco białej sali. Naprzeciw nas stało pięć tronów, z czego na najbardziej

okazałym i najpiękniejszym siedziała wysoka, zapierająca dech w piersiach kobieta.

Danugaia.

Twarz bogini, nie mająca lat ani rysów, nie wyrażała żadnego zaskoczenia. Wręcz przeciwnie, byłem pewny, że spodziewała się naszych odwiedzin.

- Matko... - zaczął Król Powietrza.

Nadal ubrany w nieskazitelnie czysty garnitur ukląkł na jedno kolano, kładąc rękę na sercu. Pochylił z szacunkiem głowę.

Danugaia uciszyła go gestem.

Zauważyłem poruszenie na dworze. Siedzący na pozostałych tronach władcy Czterech Królestw skupili całą swoją uwagę na Autumn i na mnie. Sylfida, czując ich spojrzenia, zeszywniała. Wiedziała, kim są, a oni wiedzieli, kim ona jest.

- Nie przedstawisz nam gości, synu?

Zacisnęła ręce na wysokiej, różnokolorowej lasce, wpatrując się w naszą dwójkę. Usłyszałem, jak Autumn bierze głęboki oddech. Przedstawianie miało tylko charakter formalny. Wszyscy wiedzieli, kto jest kim.

- To zdrajczynie naszego ludu, Matko, oraz... śmiertelnik uważający się za Strażnika.

Po dworze rozległ się szum.

- To śmieszne! - powiedział siedzący na ognistym tronie po lewej stronie mężczyzna. Przypuszczałem, że to Adeh, Pan Ognia.

- Strażnik? - dodał opalony na ciemny brąz Władca Ziemi,

Geb.

Stojący przy tronach Opiekunowie Żywiołów byli zaniepokojeni. Zauważyłem, że przy pustym miejscu Boreasza stał Paralda, który nie odrywał wzroku od Autumn. Tylko on nie brał udziału w gorącej dyskusji.

- Sprzeciwiłeś się mej woli, synu.

Gwar głosów ucichł. Danugaia wstała z tronu, a jej włosy, ciągle zmieniające kolor, zatańczyły wokół twarzy.

- Chciałem dobrze, Matko - głos Boreasza znów przybrał przymilny i służalczy ton. - Ta sylfida otworzyła Bramę. Zraniła ludzi. Porzuciła swój lud. Zasluguje na karę.

- Nie zezwoliłam na wykonanie tego wyroku.

Danugaia zaczęła schodzić po białych schodach z podwyższenia, na którym stał jej tron, a długa suknia, iskrząca się tysiącem braw, sunęła za nią.

- Gniew nie jest drogą do rozwiązywania problemów. Sprawiedliwy władca stara się doprowadzić do złagodzenia konfliktów, nawet narażając na szwank swoją reputację.

Minęła klęczącego Boreasza i zatrzymała się przed nami. Czułem, że Autumn z trudem radzi sobie ze zdenerwowaniem. Zaś mnie tak okropnie kręciło się w głowie, że z trudem mogłem uwierzyć, że jeszcze myślę.

- Autumn Hawthorne i Bernard Oaken.

Oczy władczyni padły na nas. Nie miałem wrażenia, że wypowiedziała nasze imiona z kpiną.

- Sylfida i Strażnik.

Wyprostowałem się z trudem, starając się zignorować ból.

- Bernardzie - wyszeptała sylfida, ale pokręciłem głową.

- Tak - popatrzyłem odważnie w oczy bogini. - Jestem Strażnikiem.

Przez chwilę zdawało mi się, że na twarzy Danugai chyba pojawił się lekki uśmiech. Trwało to zaledwie ułamek sekundy. Moje wyznanie poruszyło dwór, jednak bogini znów uciszyła go gestem.

- To odważne przypuszczenia. Nie widziano Strażnika od wieków, śmiertelniku. Czemuż twierdzisz, że nim jesteś?

Przełknąłem ślinę.

- Nie karz go, Matko! - krzyknęła nagle Autumn, wychylając się do przodu. - To ja zawiniłam. On plecie bzdury, jest w szoku. Proszę go nie słuchać.

Danugaia przekrzywiła głowę. Jej stale zmieniająca się twarz przyprawiała o dreszcze. Zrozumiałem teraz, dlaczego ludzie nazywali ją „Boginią bez Twarzy”.

Osoba posiadająca miliony twarzy nie ma żadnej.

- Według mnie wart jest wysłuchania.

Zapanowała cisza. Poczułem, jak spojrzenia wszystkich zebranych zwracają się na mnie. Po twarzy spłynęła mi kropla potu.

- Matko! - odezwał się Boreasz.

Danuagia stała niewzruszona.

Dowiedź tego, że jesteś jej wart.

Zmarszczyłem brwi, słysząc w głowie głos bogini. Uniosła brodę w królewskim geście, zaciskając ręce na lasce.

Dowiedź, że jesteś wart Lilii.

Mówiła tylko od mnie.

- Bernardzie... - usłyszałem błagalny szept Autumn. -

Proszę...

Odwróciłem się do niej, uśmiechając się niemrawo.

- Daj mi szansę. Wyciągnę cię z tego.

Pokręciła głową.

- Nie... nie możesz.

Położyłem drżące ręce na jej głowie. Miała cudowne włosy, iskrzące się w białym świetle. Nigdy nie wydawała mi się tak piękna jak właśnie w tej chwili.

- To ja poniosę konsekwencje.... - zaczęła, ale nie dałem jej dokończyć, całując ją. Usłyszałem za sobą okrzyk oburzenia władców i niezadowolony szum.

Autumn, początkowo sparaliżowana, rozluźniła się. Nie mogłem teraz uwierzyć w jej gadanie o „nieczuciu” fizycznym. Ktoś tak całujący nie mógł nie czuć dotyku.

- Pozwól sobie pomóc - oderwałem się od niej.

Odwróciłem się, napotykając nieprzeniknione spojrzenie Danugai. Odchrząknąłem.

- W świecie ludzi... - zacząłem. - Jest takie coś jak sąd. Na rozprawie oskarżony ma prawo do obrony przed oskarżeniami.

- Wiemy, co to jest, śmiertelniku - burknął Boreasz. Wstał, jednak nie zajął miejsca na tronie.

- Autumn ma prawo się bronić. To jeden z przywilejów, który jej się należy.

- Zrzekła się ich, gdy stała się Duchem! - usłyszałem.

Potarłem bliznę i spojrzałem w bok na sylfidę. Autumn przełknęła ślinę.

- Z tego, co wiem, nikt nie pytał jej, czy chce nim zostać -

odpowiedziałem.

Wystąpiłem krok do przodu, w stronę Danugai. Natychmiast poczułem ból w boku i złapałem się za niego. W głowie znów mi się zakręciło.

- Bernardzie!

Chłodne ręce Autumn powstrzymały mnie przed położeniem się plackiem na podłodze.

- Tak więc - syknąłem, gdy sylfida znów otoczyła mnie ramieniem - jak możemy tu mówić o sprawiedliwym procesie? Przemieniliście nieświadomą dziewczynę w sylfidę, kazaliście wymazać pamięć własnej rodzinie. Dziw... dziw, że wytrzymała aż tak długo.

- Zapominasz jednak o pewnej rzeczy, śmiertelniku - odezwał się Boreasz. - Tka Eter. To nie są wystarczające powody do pozbycia się jej?

Spojrzałem na Danugaie, która niezauważalnie kiwnęła mi głową.

- Jest Kwiatem Lili - powiedziałem. - To dlatego chcesz się jej pozbyć.

Kątem oka zobaczyłem, jak Autumn marszczy brwi. Coś mi mówiło, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

- Proroctwo o Kręgu Dwanaściorga to baśń. Nieprawda! - krzyknął jeden z władców.

- W każdej baśni jest ziarnko prawdy - odpowiedziała niespodziewanie Danugaia.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

- Bronisz jej, Matko? - spytał Boreasz. Jego szare oczy pały gniewem.

- Nie - odpowiedziała, odwracając się do dworu. - Jednak i ja także nie jestem wszechmogąca. Nie wykonamy zeeteryzacji na sylfidzie.

Autumn spadł kamień z serca. Ulga, jaka ją zalała, udzieliła się także mnie.

- Jednakże nie można odmówić wam racji. Panna Hawthorne jest niebezpieczna. Daru tkania Eteru nie posiada żaden Duch. To czyni z niej istotę o nieznannej nam mocy, której nie można już okiełznać Prawami. Nie składając Przysięg, zrzekła się także praw opieki i straciła bezpowrotnie szansę na zostanie Aniołem.

Autumn zacisnęła usta.

- Uciekłaś, ponieważ chciałaś uratować swoją rodzinę. To chwalebne, że zaryzykowałaś swoje życie, ale i egoistyczne, ponieważ jako opiekun powinnaś wiedzieć, że potrzeby Duchów są nieważne. Twoje zachowanie było nieprzemyślane i impulsywne. Wiedziałam jednakże, co zamierzasz zrobić, kiedy tylko otworzyłaś Bramę w Święto Róży.

- Czemu więc mnie nie powstrzymałaś, Matko?

- Niezbadane są ścieżki losu. Jesteś wyjątkowa. Jedyna w swoim rodzaju i niepowtarzalna. Zaimponowałaś mi. Ktoś o takiej woli i mocy nie zasługuje tylko na zostanie Aniołem - powiedziała i przez chwilę ogarnęło mnie zimno. - Jednak tak naprawdę powinnaś podziękować temu młodzieńcowi - wskazała na mnie. - To jego miłość do ciebie uratowała cię przed zagładą.

Spojrzałem na sylfidę. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Dziękuję.

Nie byłem pewny, do kogo to mówi – do mnie czy Danugai, jednakże władczyni natychmiast uciszyła ją gestem.

– Nie mogę jednak spełnić twojej prośby. Nie cofnę czasu i nie przemienię cię w człowieka. Jednak... mogę przychylić się do przedłużenia twojego pobytu w ludzkim świecie.

– Co?

– Matko!

– To wbrew Prawom!

Danugaia zastukała laską w podłogę. Boreasz wpatrywał się w naszą dwójkę z nienawiścią. Zresztą, na sali mało która osoba (istota) darzyła nas sympatią.

– Jesteś za nią teraz odpowiedzialny, Bernardzie Charlesie Oakenie – bogini pochyliła się nade mną i przez chwilę wydawało mi się, że jej oczy zapłonęły oślepiającym fioletem. – Jeśli jest tak, jak mówisz – wyszeptała, a na jej ustach pojawił się tajemniczy, smutny uśmiech – Lilia będzie potrzebowała kogoś, kto się nią zaopiekuje. Strażnika.

Dotknęła końcem laski mojej piersi i poczułem, jak przebiega przeze mnie ciepło. Wokół nas pojawił się Eter, zataczając coraz szybciej koła.

– To koniec audiencji. Idźcie w pokoju. Spotkamy się jeszcze – powiedziała do Autumn.

Wyprostowała się, a jej twarz rozplynęła się. Jednakże usłyszałem jej słowa.

Ponieważ to nie koniec.

Nim zorientowałem się, że wypowiedziała to tylko do mnie, cała sala znikła w rozbłysku światła.

Violet stała nad brzegiem Loch Shieldaig, patrząc na gwiazdy i chowający się za chmurami księżyc.

- Jesteś zdecydowana? Naprawdę chcesz to uczynić?

Przełknęła ślinę.

- Cóż innego mi zostało, Hamishu?

- A Clarice? Bernard?

- Powiesz im, że jest mi przykro. Opiekuj się moim wnukiem i tą sylfidą. Będą potrzebowali twojej pomocy. To nie koniec - powiedziała.

Przymknęła oczy, czując na twarzy chłodny powiew wiatru.

- Nie musisz tego robić.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Gdybym cię dobrze nie znał, pomyślałbym, że się troszczysz.

- Bo to robię. Ludzie mają to do siebie, że się zmieniają, Hamishu. Zawiadom Zakon Edynburski, że Lilia nadeszła.

- Nie lubię tych starych pantofli - mruknął Angus.

- Jednak starałeś się wejść w ich poczet, tetryku.

Hamish zaśmiał się krótko, poprawiając sobie okulary.

- Byłem zaszczycony, mogąc cię znać, Violet.

- Ja ciebie też, Hamishu - odwróciła się w stronę zatoki i powoli zaczęła zanurzać się w wodzie. Będąc już po pierś w wodzie, obejrzała się za siebie.

- Opiekuj się nimi. Przysięgnij mi to.

- Przysięgam - Hamish położył dłoń na piersi.

Violet zaczęła oddychać jak po biegu. Bała się.

Drogi Johnie, czemuż to tak musiało się skończyć, pomyślała. To ja jestem winna. Zmienianie przyszłości nie ma sensu, jeśli i tak wszystko wraca do punktu wyjścia.

- Możesz zawrócić - usłyszała.

- Nie - sapnęła. - Jeśli podjęto się już decyzję, nie można się cofnąć.

To samo powiedziała Autumn. Myślała o niej, o sylfidzie przeznaczonej jej wnukowi. O tym, jak zmieniła Bernarda z wybuchowego, zniecierpliwionego chłopaka w młodego, dojrzałego mężczyznę. O jej zachowaniu w stosunku do niej. Sylfida miała prawo jej nienawidzić, jednak darzyła ją szacunkiem.

Ona miała prawo nienawidzić siebie.

- Przepraszam cię, Lilidh - wyszeptała.

Zrobiła następny krok i upadła w morską toń. Natychmiast poczuła na swojej skórze śliski dotyk łusek. Duch zmierzył ją spojrzeniem zielonych rybich oczu i kiwnął głową. Violet wzięła głęboki oddech, czując jak woda wpływa jej do płuc. Powiedziała, zachłystując się wodą:

- Zaprowadź mnie do Zaświatów, ondyno.

[\[1\]](#) Piątego listopada w Anglii obchodzi się *Bonfire Night* z okazji rocznicy zorganizowanego 5 listopada 1605 r. przez Guya Fawkesa zamachu mającego na celu zabójstwo króla Anglii i Szkocji Jakuba I.

19 Sierpnia

Koniec początkiem

Obudziłem się, czując na twarzy chłodny dotyk Autumn.

- Nie zabiłaś mnie, widzisz? - uśmiechnąłem się do niej.

Sylfida skrzywiła się, a słońce, które przebijało się przez gałęzie sosen, otoczyło jej kasztanowo-rude włosy złotą aureolą. Uświadomiłem sobie, że musiało już wybić południe.

- A ty nie powiedziałeś mi, że jesteś Strażnikiem.

Wstałem, łapiąc się za bok. Bolało jak cholera.

- Mówiłem, jest wiele spraw do przedyskutowania.

Autumn przybliżyła się do mnie, a ja zobaczyłem w jej oczach skrywaną melancholię. Nie, czułem ją.

- Nie jesteś szczęśliwa? Udało się nam.

- Co?

Pokręciłem głową.

- Wiesz, skopałaś tyłek Boreaszowi, sama Danugaia cię ułaskawiła, a teraz możesz tu zostać i w ogóle...

Autumn westchnęła.

- Ale narażałam cię.

Odwróciłem od niej wzrok, rozglądając się na boki. Efekty

wczorajszej walki widać było jak na dłoni: wypalona kora drzew, powyrywana ziemia...

- Kim jest ta Lilia? Dlaczego tak mnie nazywali?

Spojrzała na mnie, przyciskając jeszcze mocniej palce do mojego boku.

Przełknąłem ślinę. Nie było tu Violet ani Hamisha, którzy doradziliby mi, co zrobić. Zrozumiałem, że to ja muszę zdecydować, czy wtajemniczyć Autumn.

Co miałem zrobić? Nie mówiąc jej, zyskałabym czas na wykrycie niebezpieczeństwa związanego z byciem Kwiatem Lilii. Możliwe, że odnalazłbym to podanie, przestudiowałbym je dokładnie. Autumn w międzyczasie mogłaby się pogodzić z własną naturą, udałoby się jej opanować Eter próbujący przejść nad nią kontrolę. Może udałoby mi się nawet dowiedzieć, jak się tam znalazł, dlaczego została „przeklęta”.

Lecz co by było, gdyby się potem dowiedziała, że ją okłamywałem? Sama mnie wcześniej okłamała, to fakt. Jednak nie chciałem się jej odpłacać tym samym. Byłem pewny, że nieprzypadkowo to właśnie mnie Danugaia powierzyła funkcję Strażnika. Oboje mieliśmy w sobie coś zmienić. Na lepsze.

- Au! - syknąłem, ponieważ dotyk Autumn sprawił, że odmroziłem sobie skórę.

- Uleczyłam cię - powiedziała. - Miałeś zwichniętą kość.

- Zwichniętą? Chyba złamaną.

Autumn spojrzała na mnie spod nastroszonych brwi.

- Jak zwykle przesadzasz. Ale to chyba normalne... dla mężczyzn tutaj, tak? Przesadzacie. Więc... kim jestem? - spytała.

Na mojej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Zawsze zadawałem sobie to pytanie i nigdy nie odnalazłem na nie odpowiedzi.

Sylfida zagryzła wargę. Uniosła rękę, a igły leżące na ziemi podniosły się i zaczęły wirować nad jej ręką.

- Kiedyś byłem człowiekiem - szepnęła. - Potem stałam się sylfidą. Teraz...

Eter pojawił się znikąd, oplótł igły. Przepalił je, przeżarł, a w górę uniosły się złote drobinki.

- Kim jestem?

Zacisnęła dłoń, a wszystko znikło.

- Kim jest Kwiat Lili?

Przełknęłam ślinę.

- Hamish twierdzi, że nową Ewą.

- Ewą? Nie rozumiem tego odniesienia.

- Wiesz, tą z Biblii. Adam i Ewa. Wąż.

Pokręciła głową.

- O to mu chodziło. Już pamiętam.

Cisza, jaka między nami zapadła, wyczerpywała mnie psychicznie.

- A dlaczego ja? O co chodzi? Czemu jesteś Strażnikiem?

- Wszyscy to powtarzają, jakbym dostał jakąś ważną fuchę.

- Bo to ważna „fucha”, Bernardzie.

- To o ciebie bardziej się boję.

Autumn westchnęła, a wiatr zarzucił jej włosy na twarz.

- Hamish twierdzi, że jesteś początkiem albo końcem. Może chodzi mu o to, że przewróciłaś świat Duchów do góry

nogami? Twój wyczyn jest niesamowity.

- Wbrew wszystkiemu co ślubowałam.

Przymknęła oczy.

- Powinniśmy już iść, wiesz, Bernardzie?

- Chyba tak.

Wstałem i podałem jej rękę. Od jej dotyku dreszcz przeszedł przez moje ciało. Zeszliśmy do brzegu, mając splecione dłonie. Chociaż Autumn jeszcze nie powiedziała tego na głos, wiedziałem, co do mnie czuje. To dość dziwne wiedzieć, a zarazem nie. Więź, która łączyła mnie z nią, stawała się coraz mocniejsza.

Doszliśmy do brzegu, gdzie zacumowane były dwie łódki. W jednej z nich rozpoznałem tę, którą przy płynąłem nad ranem. W drugiej, z zamyślonym wyrazem twarzy, siedział Hamish.

Pomógł wsiąść Autumn do łodzi, a następnie pchnął nas na wodę. Sylfida zasłoniła oczy od gorącego słońca i patrzyła w wodę. Pomiędzy jej brwiami pojawiła się zmarszczka.

Ofelia.

Trudno było mi pogodzić się z myślą, że nie tylko ja kochałem Autumn. Wyczuwałem obecność ondyny w wodach Loch Shieldaig.

- Wywołałaś niezłą Kostarykę - powiedziałem.

- *Kostarykę?*

- Wiesz, jest ciepło.

Autumn pokręciła głową.

- Nie odczuwam ciepła.

Coś ściska mnie w żołądku. Czasami o tym zapominam.

Autumn myślała o wszystkim, co jej powiedziałem. O Lilii, Eterze, Strażnikach, Ewie. O Danugai. O spojrzeniu Boreasa.

Dobiliśmy do brzegu i pomogłem jej wsiąść. Autumn posłała mi szeroki uśmiech.

Wymuszony. Uświadamiam sobie, że ona nie ma pojęcia o tym, że to wiem. Chce za wszelką cenę ukryć przede mną smutek.

Żałuje, że nie udało jej się cofnąć w czasie, a zarazem jest szczęśliwa, będąc ze mną. Jednak ta myśl sprawia, że czuje się winna wobec swojej rodziny. Boże, jeśli wszystkie kobiety myślą w taki sam pokręcony sposób, to nie dziwię się sobie, że dostaję już bólu głowy.

Odwzajemniłem jej uśmiech. W tym samym czasie do brzegu dobił Hamish. Profesor podszedł do nas z kamiennym wyrazem twarzy.

- Gdzie jest Violet? - spytałem.

Rozglądałem się dookoła, jednak nie mogłem jej nigdzie dostrzec. Obok mnie Autumn wpatrywała się w Angusa i Loch Shildaig. Pobladała.

- Nie... - jęknęła, zaciskając palce na moim przegubie.

Podążyłem wzrokiem w kierunku, w którym spoglądała i zamarłem.

Na wodach zatoki unosiła się fioletowa róża.

- Nie! - krzyknąłem.

Wyrwałem się do przodu, wchodząc w wodę i szybko wziąłem różę.

Autumn dobiegła do mnie.

- Bernardzie... - wyszeptała.

- Gdzie ona jest? - niepokój, jaki we mnie narastał, przeradzał się w panikę, aż w końcu mnie olśniło. - Odeszła, tak? - powiedziałem cicho.

Autumn przełknęła ślinę, odwróciła się i spojrzała na Hamisha. Ten kiwnął głową.

- Jest...

- W Zaświatach - Autumn położyła ręce na moich ramionach. - Bernardzie...

- Ja... po prostu... tego się nie spodziewałem - skłamałem.

Powinienem był wiedzieć. Już wtedy przeczuwałem, że coś knuła. Że coś planuje. Byłem okropny.

Strata babki wywołała we mnie pustkę. Chociaż znałem ją tylko miesiąc, polubiłem ją. Zżyłem się z nią. Często byłem na nią wściekły, lecz myśl o tym, że jej nie ma...

- Muszę zadzwonić do rodziców - wydukałem. - Jak najszybciej.

Pomiędzy brwiami Autumn pojawiła się zmarszczka, jednak nic nie powiedziała.

- Idź.

Wcisnąłem w jej dłonie różę i wyszedłem z wody. Mijając Hamisha, usłyszałem:

- Jej ciało leży w salonie.

Zacisnąłem usta.

- Dziękuję - tylko tyle zdołałem powiedzieć. W gardle pojawiła mi się dziwna gęsia skórka, miałem trudności z przełykaniem.

Wszedłem do salonu jak we śnie i zobaczyłem ją leżącą na kanapie. Podeszedłem do niej i klęknąłem na podłodze.

Skóra babki była biała. Wydawała się taka... pusta.

Bezwładna. Powieki miała przymknięte. Jeszcze dobędę temu te oczy mogły obrzucić mnie gniewnym spojrzeniem, a teraz?

Nic.

Wyciągnąłem w jej stronę rękę i dotknąłem jej chłodnego czoła. Przez chwilę miałem wrażenie, że na twarzy Violet pojawił się uśmiech. Coś ścisnęło mnie w żołądku. Poczucie winy przepalało mnie na wskroś. Nie mogłem na nią patrzeć. Wstałem szybko i ruszyłem w stronę telefonu.

Podnosiłem już słuchawkę i wykręcałem numer rodziców, gdy usłyszałem:

- Bernardzie.

Podniosłem wzrok, oszołomiony.

Na środku salonu stała Violet, jednak jej kontury były zamazane, a ona sama wydawała się taka... niematerialna.

Była zjawą.

- Babciu?

Opuściłem słuchawkę i podszedłem do niej. Kobieta uśmiechnęła się do mnie smutno.

- Przekaż moje przeprosiny Autumn. Chciałam cię ostatni raz zobaczyć.

- Ale... dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś?

Violet westchnęła. W jasnym świetle ledwo ją widziałem.

- Z miłości, Bernardzie. Teraz jestem szczęśliwa. Jestem z Johnem. Od początku tylko o to mi chodziło.

- Ale...

- Ty także bądź szczęśliwy. Walcz. To nie koniec. To dopiero początek. Lilię czeka wiele pokus, którym musi się oprzeć - powiedziała. - Chroń ją.

- Babciu...

- Kocham cię. I nie chodź z tym kapturem na głowie -
dodała.

Wyciągnąłem w jej stronę rękę, jednak w tej samej chwili
znikła. Stałem tak przez chwilę, gdy uświadomiłem sobie, że
jej już nie ma.

Odwróciłem się i napotkałem spojrzenie Autumn. Gardło
paliło mnie żywym ogniem, a oczy szczypały. Odwróciłem od
niej wzrok, minąłem ją i pobiegłem na górę do swojego pokoju.

Zatrzasnąłem drzwi, czując napływ gniewu.

- Jesteś teraz zadowolony, pechu? - syknąłem. - Masz,
czego zawsze chciałeś.

I osunąłem się na podłogę, z trudem powstrzymując łzy.

- Daj mu trochę czasu, Autumn.

Sylfida zaśmiała się gorzko.

- To moja wina.

- Nie. Violet tak zdecydowała - powiedział Hamish, siadając obok niej na ganku. Żadne z nich nie miało tyle siły, by wejść do salonu.

- Jednak... gdyby nie ja, żyłaby. Nie mogłam uratować jej męża.

- Nie porwały go ondyny.

- Nie - zgodziła się Autumn.

- Popełniła parę błędów, jednak chciała... myślała o tobie.

Przeprosiła cię.

- Jakby to coś zmieniało - sylfida zmarszczyła brwi.

Angus poprawił okulary na nosie.

- Jak to możliwe... że jestem szczęśliwa, a jednocześnie nie? Czuję się... tak, jakbym popełniła zbrodnię.

- To trudne. Każdy czułby się tak na twoim miejscu. Przebaczenie jest pierwszym krokiem do wyzdrowienia,

Autumn. Ofelia miała rację, nie możesz żyć przeszłością. Dostałaś szansę na nowe życie.

- Ale ile ono będzie trwało? - spytała gorzko. - Boreasz, w ogóle wszyscy Władcy Królestw mi nie odpuszczą. Będą śledzić Bernarda, mnie, pana. Moje przekleństwo odbije się na was.

- Mówisz tu o darze tkania Eteru?

Sylfida odchrząknęła.

- W dodatku Danugaia... ułaskawiła mnie. Czemu? Czemu to zrobiła?

- Bo jesteś Kwiatem Lili.

Autumn zaśmiała się.

- Co to oznacza? Nie mam pojęcia. A Bernard? Jeśli coś mu się stanie? Violet już nie ma. Przez kogo? Przeze mnie.

- Jako Duch powinnaś wiedzieć, że umarli nie odchodzą na zawsze. Coś mi mówi, że ona jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Znasz Violet.

Sylfida popatrzyła na fale Loch Shildaig.

- I co teraz? Jesteśmy w kropce. Co mamy teraz zrobić?

- Zwrócić się do Zakonu Edynburskiego.

- Słucham?

Hamish westchnął.

- Po pierwsze, Autumn, myślę, że nie powinnaś postrzegać swojej mocy jako przekleństwa. Eter to najpotężniejsza substancja we Wszechświecie. Połączenie wszystkich czterech Żywiołów. To duża odpowiedzialność. Eter sam w sobie nie jest złem. To także dobro. Wszystko zależy od osoby nim władającej. Wiesz, kogo mam na myśli. Jej się udaje.

Autumn przełknęła ślinę.

- Pan sugeruje, że potrafiłabym panować nad wszystkimi Żywiolami?

- Tak myślę, a nawet więcej, Autumn. Danugaia widzi w tobie potencjał, ja także. Jednak jestem tylko skromnym profesorem posiadającym Wzrok. Moja wiedza o świecie Duchów jest uboga, zaś Zakon Edynburski... to zupełnie inna sprawa.

- Pomogliby nam?

- Pomogliby tobie i Bernardowi. Wasza przyszłość jest ściśle ze sobą związana. Jesteś Lilią, a on twoim Strażnikiem. Zakon oczekiwał was. Ciebie.

Autumn poczuła znajome zimno w końcówkach palców.

- Musimy także zdecydować, co uczynimy z twoją skromną osobą.

- Co ma pan na myśli?

Hamish zacisnął ręce na kolanach.

- Widzisz... wakacje niedługo się skończą, a Bernard będzie musiał wrócić do domu, do Cambridge. Nie zostanie w Shildaig na zawsze, a na pewno nie po tym, co się dziś wydarzyło.

Autumn ścisnęła usta w cienką linię.

- Wiem.

Hamish odchrząknął i obrócił się w jej stronę.

- Mam w związku z tym pewną propozycję.

Wieczorem Autumn zapukała do moich drzwi. Zerwałem się z podłogi, trzymając w rękach słuchawkę telefonu.

Nie mogłem zebrać się na odwagę, by zadzwonić do rodziców. Po prostu... nie mogłem.

- Lepiej się czujesz?

- Można tak powiedzieć - zdołałem wydukać.

Zamknęła za sobą drzwi i usiadła naprzeciw mnie. Chwilę potem wyjęła z moich dłoni telefon.

- Hamish już się tym zajął - powiedziała. - Twoi rodzice przyjadą jutro po południu.

Przełknąłem ślinę. Sylfida uśmiechnęła się pocieszająco. Czułem, że mi współczuje. Doceniałem to, że zostawili mnie samego. Chciałem być sam.

Autumn doskonale mnie rozumiała.

- Powinieneś coś zjeść.

- Nie jestem głodny - pokręciłem głową.

Przysunęła się do mnie i dotknęła zimnym palcem mojego policzka.

- Tak mi przykro, Bernardzie.

Odwróciłem od niej wzrok. Ból, jaki we mnie płonął, wzmógł się dwukrotnie. Jej także brakowało Violet.

- Wiem.

Sylfida oparła głowę o moją pierś. Moje serce zabiło szybciej, zabrakło mi tchu. Jej bliskość zawsze działała na mnie paraliżująco.

- Jesteś zmęczony. Musisz odpocząć - usłyszałem.

Pokręciłem głową.

- Proszę cię, Bernardzie.

Ścisnęła moją dłoń.

- Sam mówiłeś, że wszystko się jakoś ułoży.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie błagająco swoimi fioletowymi oczami. Dałem za wygraną. Ująłem jej twarz w dłonie i pocałowałem. Natychmiast poczułem, jak odbiera mi to możliwość myślenia. Istniała ona... i tylko ona.

Jednak to było złe. Nie mogłem tak po prostu uciekać od tego, co się wydarzyło.

Odsunąłem się od niej. Położyłem się na podłodze, a po chwili znalazła się koło mnie sylfida.

- Hamish zjadł już prawie całą zawartość lodówki - szepnęła.

Uśmiechnąłem się lekko. Odwróciłem głowę i spojrzałem na nią.

- Uratuj banany - powiedziałem. - Reszta mnie nie obchodzi.

Obróciła się w moją stronę.

- Trzeba sobie wybaczyć, Bernardzie. To pierwszy krok do wyzdrowienia. Żyjmy przyszłością, a nie przeszłością.

Potarłem bliznę. Trudno było mi uwierzyć, że z jej ust padają tak optymistyczne słowa.

- Rozmowa z Hamishem?

Autumn kiwnęła głową.

- Tak, rozmawialiśmy... Profesor Angus przebywa teraz na dole. Próbowałam go namówić, aby zajął gościnny pokój, ale uparł się, że będzie spać na kanapie. Jutro przywiezie twoich rodziców z lotniska.

Spojrzałem w bok.

- Mówi do rzeczy. Chyba pierwszy raz.

- Powraca twój sardoniczny sarkazm, Bernardzie. To dobrze. Lecz my także będziemy musieli porozmawiać.

- Teraz?

Zaprzeczyła.

- Jutro.

Znów położyła głowę na mojej piersi i poczułem, jak się uspokajam. Mógłbym leżeć tak do końca świata. Może sprawiła to obecność Autumn, ale ogarnęła mnie senność. Będąc już na granicy snu, spytałem:

- Chyba mnie nie usypiasz?

W odpowiedzi usłyszałem tylko cichy, perlisty, smutny śmiech.

Następnego poranka, siedząc na ganku, czekaliśmy na przyjazd moich rodziców. Od rana pakowałem się na wyjazd, składałem ubrania i książki, a Autumn mi w tym pomagała. Hamish miał przyjechać wraz z rodzicami i Rían, jako wykonawca testamentu Violet. Nawet się nie zdziwiłem, dowiedziawszy się o tym. Ufała mu. Był jej najlepszym przyjacielem i prawdopodobnie jedyną osobą, z którą stworzyła jakąś relację po śmierci dziadka Johna.

Mama zadzwoniła, że przyjadą po mnie o drugiej, po tym, jak wylądują w Inverness. Do Cambridge mieliśmy pojechać pociągiem w czwartek po pogrzebie Violet. Moja babcia zażyczyła sobie wiecznego spoczynku na cmentarzu

Lochcarron Burial Ground.

Nadal jednak nie powiedziałem rodzicom o Autumn.

Co miałbym im powiedzieć? Że kochałem prawie czterystuletnią sylfidę mogącą tkać Eter, materię, której istnienia nie dowiodła współczesna nauka? Wywodzącą się z jednego z najbardziej wpływowych i najstarszych szkockich klanów? To, że jestem jej Strażnikiem powołanym z woli Danugai, zapomnianej bogini? To, że Autumn jest nienawidzona przez cały świat Duchów Żywiołów, a wredny Król Powietrza, Boreasz, będzie ją zapewne ścigał za to, że jest tajemniczą Lilią, mogącą być „początkiem lub końcem” naszego świata? A gdyby spytali, jak się spotkaliśmy?

„Znalazłem ją nad brzegiem morza.”

Nie. Nie, nie, nie, nie, nie. Nie. Po prostu nie mogłem. Sam w to nie wierzyłem. Nie musiałbym kupować biletu do wariatkowa - rodzice zafundowaliby mi go bez wahania. Po namyśle zapewne dorzuciliby mi do towarzystwa Hamisha o wyglądzie hipsterskiego Gandalfa w skarpetkach nie do pary i japonkach.

Nawet wulkanologowie tacy jak moi rodzice wiedzieliby, że coś jest nie tak.

Podsumowując, nie mogli wiedzieć o istnieniu świata Duchów Żywiołów. Violet miała rację.

„Niewiedza jest zbawienna”.

- Twoja książka - powiedziała Autumn, kładąc mi na kolanach *Przygody Sherlocka Holmesa*.

Zmarszczyłem brwi.

- Wzięłam ją sobie, przepraszam.

Otworzyłem ją. Była stara, należała jeszcze do mojego taty, dostał ją, gdy był w moim wieku. Miała tę właściwość, że zawsze otwierała się tam, gdzie się ją skończyło czytać.

- *Skandal w Bohemii?* Nie skończyłaś?

Autumn założyła włosy za uszy.

- Jakoś nie lubię powieści detektywistycznych. Może po prostu przejadły mi się.

Uśmiechnąłem się, kładąc książkę obok.

„Bądź szczęśliwy”.

- No cóż. Musisz mieć jakąś wadę - rzuciłem, nakładając sobie kaptur na głowę.

- Jakbyś ty ich nie posiadał.

Oboje uśmiechnęliśmy się do siebie. Wyczuwałem, że chociaż się uśmiecha i ze mną rozmawia, jest smutna. Byliśmy sami.

- Więc... jedziesz z nami do Cambridge? - spytałem.

- Tak.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

- Serio?

- Zamieszkałam z Hamishem - odpowiedziała.

Zamrugąłem oszołomiony.

- Dostałam nową szansę. Muszę z niej skorzystać, Bernardzie. Chcę żyć jak człowiek.

Patrzyłem na nią przez chwilę.

- I to wszystko?

- Co wszystko?

- Ja po prostu... jestem zaskoczony.

- Po tym, co widziałeś, myślałam, że nic cię już nie

zaskoczy.

- Jesteś taka inna... niezwykła - dodałem szybko, by nie poczuła się urażona.

- Ty także nie przypominasz tamtego chłopaka, który znalazł mnie na brzegu Loch Shieldaig - jej głos zniżył się do szeptu.

- Jednak... kiedy przeprowadzisz się do Cambridge... co będziesz tam robić?

Autumn skrzywiła się.

- Zacznę chodzić do szkoły.

Co!?

- Do szkoły?!

- Dokładnie - do twojej. Do Akademii Maxwella.

O cholera. Cholera, cholera...

- Teraz jestem naprawdę zaskoczony - zdołałem wydukać.

- Oprócz tego jest jeszcze Zakon Edynburski.

Potarłem bliznę. Czy kiedyś nie słyszałem tej nazwy?

- Zakon Edynburski?

- Tak, grupa podstarzałych facetów badająca świat Duchów. Hamish twierdzi, że pomogą nam w rozwiązaniu tego, dlaczego jestem... Lilią, a ty Strażnikiem. Podobno - przełknęła ślinę - oczekiwali nas.

Super.

- Potrzebowaliśmy jeszcze następnej grupy Hamishów - rzuciłem. - Stowarzyszenie Japonek, Wielbicieli Arii Operowych i Skarpetek Nie do Pary?

Autumn zaśmiała się krótko.

- Profesor mówi, że to mnisi posiadający zadziwiającą

wiedzę. Druidzi.

- Zakon Edynburski?

- Ich siedziba mieści się na Uniwersytecie Edynburskim - wyjaśniła mi Autumn. - Więcej nie wiem.

Zamilkliśmy. Tylko jedna rzecz mnie niepokoiła.

- Umiesz panować nad Eterem. Danugaia mówiła, że żaden z Duchów tego nie potrafi - zacząłem.

Sylfida wyprostowała się natychmiastowo i splotła ręce na kolanach. Uniosła brodę i zacisnęła usta.

- Zwykły Duch Żywiołu może nie, ale nie jestem jedyna - powiedziała cicho.

Zmarszczyłem brwi.

- Co masz na myśli?

- Hamish uważa, że mogłabym kontrolować inne Żywioły. Ale zastanów się, Bernardzie. Eter to połączenie Ognia, Wody, Ziemi i Powietrza. Jeśli Matka posłużyła się nim, by stworzyć ludzkie dusze i Duchy, musiała...

Przed oczyma pojawił mi się obrazek Danugai trzymającej w dłoniach różnokolorową kulę. Oniemiałem.

- Ty...

- Danugaia także włada Eterem, Bernardzie.

- Więc...

- Wiem - kiwnęła głową, nie patrząc na mnie. - I właśnie to mnie przeraża.

Potarłem bliznę. Boże, właśnie się dowiedziałem, że dziewczyna (sylfida), którą kocham, ma moc równą twórczyni Wszechświata. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego „fucha” Strażnika Lili była taka ważna.

Będę musiał poważnie się zastanowić nad zapisaniem się na jakieś treningi sztuk walki. Na razie słaby był ze mnie Strażnik.

Spojrzałem na Autumn. Nadal siedziała zeszywniała. Gdy spostrzegła, że na nią patrzę, odwróciła głowę i powiedziała cicho:

- W dodatku ... ja się nie zestarzeję. Pozostanę taka już na zawsze, Bernardzie.

Zdenerwowany przełknąłem ślinę.

Już od jakiegoś czasu próbowałem nie dopuścić do siebie myśli, że Autumn będzie istniała jeszcze po mojej śmierci. Nieśmiertelna, potężna - istna bogini. Kimże byłem w porównaniu z nią? Odpowiedź była prosta. Zwykłym śmiertelnikiem, człowiekiem, któremu napatoczyła się robota Strażnika. Koniec. Przed oczami stanął mi obraz: ja, już dobrze po czterdziestce, z siwymi włosami i okularami, a ludzie będą uważać Autumn za moją córkę. Znowu ten żołądek.

Violet miała rację: taka miłość nie miała przyszłości, istniała wbrew Naturze.

Jednak nie wyobrażałem sobie życia bez Niej.

W tym samym momencie na podwórko zajechał samochód Hamisha. Oboje z Autumn unieśliśmy głowy.

Ze starego szarego vana wysiadła moja mama. Wyglądała tak jak zawsze: krótkie, brązowe włosy lekko skręcały się wokół jej owalnej, pokrytej piegami twarzy z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Bładoniebieskie oczy, zaczerwienione od płaczu, momentalnie rozjaśniły się na mój

widok. Ktokolwiek poznawał moją mamę, nie posądzałby jej o to, że jest naukowcem. Clarice Meadow-Oaken ubierała się w kolorowe kostiumy i z racji swego wzrostu oraz postury bardziej przypominała modelkę niż geologa-wulkanologa.

- Bernardzie! - krzyknęła.

Szybko zerwałem się z ganku, a Autumn zeszywniała. Mama w paru susach znalazła się przy mnie (nigdy nie nosiła butów na wysokim obcasie) i przygarnęła do siebie.

- Bernie - wyszeptała, przyciskając mnie jeszcze mocniej. Coś wycisnęło mi ostatki powietrza z płuc.

- Witaj-a-j ma-yymho - wysapałem.

Mama puściła mnie wreszcie i nad jej ramieniem zobaczyłem tatę. Dziś znów miał na sobie jedną ze swoich niezliczonych koszul w kratę wetkniętą w spodnie i okulary połówki. Większość znajomych rodziców i dalsza rodzina twierdziła, że jestem niesamowicie do niego podobny. Jednak, mimo że przewyższałem go o dobre pięć centymetrów, zawsze w jego towarzystwie byłem postrzegany jako niższy. Biła od niego pewność siebie i spokój, jakim ja, niestety, nie mogłem się pochwalić.

- Synu - w brązowych oczach dostrzegłem zadumę. Może i moi rodzice byli oddani pracy, jednak wiedziałem, że zależy im na mnie i nie miałem im niczego za złe. Śmierć Violet musiała być dla nich ciosem.

Poczułem zapach jesiennych liści i zobaczyłem kątem oka, że Autumn pojawiła się obok mnie. Wzrok moich rodziców padł na sylfidę. Zapadła cisza.

- Państwo Oaken - odezwał się Hamish. - Oto moja

siostrzenica, Autumn Lily Hawthorne.

Lily?

- Miło państwa poznać - spiętym głosem powiedziała Autumn.

Rodzice obejrżeli ją od stóp do głów. Mama spojrzała na tatę. Nie musiałem im nawet czytać w myślach, by wiedzieć, co myślą o Autumn.

Ścisnąłem dłoń sylfidy.

- Jesteśmy parą - oznajmiłem im.

Autumn spojrzała na mnie zaskoczona, jednak pokręciłem głową, by się nie martwiła. Zagryzła wargę.

Na twarzy mamy pojawił się uśmiech.

- Wiedziałam, że kogoś poznałeś - otarła łzy. - Chodź tu do mnie - zwróciła się do Autumn. - Nie dziwię się, że skradłaś serce mojemu synowi.

Puściłem rękę sylfidy, gdy mama ją przytuliła. W tym samym czasie tata wziął mnie na bok.

- Dziewczyna? - spytał. Zdjął okulary i przetarł je.

- Najwyraźniej - odezwałem się cicho.

- Jak się poznaliście?

Spojrzałem w bok. W tym samym czasie Autumn obejrzała się za siebie i nasze spojrzenia się spotkały. Zobaczyłem Rían i Hamisha rozmawiających przy vanie.

- Violet i Hamish nas poznali - skłamałem.

- A nie chciałeś tu jechać - dał mi kuksańca w bok.

- Wiele się zmieniło, tato.

- Masz rację.

Popatrzył na Autumn.

- Piękna dziewczyna.

Uśmiechnąłem się.

- Wiem o tym. Jednak to nie wszystko.

- Inteligencja także jest ważna, rozumiem. Pamiętam, jak poznałem...

- Jak badania? - wtrąciłem się.

- Zakończone - oznajmił. - W sumie zostało parę dokumentów do podpisania, ale Geoff, pan Rider, wszystko załatwił. Sprawa babci Violet jest ważniejsza.

Przełknąłem ślinę.

- A Hekla?

- No cóż, trzeba ją obserwować.

Spojrzałem na Autumn.

- Idź do niej - tata poklepał mnie po ramieniu.

- Słucham?

- Słyszałeś, co powiedziałem.

- Ale...

- Musimy omówić kwestię pogrzebu - powiedział. -
Z profesorem Angusem i panią Evans.

Zmarszczyłem brwi.

- Rían?

- Tak, Rían.

Odwróciłem się.

- Wiesz...

- To mała wieś - przyjrzał mi się badawczo spod okularów.

- Musimy się trochę natrudzić, by spełnić wolę Violet.

- A czego sobie zażyczyła? - spytałem.

- Puddingu ryżowego na stypie - powiedział.

Uśmiechnąłem się.

- Idź do niej - kiwnął na mnie głową. - Nie zatrzymuję cię.

Podszedłem do mamy i Autumn, które właśnie rozmawiały. Od razu było widać, że Autumn okręciła sobie moją mamę wokół palca. Potrafiła być czarująca, jeśli chciała. Nie, źle to ująłem.

Zawsze była olśniewająca.

Sylfida uśmiechnęła się do mnie.

- Możemy porozmawiać? - spytałem, przerywając im rozmowę. Nie miałem pojęcia, o czym dyskutowały, ale w oczach Autumn pojawiła się ulga.

Mama spojrzała na mnie lekko zdezorientowana.

- Wiesz... na osobności - wytłumaczyłem.

Mama kiwnęła głową. Odeszła do taty, Rían i Hamisha, zostawiając nas samych.

- O co chodzi, Bernardzie?

- O nic. Po prostu rozmowa z tobą sprawia mi przyjemność.

Uśmiechnęła się. Świat od razu zrobił się przyjemniejszy. Nawet cała ubrana na czarno wyglądała jak anioł.

- Czujesz się dziś lepiej, prawda?

- Żadnych ataków, Eter jest... spokojny - powiedziała. -
Dzięki tobie.

Wzięła moją dłoń.

- O co cię pytała? Miałem na myśli mamę.

Przewróciła oczami.

- O moją rodzinę i szkoły, do których chodziłam.

- I co powiedziałaś? - Spojrzała w bok.

- Rodzice zginęli w wypadku, gdy byłam mała, a Hamish zapewnił mi edukację w domu.

- Sprytnie.

- Nie lubię kłamać.

- Ja także, ale musimy. To konieczne.

- To jedno z Praw - uśmiechnęła się smutno. - „I żeby żadna istota ludzka nie dowiedziała się, kim jesteś”.

- Chciałbym znać je wszystkie - powiedziałem.

- Jest ich dużo, ale i tak złamałam wszystkie, w dodatku te najważniejsze.

- A jakie? - spytałem, biorąc ją za lodowate ręce.

Autumn uniosła brodę i spojrzała mi w oczy.

- „Duch nie czuje nic”. „Duch nie może decydować o sobie, ma służyć Naturze...” „Duch... nie może pokochać człowieka”.

Zamilkła.

- Kocham cię - powiedziała.

- Ja ciebie też - pocałowałem ją w grzbiet dłoni.

Nadal myślałem o naszej wcześniejszej rozmowie. Tak wiele nas różniło.

- Wszyscy nas obserwują, wiesz? - wyszeptała Autumn.

- Jakoś mnie to nie obchodzi.

Sylfida przysunęła się do mnie i mruknęła w ucho:

- Mówiąc wszyscy, miałam na myśli wszystkich, Bernardzie.

Podążyłem za nią wzrokiem i zamarłem. Nad brzegiem Loch Shildaig dostrzegłem Violet. Przyglądała się nam, stojącym przy vanie rodzicom, Rían i Hamishowi, który także zeszywniał, dostrzegłszy ją.

Twarz babci nie wyrażała żadnych emocji lub po prostu ich nie dostrzegłem. Jej postać w pełnym słońcu rozmywała się, jednak zobaczyłem, że odwróciła się w naszą stronę. Mrugnąłem i Violet znikła. Miałem mieszane uczucia co do jej wizyty. Jeśli była szczęśliwa w Zaświatach, to dlaczego nas odwiedzała?

- Zawsze chce mieć ostatnie słowo - mruknąłem, odwracając się w stronę Autumn.

Pragnąłem oderwać się od ponurych myśli. Sama Violet chciała, bym był szczęśliwy, chociaż miałem złe przeczucia.

- Zaczynasz więc nowe życie, tak? Nie jesteś już Lilidh Elise Maclean ani... Fómhar?

Zaprzeczyła.

- Nie. Sama zdecydowałam, kim jestem. Jestem... Autumn Lily Hawthorne.

- Lily?

- Lilidh to Lily, Lilia - wyjaśniła niepotrzebnie. - Nie można całkowicie zrezygnować z przeszłości, Bernardzie, ale Ofelia i Hamish mają rację. Nie można nią żyć. Jednakowoż nie wyprę się jej całkowicie. To... część mnie.

Obdarzyłem ją uśmiechem. Rozumiałem ją.

- Zamierzam być szczęśliwa. Z tobą - dodała i zalały mnie jej uczucia. Wdzięczność, troska. Natychmiast zrobiło mi się ciepło w sercu. Żadnego zimna, oziębłości.

- Dlaczego akurat tak się nazwałaś? - zadałem to jedno z pytań, które nurtowało mnie niezmiernie, odkąd dowiedziałem się, jak się naprawdę nazywa.

- Moja matka tak mnie nazywała - wyszeptała. - Ze

względu na kolor włosów – dotknęła rudych kosmyków. – Fómhar... to jesień z gaelickiego.

Kiwnąłem głową.

– Rozumiem. A Hawthorne?

– Uwielbiała głogi – wyznała. Nie musiała mi nawet mówić, że miała na myśli swoją matkę, Elise. – Brakuje mi jej.

Ścisnąłem jej dłoń.

– Umarli nigdy nie odchodzą na zawsze – powiedziałem szeptem. – Kto wie, co jest ci pisane, Autumn.

Autumn uniosła jedną brew. Chłodny wiatr owiał nam twarze. Ona także się martwiła.

– Masz rację, Bernardzie – odpowiedziała. – Jednak to my decydujemy o sobie.

Odwróciłem od niej wzrok i spojrzałem na zatokę, na wyspę, na której jeszcze wczoraj Autumn otworzyła Bramę. Zrozumiałem, że nie ma już odwrotu. Zostałem wciągnięty, wessany w świat legend, które niecały miesiąc temu budziły we mnie śmiech. Teraz stałem obok sylfidy, którą kochałem ponad życie. Wiedziałem, że nie będzie łatwo: pamiętałem reakcję na nasz pocałunek w Avalonie. Nasz związek był i zawsze będzie potępiony przez Duchy.

Byłem jednak gotów zaryzykować. Musiałem ochronić Autumn przed Boreaszem, przed wrogami, którzy na pewno pojawią się, by zniszczyć Kwiat Lili. Przed wszystkim, co nas spotka.

Musiałem ją chronić nawet przed samą sobą.

Ponieważ wiedziałem, że to nie koniec.

To był dopiero początek.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Sylfida

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-421-7

© Agata Julia Prosińska i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Magdalena Kowalewska

KOREKTA: Elżbieta Zasempa

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

